

*Aby nasze dzieci
nigdy nie musiały patrzeć na świat
zza obozowych drutów*

Bogdan Bartnikowski

**DZIECIŃSTWO
W PASIAKACH**

PRZYJAZD

Dziewczyny z sierocińca krzyczą, kłócą się, drapią i płaczą, ale zakonnice nie zwracają na to uwagi, modlą się od samego rana, usta ich poruszają się bez chwili przerwy a palce przesuwają koraliki różańców. Czasem ktoś za starszych krzyknie na dziewczyny, ale one siusiąją w kąt wagonu i nie boją się dorosłych, którzy mówią, że tak nie wolno, że przecież za dużo nas w tym wagonie i śmierdzi coraz bardziej.

Pociąg zatrzymał się. Przez okienko pod dachem podobno widać miasto. Ja też chciałbym zobaczyć, ale dorośli ciasno stłoczyli się przy okienku i słuchają kolejarza, który jedzie w naszym wagonie. On tu ważny, on wie, gdzie jest jaka stacja i dokąd z niej można jechać. On wszystko wie.

- Stoimy pod semaforem – powiedział, gdy po przejechaniu przez miasto pociąg znów się zatrzymał. – Jeśli pojedziemy w prawo, to znaczy, że wywożą nas do Niemiec. Jeśli prosto, to jedziemy na Kraków, Katowice...

Pociąg szarpie mocno, znów jedziemy. Chwila czekania – w prawo, czy prosto, w prawo...nie! I wszyscy oddychają z ulgą. Zostajemy w Polsce.

Jeszcze nigdy nie jechałem pociągiem towarowym. Fajnie nawet. Żeby tylko można było wstać, przejść parę kroków, przez okno wyjrzeć, zrobić siusiu kiedy się zachce, napić się wody... Bo w wagonie jest gorąco, śmierdzi, pełno brudu i kurzu. I żeby nie było nas tak dużo. I żeby coś zobaczyć przez okno... ale za wysoko i dorośli mówią, że nie wolno. Kilka razy próbowałem policzyć, ile nas jedzie, ale przy czterdziestu zawsze mi się myliło i przestawałem.

Gdy kiedyś, dawno, Włosi przejeżdżali przez Warszawę jadąc na front wschodni, to stali w otwartych drzwiach wagonów, śpiewali i machali do nas rękami. Fajni byli ci Włosi. Jeden, pamiętam go, z wąsikiem, miał na głowie kapelusz z piórkiem a na nogach długie błyszczące buty. Ja teraz też bym chętnie pomachał ręką przez okno, ale jak? Zakratowane i tak wysoko, i Niemcy nie pozwalają, strzelają zaraz, gdy ktoś się wychyli, a i dorośli nie dopuszczają, sami tylko się gapią...

Jechaliśmy całą noc i dzień, zaszło słońce i ciemno już w wagonie, i spać się chce. Wszyscy przykucnęli gdzie kto mógł, posiadali na deskach, koła stukają, wagon kołysze, dziewczyny przestały piszczeć, posnęły i zbudziły się tylko na chwilę, gdy ktoś zaszeleścił w kącie papierami, pewnie coś jadł, ale wyparł się gdy ktoś powiedział „daj trochę” i znów było cicho tylko rytmicznie stukały koła wagonu.

- Zjesz coś, synku? – słyszę gorący oddech mamy tuż przy uchu.

- Nie! – otrząsnąłem się niechętnie, nie otwierając oczu. Mama to tylko chce, żebym jadł i jadł! I w domu, i tu, zawsze. Żeby już wreszcie można było wsiąść... Pociąg zwalnia! Może teraz wysiądziemy?

Po ścianie wagonu pełzna światła, wolniej, coraz wolniej, szarpnięcie, stoimy. Może wypuszczą nas wreszcie? Tak bardzo chce mi się spać. O, Niemcy idą wzdłuż pociągu, coś mówią, ale nic nie rozumiem, na ścianie przesuwają się cienie głów w hełmach, karabiny, odchodzą.

- Ludzie, rany boskie, to Auschwitz! – szepcze przerażony kolejarz i nagle w wagonie zalega cisza taka, że nawet oddechów nie słycać. Dlaczego? Wstaję, wspinam się na palce i wyglądam przez szparę przy drzwiach – nic, stacja jakich mijaliśmy już wiele, kilka lamp, na ścianie budynku wielkie czarne litery AUSCHWITZ, na peronie żandarmi, żołnierze, ani jednego cywila. A może... może już jesteśmy w Niemczech?

- Auschwitz!.. To oni nas tu?! Nie, to nie może być... – w mroku wagonu biegną szepty. – Za co...

- Ruszamy! – oddech ulgi – Jedziemy dalej...

Pociąg wolniutko pełźnie po torze. Jest cicho, delikatne kołysanie wagonu, cicho, to dobrze, zaraz usnę...

- Teraz będzie rozjazd – szepcze kolejarz. – Jeśli pojedziemy w lewo, to dobrze, ale jeśli w prawo...

To co... – myślę sennie. – Czego oni wszyscy tak się boją? Niech sobie będzie w prawo! Szkoda, że nie ma z nami tatusia, że odszedł gdzieś z powstańcami. Zawsze co tatuś, to tatuś. Uuu – spać, wyciągnąć się nie można, nie ma miejsca, wszędzie ciasno, wszędzie leżą ludzie. I nikt chyba nie śpi. I nikt nic nie mówi, i wszyscy czekają, prawie nie oddychając. Pociąg toczy się wolno, wolniutko, powieki opadają same, spać, spać...

- W prawo jedziemy! Ludzie, w prawo... – woła kolejarz.

Ktoś wybucha płaczem, ktoś na głos zaczyna litanie. Jest jakoś strasznie, nie wiem dlaczego ale boję się. Usnąć, przespać strach, mocno ścisnąć powieki, usnąć...

- Synku, nie śpij, teraz nie wolno! Zaraz wysiadamy, trzymaj, schowaj to do kieszeni – Mama szarpie mnie, wciska zawiniątko do kieszeni, ubiera. Sennie poddaję się jej roztrzęsionym dłoniom.

- Nie chcę! – buntuję się nagle, zupełnie już rozbudzony. – Zostaw mnie!

- Pić! Pić! – mały Jacek rozbeczał się głośno na cały wagon.

- Taki malec, szkoda dzieciaka – mówi ktoś w ciemności. To o Jacku. Jest chyba najmłodszy w wagonie. Taki smarkacz, ma pewnie ze trzy lata.

Coś chlupie w kącie wagonu, to pewnie znów te dziewczyny.

- Pewnie że szkoda – mówi ktoś. – Ale kogo nie szkoda. Nad sobą pan teraz płacz.

- Mamo, a gdzie moi żołnierze? – przypominam sobie nagle. Dostałem ich od tatusia na dwa dni przed Powstaniem. To marynarze. Jeden z nich trzyma biało-czerwoną chorągiew, taką samą, jak ta, którą widziałem w Warszawie, w czasie Powstania. W Warszawie... Jak tam jest teraz, gdzie jest tatuś, czy nasi już pobili Niemców, pewnie... A tatuś... Tatuś tam jest, jest wolny, ma pistolet a może nawet karabin i walczy! Na pewno! A marynarze jadą razem za mną, śpią sobie teraz w pudełku. Gdzie ono jest? Nie wiem, macam dokoła siebie, nie znajduje, coś kręci w nosie, zaraz, za chwilę będę beczał, będę...

- Synku, żołnierze?! Ty teraz o żołnierzach?!

- Gdzie żołnierze... – chlipię.

- Ten też nic nie rozumie. Wydawałoby się, duży chłopak a taki jeszcze dzieciak – mówi kolejarz od okienka. – Ołowiane żołnierzki mu w głowie, a jutro albo jeszcze dziś do gazu pójdzie...

- Eee, panie, dzieci by brali – powątpiewa ktoś.

- A jak pan myśli! Dzieci najpierw! Przecież dzieci to dla nich tylko kłopot. A po dzieciach my, po kolei, wszyscy!

- Mamusiu, co to znaczy, do gazu?

- Nie bój się, synku, nie dam cię! - Mama chwyta mnie mocno i przyciska do siebie. Cała drży.

- Boli! Puść mnie! – wyrywam się.

- Brama Śmierci – mówi kolejarz. – Poznaję... widziałem ją kiedyś z daleka. Wjeżdżamy pod tę bramę, wjeżdżamy do obozu, znaczy. To koniec... koniec z nami... pełno Niemców przy torach... to po nas...

- Może tylko przejeżdżamy, może się nie zatrzymamy i pojedziemy dalej...

- Nie, to ślepy tor. Stąd nie ma wyjazdu.

- O, są i ludzie! W pasiakach! To więźniowie. Jutro i my, tak samo jak oni...

- A gdzie gaz? – pytam głośno, bo zaczyna mnie ciekawić przerażenie dorosłych.

- Gdzie gaz... o tam! – kolejarz podnosi mnie do okienka – Patrz! Widzisz tamten komin?

Za okienkiem przesuwają się szeregi lamp na niskich słupach a daleko, zza kępy drzew, z kwadratowych kominów bucha wysoki na parę metrów płomień. Och... wstrząsnął mną smród ohydny i nieznany.

- Gdzie my jesteśmy? – pytam. – I co to tak śmierdzi?

Kolejarz nie odpowiedział. Postawił mnie na podłodze mocno, aż zabolalo.

Jaki straszny wrzask! Z łoskotem otwierają się drzwi wagonu. jaskrawe światło uderza w oczy. Szczekanie psów, dokoła esesmani w zielonych mundurach, z rozpylaczami w rękach i ogromny wrzask tych ludzi w pasiastych ubraniach: - Wysiadać! Zabierać wszystko! Prędko! Prędko! Schnell!

Wyskakuję z wagonu. Patrzę. Kobiety, jedna starsza, druga młodsza, wczepione w chłopca, nie chcą go puścić tam, gdzie popchnął go esesman. Niemiec coś krzyczy, kobiety trzymają chłopaka, płaczą, Niemiec podrzuca rozpylacz w rękach, będzie strzelał? Eee, straszy tak tylko...Nie! Strzela! I już... leżą na ziemi, wszyscy troje... i już nikt nie krzyczy, tylko psy szczekają a tłum milcząc drecze obok wagonów, ustawia się posłusznie w szeregi i czeka.

- Schnell! Prędko! Prędko! Ruszamy! – niesie się krzyk wzdłuż kolumny. Więźniowie w pasiakach dobiegają do nas jeszcze, ustawiają po pięć osób w rzędzie. Ruszamy. Między ścianami drutów jest droga. Za drutami rzędy baraków. Pusto tam, jak w jakimś śnie lub bajce, zupełnie pusto. Tylko daleko wśród drzew buchają płomienie i jeszcze bardziej śmierdzi. O! Pod ścianą baraku ktoś stoi!

- Skąd jesteście?! – woła. Po polsku woła! To nasz! Polak!

- Z Warszawy! – odkrzykują z kolumny.

- Z Ochoty! – wołam, ale chyba już nie usłyszał, bo nie spojrział nawet, tylko przebiegł chyłkiem do sąsiedniego baraku i zniknął.

- Oświęcim – mówi ktoś za mną półgłosem. – Więc to jest Oświęcim...

Oświęcim!!! Wiem! Słyszałem o Oświęcimiu. Więc ten Auschwitz to po prostu Oświęcim? Tu zginął ojciec Jarka – kolegi ze szkoły, tu umarł wujek i nasz nauczyciel. Słowo Oświęcim wymawiało się w Warszawie po cichu, z szacunkiem i ze strachem chyba. „Stamtąd się nie wraca” – powiedział kiedyś tatuś. Więc to jest Oświęcim...

Przed nami w lesie płonie jakiś wielki ogień. I śmierdzi tu tak, że aż oddech zatyka. Powietrze jest ciężkie, tłuste, unosi się w nim coś nieznanego, straszego. Czy tak pachnie śmierć? Może... chociaż nie wiem, w Warszawie pachniała inaczej – ceglany pyłem, spalenizną, czymś kwaśnym, surowym...

Jak wszyscy prędko idą, ledwo mogę nadążyć. Bagaże, walizki i toboły Niemcy kazali zostawić gdy tylko wysiedliśmy z wagonów. Kobiety ściskają w dłoniach małe węzłki, torebki i tłumoczki – to tylko im zostało. Ja też mam taki tłumoczek – coś do jedzenia, ręcznik i moich ołowianych marynarzy. Znalazłem ich na chwilę przed wyjściem z wagonu.

Co to?! Skręcamy tuż obok lasu w którym płonie wielki ogień. Idziemy dalej drogą ale po paru minutach otwiera się przed nami czeluść ogromnego baraku. Jest wielki, mroczny, z wrotami jak do stodoły. Gdy jeździłem na wieś, lubiłem zaglądać do stodoły. Tyle tam miejsca, po obu stronach wysokie sterty słomy, równiutkie, chłodne klepisko pod stopami, zapach siana, upału, lata.

Za tymi wrotami jest ciemno, zupełnie ciemno. Szeregi kolumny nikną w nich jak w ogromnej paszczy. I gdy objamy się bezradnie między pustymi ścianami, gdy szukamy miejsca na ziemi i potykamy o tych, którzy wcześniej zdążyli przycupnąć, zatrząskują się za nami te wielkie wrota.

- To teraz będzie gaz? - pytam.

- Nie, chyba jeszcze nie – odpowiada ktoś niepewnie.

Ostrożnie macam dokoła siebie, siadam na ziemi, układam mój tobołek pod ścianą. Moi marynarze...tu im będzie dobrze, tu ich nie pogmiotę, gdy usnę. Jeśli usnę... Patrzę dokoła, ale choć szeroko otwieram oczy, niczego nie dostrzegam w głębokim mroku. Jest duszno, ciężko, chce się płakać, ale nie można...

Gdzieś blisko rozbeczał się jakiś maluch, ale zaraz umilkł, jakby zrozumiał, że tu się nie płacze. Daleko za barakiem gwizdże parowóz. Może to ten, który nas przywiózł? Jakby nas żegnał. Pozostawia nas tu...

Patrzę w ciemność. Nie mogę usnąć, nie mogę płakać. Gdy zamykam oczy, widzę chłopaka, tego przy wagonie...ugodzony kulami skręca się... pada na ziemię. Nie! Otrząsnąć to z siebie. Nie widzieć. Jutro...

Jutro nie pójde jak zwykle do ogródka na Filtrowej, nie wyjde z bramy na Kaliską. Nie pójde do ciotki na Tarczyńską. Jutro przyjmie nas obóz.

Usnąć, usnąć, obudzić się w domu! To nieprawda, że jesteśmy tu, w Oświęcimiu... to sen... to nieprawda...

W ŁAŻNI

Stoję nago i zasłaniam dłońmi moją dziecięcą męskość. Wstydzę się. Wrzaski i krzyki, płacz i przekleństwa, pozostały za drzwiami. Tu jest cicho.

- Czy to już? Czy to komora gazowa? – szepczą dokoła kobiety, rozglądając się trwożnie.
- Nie, to sauna – odpowiadają niecierpliwie przebiegające przez tłum więźniarki z obsługi.
- Sauna?.. – ten nieznany wyraz nie tłumii obawy.
- Łaźnia, po prostu łaźnia! – odkrzykują i biegną dalej, w głąb budynku.

Z twarzy ustępuje przerażenie. To tylko łaźnia...

Moje ubranie zwinięte w kłębek zabrano gdzieś. Stoję nagi, otoczony tłumem nagich kobiet. Olbrzymim, tysięcznym tłumem.

Najpierw, gdy sięgnąłem koszulę w ogromnej rozbieralni, nie śmiałem podnieść oczu. Mama... goła jak i ja, sąsiadki z domu w którym mieszkaliśmy zanim znaleźliśmy się tu, w obozie, i tłum, tłum... I choć po długim postoju pełnym lękliwego oczekiwania na to, co będzie z nami dalej przerażenie nie zmalało we mnie ani trochę, konieczność przesunięcia się dalej, w głąb długiego korytarza, zmusiła mnie do podniesienia głowy, do patrzenia.

Zerknąłem raz i drugi na boki. Boże... Jakieś postacie z krainy złych baśni, poskręcane starością, z ropiejącymi ranami na nogach, plecach, wszędzie... smród dawno nie mytych ciał i zaduch parowanych ubrań. Tłum sunie naprzód wolniutko, stłoczony ciasno, jedni drugich dotykają i odpychają się wzajemnie raz po raz. Bronię się przed wszelkim dotknięciem, wzdrygam się co chwilę z obrzydzeniem, próbuję usuwać się na bok, bez skutku.

Opływam potem, jak wszyscy. Obok, na wąskim chodniku, na którym nie wolno stawać więźniom, stoi kilku esesmanów. Od czasu do czasu pokazują sobie kogoś, kto w tej straszliwej ciżbie wydaje im się szczególnie śmieszny i wybuchają głośnym rechotliwym śmiechem. A nagi tłum wolno drepcze ku dalekim drzwiom na końcu korytarza.

Powoli przywykam, patrzę, choć nic nie chce widzieć.

Znów... znów dotknięcie do moich pleców! Miękkie, mokre, lepące. Wiem... to rozlana długa pierś starej kobiety sapiącej tuż za mną. Obok, przy swoim ramieniu, widzę taką samą pierś. I z drugiej strony, i dalej, dalej, wszędzie. Przewyciężam wstręt i wstyd, podnoszę wyżej głowę, szukam, chciałbym stać obok kogoś smukłego, młodego, szukam ze złością –

czy ludzie po zrzuceniu ubrań wszyscy są tacy wstrętni, spoceni, lepiący się, brudni, starzy? Nie, to niemożliwe, przecież Powstanie dla nas, na Ochocie trwało tylko dziesięć dni...rozglądam się długo, bardzo długo, ktoś szturcha mnie i gderze, żebym się tak nie gapił, wstydu szczeniak nie ma, mówi... Nie, nie znajduję nikogo...

Co to? Znów dotyk... Nie, teraz to nie ważne. Coś nagle dostrzegam! Przede mną jeszcze dwa rzędy nagich kobiet, a dalej pustka, aż do dalekich wciąż drzwi umywalni. Między białymi ciałami migają granatowe cienie obsługi. Co one tam robią, na co czekamy? Dostrzegam wreszcie biegnące do umywalni kobiety, już wiem...

Stłoczona grupa w której stoję, choć naga, nie jest jednakowa. Są w niej brunetki i blondynki, widać głowy siwe i rude. Kobiety, które odchodzą ku drzwiom umywalni, mają głowy jednakowe, nie poznasz nikogo, nie odróżnisz. Ręce więźniarek w granatowych fartuchach biegają błyskawicznie wokół schylonych głów, wokół pach i już, już nie wiesz kto to jest, nie poznasz najbliższych nawet osób, ostrzyżona przy samej skórze głowa każda wygląda jednakowo, każda wydaje się śmieszna i wstrętna. I to osłupienie w oczach, te ruchy rąk daremnie usiłujące osłonić ukrywaną przez całe życie nagość.

Już tylko jeden rząd kobiet przede mną...już nie ma nikogo. Więźniarka szybkimi ruchami strzyże mi głowę, schyla się... – No! – daje znak żebym odjął dłonie. Ja! Nie! – Trzymam je mocno przyciśnięte, pobielale z wysiłku.

- Schnell – krzyczy wreszcie zniecierpliwiona moim oporem, chwytając moje dłonie, odrywa je, chwile patrzy zdumiona moją chłopcącą nagością i klapie mnie mocno w pośladek popychając do umywalni.

Dopadam do drzwi, brodzę przez basenik przy wejściu, stoję pod natryskiem i podnoszę twarz ku prysznicom. Woda, zbawcza, od dwóch tygodni nie widziana woda cieknie mi po twarzy, miesza się ze łzami, spływa na beton podłogi.

DYWAN

W środku nocy obudziłem się nagle i nieprzytomnie rozejrzałem dokoła. Gdzie jestem? Skąd tu tyle dzieci? Gdzie rodzice, gdzie mój dom... Po chwili już wszystko wiem, leżę nieruchomo, barak oddycha tysięcznym snem, skomli płaczem zbudzonego malca i szumi. Dziwnie, niezrozumiale tajemniczo.

Od trzech dni jesteśmy w siedemnastym bloku kobiecego obozu. Stłoczeni na drewnianych pryzkach przykrytych łachmanami podartych koców, we dnie pocimy się jak myszy pod nagrzanym przez sierpniowe słońce dachem, a w nocy trzęsiemy się od przejmującego wilgotnego chłodu.

Pierwszy raz obudziłem się w nocy. Pić... Patrzę w głąb mrocznego przejścia między pryzkami, słucham niezliczonych oddechów, sennych mamrotów i szeleszczącego tajemniczego szumu. Jest on tuż przy mnie, na mnie, za mną, dokoła, wszędzie. Obcy, nieuchwytny, nieustępliwy.

Tydzień temu... Tydzień temu miałem jeszcze dom, ojca, mamę, wszystko. Jak to dawno, jakie to dalekie!

Tu, w siedemnastym bloku, mam tylko swój własny numer. Obozowy numer. Pierwszego dnia to nawet byłem z niego dumny. Wysoki, bardzo wysoki więzień w pasiaku dał mi ten numer napisany na kartce. „Nie zgub go” – powiedział. Kawalkiem kopiowego ołówka wypisałem sobie ten mój numer na rękę.

Zazdrościłem tym, którzy przybyli do Oświęcimia wcześniej i mają swój numer wytatuowany na rękę lub piersi. A ja mam tylko taki byle jak wypisany naślinionym ołówkiem...

Pić... Ale nie zejść z pryczy. Po co mam dostać po gębie od wachy* przy drzwiach. A przecież w baraku nie ma nic do picia. Muszę jakoś wytrzymać do rana. Wokół głęboko oddychają śpiące dzieciaki. Rzucają się, odpychają, drapią się zawzięcie. Ciała ich połyskują w półmroku, połyskują brązowo, czerwono, jak tęcza.

Ziewam szeroko i przesuwam dłoń po twarzy. Co to?! Dłoń natrafiła na coś, co bucha duszącym, gorzkim smrodem. Wstrząsam się z obrzydzenia i siadam na pryczy. Unoszę dłoń i oglądam ją w smudze nikłego światła wpadającego do bloku przez okno. Jest czerwona od krwi, coś po niej pełza ociężałe i beładnie.

Dyszę szybko, broniąc się przed wymiotami. Już wiem, co znaczy ten lśniący dywan ścierającego się mrowia, pełzający ruchliwie po mnie, po wszystkich. To pluskwy, brązowe, ogromne pluskwy. Mnóstwo ich dokoła, brrr...mnóstwo ich...

* -wacha – funkcyjna więźniarka dyżurująca przy wejściu do bloku.

OBOK SZÓSTEGO BLOKU

Na dalekie góry wtacza się dopiero słoneczny krąg, a my już siedzimy pod ścianą bloku. Po kilku dniach pobytu na FKL-u* my, wszyscy starsi chłopcy, przeszliśmy do obozu męskiego, na pole „A” czyli sektor kwarantanny. Przytuleni do siebie, ratujemy resztki sennego ciepła i szukamy w kieszeniach okruszyn chleba. Daremnie. Jak zawsze. Chłód wstrząsa ciałem raz po raz. Strach nagle przygina nas do ziemi – przez plac przesuwa się przygarbiona, czujna postać Krwawego Olka, funkcyjnego więźnia kryminalisty. Niedobrze jest wpaść mu w oko. Potrafi zdzielić pałką zupełnie bez powodu.

Przed nami cały dzień siedzenia na placu, między ścianami bloków. Czy słońce, czy deszcz, porządek zawsze jest ten sam. Przez pierwsze dni nasi najmłodszy, ci ośmio i dziesięcioletni, chlupali, że chcą do mamy, do domu, że są głodni, że pić się chce. Teraz już zrozumieli, że nic z płaczu nie przyjdzie, tylko węższą czujnie dokoła, co by tu zdobyć, aby oszukać głód, aby coś zjeść... Jak szczury, które biegają po nas bezczelnie w nocy i rozzuchwalone łażą po placu nawet teraz, w dzień. One łatwiej znajdują coś do jedzenia, niż my.

Patrzę dokoła, wodzę wzrokiem za szerokimi barami Krwawego Olka. Temu to dobrze! Dostał się do obozu za zabójstwo, w obozie też uśmiercił już niejednego więźnia. Jest na funkcji, blokowemu pomaga i za to może jeść, dużo jeść! Ile zechce! Dobrze być bandytą! Ja też chcę jeść... Mógłbym zabrać chleb temu małemu, który drzemie spokojnie, oparty o ramię Jacka. Okazja! Mały śpi, w dłoni ściska niewielką skórkę chleba, tylko pociągnąć i już moja, już jem... Nie, dziś jeszcze nie. Sam nie wiem dlaczego. Może mi trochę żal tego szczyla?..

Słońce już wysoko i dawno przestało być zimno. Zaczynają się najgorsze godziny – upał. Pić...Ale czarną niby to kawę czy cuchnące ziółka przyniosą nam dopiero wieczorem. Cały dzień trzeba wytrwać na patelni placu. Komanda więźniów dawno już pomaszerowały do pracy, ucichła kobieca orkiestra przy bramie FKL-u. Codziennie tak grają, codziennie tak odprowadzają wychodzące kolumny więźniów, codziennie też witają je, powracające z pracy

do obozowych bloków. Raz widziałem tę orkiestrę z bliska. To było wtedy, gdy przechodziliśmy do obozu męskiego. Kobiety grały „Rosamunde”, grały skocznie, wesoło i dobrze się nam koło nich szło, ale gdy przechodziliśmy tuż obok nich zobaczyłem, że większość z nich płacze. Dlaczego...

Spoglądam daleko za rampę kolejową. Tam właśnie jest FKL. Między niskimi blokami przebiegają malutkie z oddalenia figurki więźniarek. Ścisk gardła rozluźniony szybkim oddechem – nie płakać... tylko spokojnie...trzeba wytrwać...tylko spokojnie. Odwracam się bokiem, nie chcę widzieć FKL-u, patrzę na wieże kościołów w mieście. Są blisko, pewnie ze dwa kilometry od nich do obozu. Jak to daleko...

- Bogdan, skoczmy pod kuchnię? – budzi mnie z zamyślenia Jacek, strącając z ramienia rozespanego malca.

- Warto by, ale Olek... Kręci się po placu, jeśli zobaczy, oberwiemy i to jak...

- Poszedł do blokowego. Czujesz?

Wciągam powietrze. Pachnie...jak cudnie pachnie! Wiatr niesie przez plac zapach smażonej kiełbasy. Jedzą...blokowy, szrajber** i Olek. Oni teraz jedzą... A my...

- Idziemy! – decyduję się. - We dwóch?

- Jeszcze Jędrak i Stasiek.

- No to już!

Nie wstając, w przykucnięciu, podpierając się rękami, przesuwamy się do rogu bloku. Nie jest to łatwe, na małym placu, głowa przy głowie, siedzi nas przecież czterystu. Wreszcie jesteśmy na skraju bloku. Jacek wygląda ostrożnie za róg – gazu!

Skok do ściany piątego bloku, chwilę zatrzymujemy się przy czwartym, drugim, pierwszym i już wpadamy w kępę słoneczników rosnących obok kuchni. W ciszy, głębokiej ciszy obozu głośno łomocą nasze serca. Na czworakach, między słonecznikami, by nikt nas nie zobaczył, skradamy się w stronę dołu, do którego wyrzucają kuchenne odpadki. Można tam znaleźć obierzyny a nawet kawałek trochę tylko zgniłej marchwi.

Uwaga! – Jacek zatrzymuje nas nagłym ruchem ręki. Zamieramy, wciśnięci między szorstkie łodygi słoneczników. Byle tylko nie pies... poczuje, szczekać zacznie, nie uciekniemy. Kilka kroków przed nami szeleszczą liście – dwaj więźniowie w pasiakach wysypują do dołu odpadki, odchodzą. Poczekać... Trzeba chwilę poczekać, niech odejdą dalej. Już! Skaczemy do dołu.

Skarby... Obierzyny z ziemniaków, kawałki marchwi, pietruszki, brukwi. Ale chłopaki są szybsi ode mnie i dla mnie nie zostaje prawie nic. Grzebie rękami w oślizgłych śmieciach, rój much byczy opętańczo nad głową. Co to? Pestki z dyni uczone rzędami do długich pasm mięszu. Gdzie mój garnek?! Nie ma... W co, w co to wziąć? Ściągam bez namysłu koszulę i wrzucam w nią umykającą spad palców wilgotną, śliską zdobycz. Jeszcze garść, jeszcze. Widzę kątem oka jak chłopaki odbiegają w stronę bloków, jeszcze garść...

Uuu! Cios w plecy, szalony, piekący ból i znów, i znów! Rzucam się w bok, wspinam z dołu na ziemię i wpadam między słoneczniki. Daleko przede mną nikną za blokiem uciekający koledzy, za mną wciąż słychać wymyślanie esesmana. Bez tchu wpadam na plac przy naszym szóstym bloku. Dyszę ciężko, drzę z żalu i bólu. Jacek wciska mi w garść marchew. – Trzymaj. Jedz...

Nie mogę. Drzę jeszcze, plecy pulsują bólem. Podnoszę marchew do ust. Nie, nie mogę...

Słońce opadło z nieba w lasek koło krematorium i znów orkiestra przy bramie przygrywa wracającym z pracy komandom. Stoimy na apelu. Esesman kroczy przed znieruchomiałymi szeregami i liczy nas stukając laską w piersi chłopaków z pierwszego szeregu. Stoję w środku kolumny. Esesman przesunął po mnie obojętnymi oczami, odliczył jeszcze dwie piątki i zawrócił. Wstrzymaliśmy oddech. Do kogo... Stanął w szerokim rozkroku, wsparł się pod boki.

- Gdzie masz koszulę? – patrzył na mnie srogo a potem roześmiał się i trącił mnie laską w pierś. – Została w dole, tak?! – Przeszedł się śmiać i patrzył teraz złowrogo z kamienną twarzą.
- Świnio!... Śmiecie kradniecie! Żarcia ci mało?!

Skinął na blokowego i podniósł w górę rozczapierzoną dłoń. Blokowy, wyprężony, z czapka przyciśniętą służbowo do uda, wyłowił mnie wzrokiem z szeregu.

- Funf, Herr Blockfuhrer, jawohl...

Esesman jeszcze moment patrzył na mnie pogardliwie, odwrócił się i ruszył dalej, stukając laską w piersi chłopaków. Skończył liczyć, zapisał cyfrę. Przeszedł teraz do sterty pod ścianą bloku, policzył głowy „muzułmanów”, którzy umarli od wczorajszego apelu. Zapisał nową cyfrę w notesie, dodał do poprzedniej.

- Richtig! – kiwnął głową z zadowoleniem, że stan więźniów się zgadza. Wsiadł na rower, odjechał.

Od prawego skrzydła kolumny biegnie przez plac Krwawy Olek. To po mnie...

* FKL – obóz kobiecy

** - szrajber – pisarz

PRZEKŁĘTE DOLARY

Gdzieś są sklepy, gdzieś ludzie jedzą. Gdzieś jest chleb, dużo chleba, i ziemniaki, i brukiew, wszystko. Jeść... Już nawet nie burczy w brzuchu, już tylko ciągnie i piecze. A do wieczora daleko. Usiądziemy wtedy kołem na pryczy, wlepimy oczy w cegielkę chleba, którą godny zaufania kolega, podzieli nożem na najrówniejsze części. A potem jeden z nas odwróci się tyłem do podzielonego chleba. a inny będzie wskazywał palcem kromki. Komu ta? Komu ta? Komu ta...

Nie myśleć o jedzeniu! Nie myśleć. Może dziś dadzą zupę... Rozgotowany jarmuż, w którym jak białe kluski pływają martwe gąsienice. Nie myśleć o jedzeniu.

Janek ma scyzoryk, zawsze coś nim dłubie, chwali się, że ma go jeszcze z domu, ale pewnie buja, zorganizował go już tu, w obozie. O, teraz też wycina coś z drewnianej listwy.

- Co to będzie? – pytam nie ruszając się spod ściany bloku.

- Sztylet – odpowiada, strugając drzazgę szybkimi zręcznymi pociągnięciami noża. – Taki sam, jaki ma goniec na ruskim bloku. Widziałeś go?

Pewnie, że go widziałem. Mały, śmieszny chłopak, jedyna barwna plama na tle pasiaków obozu. Patrzymy z zazdrością, jak przebiega obok nas w ślicznym, na jego wzrost uszytym kozackim stroju, z patronaszami na piersiach, w papasze z czerwonym denkiem i ze sztyletem dyndającym przy pasku.

- Widziałem – mamrocę obojętnie. – Pewnie, że widziałem.

Janek jest fajny, zawsze coś robi, nigdy nie siedzi beczynnienie. Znam go od dawna, jeszcze z Warszawy, ze szkoły. Dobrze mieć takiego kolegę z wolności. Gdyby jeszcze był chleb... O, Janek przestał polerować drzazgę, szuka czegoś wokół siebie.

- Co jest? – pytam leniwie.

- Potrzebuję gładkiego kamienia do ostrzenia noża. Nie ma tam gdzie koło ciebie?

- Tam coś leży... – wskazałem niewielki owalny kształt leżący o dwa kroki przed nami, za daleko by dosięgnąć go nie ruszając się. Mówili nam starzy, doświadczeni więźniowie – jesteś głodny, ruszaj się jak najmniej, oszczędzaj siłę, przydadzą ci się jeszcze. I my już wiemy, że to prawda.

Janek przesunął się na przód nie wstając, sięgnął, cofnął pod ścianę, oglądał kamień, chwilę ważył go w ręku.

- To nie kamień – powiedział cicho.
- A co?
- Chleb!

Natychmiast przysunąłem się jeszcze bliżej do niego. Szczęściarz – znaleźć kawałek chleba! Co prawda mały, na dwa kęsy, zeschnięty, zapiaszczony, trzeba go okroić, oczyścić trochę z piasku. Przetykam ślinę napływającą do ust.

- Dasz kawałek? – pytam. – To ja ci pokazałem...
- Dam... – odpowiada niechętnie.

Patrzę niecierpliwie, jak Janek delikatnie ścina cieniutką warstewkę zapiaszczonego chleba. Trochę piasku przecież może zostać, nic wielkiego. Taka okazja... Zaraz będę miał w ustach chleb! Będę żuł powoli, wolniutko, aż zamieni się w rzadką papkę, potem połknę i wreszcie przez chwilę nie będę czuł tego wściekłego ciągnięcia i pieczenia w brzuchu.

- Tnij... – popędzam Janka.

Ostrze noża wchodzi w chleb. Nie... Janek zatrzymał nóż! Pewnie się rozmyślił i sam zje cały kawałek. Sam...

- Nie mogę przekroić – mówi.
- Dlaczego?!
- Tam w środku coś jest.
- Gdzie?!
- W tym chlebie...

Przycisnął nóż mocniej, nadkroił chleb dookoła, cichutko zgrzytnęło, unióś warstewkę.

- Pieniądz... – szepnęliśmy z zawodem.
- Pokaż – wyciągnąłem rękę.

Trzymam na dłoni dużą błyszczącą monetę. – Twenty dollars... – sylabizuję. – Dwadzieścia – dojrzałem liczbę. – Masz – oddaję monetę Jankowi.

- Jak mało zostało tego chleba... - Janek dzieli sprawiedliwie okruszyny.
- Ale masz za to dolary! – pocieszam go.
- I co mi po nich? Wolę chleb. Chcesz, weź te dolary a ja wezmę chleb, dobrze?
- Nie, ja też wolę chleb.

Zeschnięte grudki rozpląły się w ustach nie wiedzieć kiedy. Janek chwilę obracał monetę w palcach a potem zamachnął się szeroko, rzucił. Błysnęła w słońcu, upadła na stok rowu i potoczyła się w dół. Cichutko plusnęła woda.

Siedzimy nieruchomo, oparci o ścianę bloku. Jeść... już nawet nie burczy w brzuchu, już tylko ciągnie i piecze.

KOCHANA MAMO

- Chłopaki, rolwaga jedzie!

Zerwaliśmy się z ziemi, tłumem przebiegliśmy przez drogę i zatrzymaliśmy się tuż przed drutami, prawie przy linii śmierci. Jedzie rolwaga... wielki taborowy wóz zaprzężony w gromadkę kobiet. Jest coraz bliżej, za chwilę przejedzie tuż za drutami ale blisko od nas, może ze dwadzieścia metrów, drogą prowadzącą od FKL-u w stronę na pół wykończonych bloków „Meksyku”. Patrzymy na kobiety uważnie, z nadzieją, może wśród nich jest mama... Nie ma... – wzdychają niektórzy z zawodem.

- Jest! –krzyknął ktoś machając gwałtownie rękami.

Spoglądamy na niego z zazdrością. Zobaczył swoją matkę...

Idąca obok wozu kapo w długich butach zatrzymała się na chwilę na poboczu drogi. Znamy ją już, to dobra kapo.

- Przygotujcie! – zawołała, rozglądając się czy w pobliżu nie ma esesmana. – Wracamy za godzinę!

- Do bloku, szczeniaki, do bloku! – zachrypiął za nami dobrze znany głos szrajbera, pisarza, pierzchnęliśmy więc na wszystkie strony, byle tylko nie dostać się w niebezpieczny zasięg jego rąk.

Wdrapałem się na pryczę, wsunąłem palce w szparę pod dachem. Jest! Kawałek szarego, grubego papieru. Mogę napisać. Do mamy. Krótki gryps, kilka słów, sygnał, że istnieję, że żyję. Czasem, raz na miesiąc czy dwa, dolatuje do nas przerzucony przez kapo zza drutów węzełek pełen wieści. Jaka radość wtedy w bloku! Ołówek, kto mi pożyczy ołówek?...

Rozglądam się po sąsiednich pryczach. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, na piecu, na garnkach, na kolanach, wszyscy wyglądają zdobyte strzępki bezcennego papieru, by napisać grypsy. Przy każdym ołówku już uformowała się kolejka czekających, niecierpliwych, popędzających – prędzej, po co tyle bazgrzesz, prędzej... O, przed Jędrkiem jest tylko dwóch czekających! Lecieć szybko do Jędrka!

- Za mną stoi jeszcze Wojtek – mówi ryży chłopak s sąsiedniej sztuby, gdy przysiadłem na pryczy.

- Który? – pytam ze złością. – Taki mały. O, już idzie.

A, to ten...Wojtek, najmłodszy w naszej sztubie. Opiekujemy się nim trochę, bo to przecież zupełny szczeniak, ma dopiero osiem lat a do tego taki niedorajda...nie umie kraść, gdy daje mu się przy podziale jego własny chleb, to mówi „dziękuję” i „przepraszam”, w ogóle to taki śmieszny... Że też wyrzucili go z FKL-u tu, do nas, do męskiego obozu?

- Umiesz pisać? – pytam go ot tak, bo choć on czeka w kolejce przede mną, to przecież pomogę mu.

- Umiem! Na wolności zdałem już do drugiej klasy – odpowiada z dumą.

- Ale przecież już cztery miesiące nie pisałeś. Pewnie zapomniałeś...

- Wiesz... – zawahał się i posmutniał. – Trochę się boję. Przepraszam – dodał niespodzianie.

- Za co? – zdziwiłem się.

- No, potrąciłem cię...

- Eee, nie wygłupiaj się.

- Mama zawsze kazała przeprosić.

- Aaa, mama. Jest teraz tam – wskazałem głową w stronę FKL-u.

- Tak. Jak wszystkie mamy.

- I co jej napiszesz?

- Nie wiem... – szepnął i spojrzał na mnie jakoś tak prosząco.

Nie wie... A co ja napiszę? To przecież tak blisko! Z daleka rankiem widzimy, jak matki wychodzą do pracy. Patrzymy na nie z daleka...gdyby można pobiec tam, odszukać mamę w tłumie, powiedzieć „Mamo”, przytulić się, pocałować, powiedzieć, że... Dość, dość!

- No, pisz szybko!

Wojtek z wahaniem wziął ogryzek ołówka, schylił się nad strzępką papieru, wysunął język aż na brodę, spojrzał na mnie, zamknął usta i wyprostował się.

- Pisz! Czekamy na ciebie. Pisz!

- Już piszę...

Starannie osłaniał ręką to, co pisał. Podniósł na chwilę głowę, ale nie widział nas, spojrzał na coś, czego na pewno nie było na ścianie bloku i znów pisał. Wreszcie skończył, oczy mu błyszczały.

- Proszę – podał mi ołówek.- Czy wiesz, jak to się składa? I... – zawahał się – i jak zaadresować?

- Zaraz ci pomogę.

Wojtek usunął się na bok. Pisałem szybko kilka najważniejszych słów – jestem zdrow, całuję, do zobaczenia, Bogdan. – I oddałem ołówek chłopakowi, który stał za mną.

- Wojtek też pisał? – spytał mnie cicho Andrzej, z którym zaprzyjaźniłem się jeszcze w czasie pierwszych dni pobytu w obozie.

- Pewnie – wzruszyłem ramionami.

- Niepotrzebnie.

- Dlaczego? Wiesz coś? – spytałem równie cicho.

- Dostałem gryps od siostry. Jego matka umarła w zeszłym tygodniu. Powiedzieć mu?

Zerknąłem na Wojtka trzymającego w palcach gryps delikatnie, jak jakiś skarb. Czekał cierpliwie na moją pomoc.

- Zgłupiałeś chyba – warknąłem do Andrzeja.

Złożyłem mój gryps w malutki kwadracik i pomogłem złożyć Wojtkowi. Chłopaki już zbierali karteczki, związali je w szmacianą kulę. Wyszliśmy przed blok i co chwilę spoglądaliśmy niecierpliwie w stronę „Meksyku”, skąd miała nadjechać rolwaga z naszą kapo.

- Bogdan, mogę cię o coś zapytać? – podszedł do mnie Wojtek.

- No, co chcesz? – wyciągałem szyję, by dojrzeć nad głowami kolegów nadjeżdżający wóz.

- Jak się pisze – zdrow?

- Tak... zdrow – napisałem szybko palcem na piasku.

- Na pewno? – szepnął Wojtek.

- Pewnie! A jak myślałeś?

- Nie...przepraszam. To znaczy, że pomyliłem się – szepnął smutno. Po brudnej twarzy stoczyła się łza. – Mamusia tak nie lubi, gdy piszę z błędami, a ja znów... fliknął nosem. – I teraz się zmartwi...moja mamusia... – chlipnął mocniej.

- No, nie przejmuj się! Głowa do góry! Nie becz! Najważniejsze, że napisałeś do niej, ucieszy się – odetchnąłem głęboko, szybko potrząsałem głową. – Mówię ci, że się ucieszy! To nie był duży błąd... – klepnąłem go do ramieniu.

- Nieduży? – Wojtek podniósł na mnie oczy zaszklone łzami, patrzył nieufnie, ale zaraz rozpogodził się – Nieduży... – uspokoił się.

- Jedzie! – krzyknął ktoś i podbiegliśmy jak można było najbliżej do drutów.

Patrzyliśmy w napięciu na zbliżający się wolno wóz i na szmacianą kulę w rękach sztubowego. Nasze listy zaraz polecą nad drutami...Dotrą do matek. Spojrzałem na Wojtka który, stał tuż przy mnie.

Dotrą. Muszą dotrzeć! Chociaż... kto to wie?

RÓWNOŚĆ UMIERANIA

Blok zaległa cisza. Patrzyliśmy na środek pieca i na blokowego, który wolnym ruchem odpiął pasek od spodni, zapętlił go i – zamarliśmy – zarzucił Ryškowi na szyję. Powiesi go?

Blokowy może, nikt mu nie zabroni, jemu wszystko wolno. Nikt się nie poskarży na niego, bo i komu? Niemcom? O, odwraca głowę, patrzy obojętnie na nasze nieruchome twarze. Kulimy się pod tym spojrzeniem. Powiesi Ryśka? Jeśli tylko zechce... Że nie zawinił tak bardzo? Że tylko na chwilę wybiegł z bloku, choć wiedział, że nie wolno wychodzić i wpadł prosto na przechodzącego esesmana. Za to można powiesić?

Blokowy przerzucił pasek przez belkę pod dachem baraku i pociągnął, Rysiek wspiął się na palce, wyżej, jeszcze wyżej, jeszcze, ktoś zapłakał krótko ale stojący obok wpełchnęli mu zaraz ten płacz w usta, wstrzymaliśmy oddech, Rysiek sapał szybko, przechylił głowę, był już wyciągnięty jak struna i ledwie ledwie dotykał pieca koniuszkami palców a blokowy jeszcze naciągał pasek i nagle puścił – Rysiek zachwiał się, stracił równowagę i spadł z pieca między prycze.

- Ostatni raz darowałem! – powiedział blokowy a my odetchnęliśmy. – Ale następnego to już naprawdę powieszę! Olek, daj mu teraz a dobrze!

I poszedł wolno w stronę wyjścia z bloku, gdzie miał swój pokoik.

Krwawy Olek rozciągnął Ryśka na piecu, zatarł dłonie i chwycił laskę. Za czwartym ciosem laska złamała się i Olek pozwolił zabrać Ryśka na prycze. Wciągnęliśmy go szybko na samą górę, pod dach. Byliśmy na niego wściekli, niewiele brakowało aby teraz i od nas dostał lanie. Zachciało mu się wychodzenia!.. A my teraz będziemy musieli wyprowadzać go na apel, do kibla, przynosić mu jedzenia, robić wszystko, aby został z nami, aby jako chorego nie zabrali go na rewir. Bo z rewiru to już tylko szczęśliwy przypadek pozwoli mu wrócić do nas, zdrowych jeszcze i jako tako silnych.

- Cholerny blokowy! Patrzcie na jego szyję, do krwi otarta...

- Trzeba by bandaża, jodyny...

- Olek też sobie nie żałował, bandyta...

Tacy oni byli. Dotąd zawsze mieli w swoim bloku tylko dorosłych więźniów a znani byli z brutalności i bestialstwa. Teraz, gdy w bloku znalazły się same dzieci, oni – blokowy i Krwawy Olek – nudzili się po prostu! Nie chodziliśmy do pracy, nie mieli okazji popędzać nas, jak to robili z innymi, dorosłymi więźniami. I jeszcze nas z chleba okradali. A Krwawy Olek – pierwszy pomocnik blokowego, to już przed wojną siedział w więzieniu. Gdy na placu apelowym nad tłumem chłopaków ukazywała się jego wielka łysa głowa, natychmiast urywały się wszelkie rozmowy, każdy chciałby zniknąć, zapaść się pod ziemię, byleby tylko nie stać przed Olkiem.

Bez żalu więc odeszliśmy z szóstego bloku, od Krawego Olka, do bloku trzynastego. Nasz stary blok zamieszkał transport powstańców ze Starego Miasta. Prawdziwi, dorośli więźniowie, którzy zaraz po przybyciu do obozu zaczęli chodzić do pracy. Blokowy i Krwawy Olek od razu wzięli się za nich ostro, po swojemu, jak oni to potrafili. Wieczorami, gdy patrzyliśmy na długą gąsienicę komand wracających z pracy poza obozem, widzieliśmy też naszych chłopców ze Starówki, niosących pobitych towarzyszy. A i później, już po apelu, biegali jeszcze długo dokoła bloku, klęczeli, padali i wstawali, a nad nimi miotali się z wrzaskiem blokowy, Krwawy Olek i inni, bo przecież takich jak oni w każdym bloku było kilku.

Aż kiedyś, po tygodniu czy może dwóch... Chłopcy ze Starówki nosili właśnie cegły spod Bramy Śmierci do obozu. Widzieliśmy ich krążących na tym krótkim odcinku drogi, tam i z powrotem, tam i z powrotem, ale chodzili sami, bez „opieki” blokowego, nikt ich nie popędzał, nie bił. Dziwne...

- Gdzie blokowy?! – dopadł do nich Olek, gdy już czwarty czy piąty raz przyszli sami do obozu.

- Blokowy... – spojrzeli po sobie.

- Widział ktoś z was blokowego? Nie...

- Gadajcie! Ale już! – skoczył do nich z lachą, ale zwarli się ciasniej i zbieleły im palce zaciśnięte na ceglach. Olek cofnął się o krok, potem jeszcze o krok. – Eee, niezłe chłopaki jesteście. Powiedźcie...

Ale oni milczeli.

- Jeden zostanie tutaj, w bloku, a ja pójdę z wami – zdecydował.

Widzieliśmy, jak po zakończeniu pracy wracali do obozu.

Szli twardo, równo, jak wojsko. Na końcu kolumny kilku z nich niosło długie i chyba ciężkie ciało, bo uginali się pod nim i zostawali w tyle za kolumną. Przy nich szedł Olek, dziwnie milczący i zgarbiony.

Przynieśli blokowego! – gruchnęło po obozie zaraz po apelu. Pobiegliśmy do chłopaków.

- Co z blokowym? – spytałem znajomego szesnastolatka.

- Normalnie – odpowiedział. – Wykitował.

- Ale jak?! Dlaczego?

- Za dużo byś chciał wiedzieć – odparł. – Lepiej nie kręć się tu dziś i zjeżdżaj do tego twojego przedszkola.

- Słuchaj, my byliśmy przedtem u tego blokowego. On nas bił, okradał, nienawidziliśmy go. Powiedz, jak to było...

- Już nikogo nie uderzy. Załatwiony, na amen!

- Na amen... Tak od razu...

- No, nie tak od razu. Najpierw dostał cegłą w głowę, a potem jeszcze parę noży. Zaraz z rana, gdy tylko poszliśmy na rampę. Cały dzień leżał, a my chodziliśmy tam i z powrotem, nosiliśmy te cegły. Ale wykitował dopiero w drodze do obozu. Tak trzeba było – dodał ciszej. – Niech wiedzą, ten cały Olek i reszta, że my tu nie za żadne szwindle czy handel, a za Powstanie i że z nami trzeba inaczej. Patrzcie na Olka, widzicie, jaki grzeczny?

Olek szedł w naszą stronę, cofnęliśmy się o krok gotowi do rozpięczenia się na boki, ale on przeszedł obok, jakby nas nie widział. Jak on dziwnie patrzył...tak jakoś bezradnie, niepewnie. Nagle stał się jednym z nas, więźniem, którego śmierć może osiągnąć w każdej chwili, z każdej ręki.

I nagle spojrzeliśmy na siebie różnie. Olek... co tam Olek! I druty były jakby jakieś niższe...

OŚWIĘCIMSKA BAJKA

Usypiałem już, gdy z drugiego końca pryczy usłyszałem szept Jacka, najmłodszego w naszej sztabie.

- Andrzej, nie udawaj, nie śpisz! – szeptał płacząco. – Andrzej... – skrzypnęły deski, pewnie Jacek trąca brata. – Przecież wiem, że nie śpisz... Andrzej...

- Ale zasypiam, śpij już, nie przeszkadzaj! – Andrzej zgromił brata.

Ma rację. Spać... zmęczyliśmy się dziś, niech to diabli. Cały dzień nosiliśmy cegły do obozu. Cztery cegły, każdy cztery cegły. Gdy najmłodszy ustawiali, kapo kazał brać im po trzy, potem nawet po dwie. A teraz ten szczył nie da spać! Ja bym go zaraz w ucho...

- Andrzej, nie śpij! A bajka?

- Co, bajka?

- Obiecałeś! Obiecałeś opowiedzieć!

- Obiecałem... – westchnął Andrzej i zaraz zaczął szybko mówić: - Przysuń się i słuchaj! Rano budzimy się, ale jest jakoś inaczej, nie było dzwonu na wstawania, kapo nie krzyczy i

każdy się porządnie wyspał. Patrzymy, a tu nie ma Niemców! Więc idziemy do bramy – otwarta! No i potem szybko biegniemy na stację i do domu, a tam już są rodzice, ściskamy się i całujemy, i jemy śniadanie, i drugie śniadanie, i obiad...

- Andrzej, nie tak...

- Jak to, nie tak...

- Ty tak byle jak. Powiedz dokładnie. Jeszcze raz.

Ma zachcianki ten mały – uśmiechnąłem się sennie – nie ma co! Zamęczy Andrzeja, a przy okazji nas wszystkich. Może by mu spuścić lanie albo...Nie, lepiej nie, lepiej posłuchać, co opowiada Andrzej.

- No, zaczynaj... od początku... bo poskarżę się mamie!

Śmieszny ten mały! Mama... Gdzie jest jego mama! Dobrze by było poskarżyć się, przytulić. Nie ma mamy. Nie wiadomo, gdzie jest i czy w ogóle jest. Tak wiele co dzień przejeżdża wozów z trupami... Biegunka, tyfus, głód, bicie... Poskarż się! Jaki on głupi, ten mały!

- Śpimy i śpimy – zaczął znowu Andrzej – i nikt nas nie budzi! Dawno już wyspaliśmy się, widno już zupełnie, a tu ciągle nie ma dzwonu na wstawania, i jakoś tak cicho na dworze. Wstaję z pryczy, patrzę, przy drzwiach nie ma kapo! Podchodzę bliżej, wyglądam na dwór, ale tak ostrożnie, przez szparę, żeby nie dostać kijem...

- A ja co robię? – upomina się Jacek.

- Ty stoisz w ogonku do kibla – odpowiada Andrzej. – Nie przerywaj! Wiadomo przecież, zawsze rano chce ci się susiać i nie możesz ustać w kolejce. Podchodzę do drzwi, patrzę, a tu i blokowego nie ma, wszystko pootwierane, nie ma szrajbera, nikogo!

- I pana Kazia też? – upewnia się mały.

Zabawni oni są z tą bajką! I to tak szepczą prawie co wieczór...

- I pana Kazia też. Za drzwiami też pusto. Nikt nie idzie do pracy, nikt nie krzyczy, nie bije, nie goni. Wtedy ktoś...

- To ja! Ja zawsze pierwszy patrzę na wieżyczki za drutami! – wtrąca znowu mały.

- Dobrze, ty. Wtedy ty patrzysz na wieżyczkę i wołasz: „patrzcie, patrzcie, nie ma esesmana!” Rzeczywiście, wieżyczka jest pusta. I druga, i trzecia, wszystkie! I już po obozie zrywa się krzyk: „Nie ma Niemców! Uciekli! Na wolność! Idziemy na wolność!”

- Mów trochę głośniej – dobiega szept z pryczy pod nami. Andrzej umilkł. – No, dlaczego przerwałeś? Mów, nie bój się. Mów! – domaga się ten z dołu. Tam śpią starsi, najwięksi i najsilniejsi chłopcy z całej sztuby.

- Więc Wojtek, ten z dolnej pryczy, wiesz, otwiera magazyn żywnościowy, a tam całe stosy chleba! Starczyło dla wszystkich po pół bochenka! A w kuchni znaleźliśmy kawę i trzy kotły esesmańskiej zupy, takiej dobrej, z boczkiem, z kartoflami i każdy zjadł, ile tylko chciał! I teraz dopiero wybiegamy z bloku. A w obozie pełno więźniów, wszyscy cieszą się, bija kapo, śpiewają, ściskają się. I wreszcie wolno, ostrożnie, ruszamy do bramy. Ostrożnie, bo tam przecież zawsze siedzą esesmani.

- Tak, i mają psy! Ale nic nie powiedziałeś o słońcu.

- Zapomniałem. Gdy wybiegliśmy z bloku, świeciło słońce, było ciepło, przez noc wyschło błoto i mieliśmy zupełnie suche nogi.

- Eee, to już bujda! – powiedział głośno ktoś z dolnej pryczy.

- Dlaczego? Może tak być... – bronił ktoś inny Andrzeja.

- Zamknąć się, ale to już! – warknął ktoś trzeci i znów zrobiło się cicho.

- Taaak – westchnął Andrzej. – Mieliśmy zupełnie suche nogi... A, prawda! Z płótna znalezionego w pokoiku blokowego uszyliśmy biało-czerwona flagę.

- Dużo flag! Blokowy na pewno ma dużo płótna!

- Niech będzie. I z tymi flagami, ze śpiewem, idziemy do bramy. A tu z wartowni wybiega więzień z karabinem, otwiera bramę szeroko i krzyczymy – hurra!

- A ja jedną flagę powieszę przy bramie, dobrze? Tam są nawet takie specjalne rurki do flag, zupełnie nisko, dosięgnę do nich, dobrze?

- Powieszisz. A za bramą znów wszyscy śpiewają, powiewają flagami i idziemy drogą wzdłuż drutów, przechodzimy obok Bramy Śmierci, patrzymy, a w bramie nad torami wisi nasz blockfuhrer Baretzki. Ten, który nas tu co dzień bije i który strzela do Żydów. Nie zdążył uciec i powiesili go nasi starzy więźniowie z czwartego bloku.

- Ci, którzy czasem przynoszą nam swoją zupę?

- Ci sami. I teraz przed nami już tylko jedna brama. Ale i tam nie ma Niemców!

- A kiedy spotkamy mamę?

- Zaraz, co się tak spieszysz? Znów zawieszasz flagę przy tej ostatniej bramie i wtedy słyszysz, jak ktoś woła: „Jacuś, syneczku, Jacuś!” Patrzymy, a to mama! Biegnie do nas, chwyta najpierw ciebie, całuje...

- Całuje... – szepnął mały.

- ...a potem spostrzega mnie, też całuje i razem już idziemy dalej. Ale ledwie wychodzimy za bramę, od strony Oświęcimia słychać strzały i nagle zza domów wyjeżdża czołg z białoczerwoną flagą. To nasi! I zaraz potem jedziemy prosto do domu.

- Pociągiem?

- Pewnie. Przywieźli nas do obozu pociągiem, to i wrócimy chyba pociągiem. Wreszcie wysiadamy na dworcu i idziemy przez pole koło smolarni, przechodzimy przez Szczęśliwicką, dużo domów spalonych, ale patrzymy, a nasz nie, stoi sobie...

- Przecież palił się, gdy wyganiali nas z piwnic...

- Ale spalił się tylko parter i piwnice.

- Piwnice... tam został mój konik i zabawki...

- Trudno, wojna!

- Ale szkoda konika. Lepiej, żeby się spaliło pierwsze piętro!

- Nie nudź! I jak tylko wchodzimy w Sękocińską, widzimy, że naprzeciwko nas idzie tatuś! A w mieszkaniu na stole stoi duży garnek kartofli i cały bochenek chleba, i masło,,,

- Kartofle takie w łupinach? – pyta sennie Jacek.

- Nieee. Białe, obrane, czyściutki... I długo, długo jemy, aż zupełnie nie jesteśmy głodni.

- I potem pewnie nie pójdziemy już do parku, tylko trzeba będzie odrabiać lekcje, uuuu – ziewnął Jacek.

- Lekcje... czy ja wiem? Szkoła pewnie spalona, trzeba będzie znaleźć inną. Pamiętasz jeszcze litery? – Andrzej spytał brata, ale ten nie odpowiadał. – Jacek, śpisz?

Cisza.

Leżałem nieruchomo, nie chciałem poruszyć się, bo ciągle jeszcze wędrowałem razem z nimi do domu, ulicami zgruzowanej Warszawy.

- Andrzej... – szepnął ktoś z dolnej pryczy. – Dokończ!

- Ciszej, sztabowy nie śpi! – wionęło ku nam ostrzeżenie.

- No, co tam?! – rozległ się groźny głos szesnastoletniego sztabowego.

- Nic, to tylko Andrzej nam opowiada.

- Niech opowiada, nie przeszkadzać! – zezwolił łaskawie sztabowy.

Przez chwilę trwa ruch na górnej i dolnej pryczy. I znów pełna oczekiwania cisza.

- Właściwie, to już skończyłem.

- Nie! Zaczęłeś mówić o jedzeniu!

- Co wam będę głupstwa gadał, jak temu małemu!

- Mów, sztabowy pozwolił.

Mów... Tak było dobrze... Widzieliśmy nasze domy, nasze miasta, przez chwilę byliśmy dziećmi, mów...

- Więc na stole – szepce Andrzej – leży cały, okrągły bochenek chleba...

SPOTKANIE Z MATKĄ

Nie ma gdzie schować się, a dawno już przemokłem i drzę z zimna. Ale nie wolno wejść do bloku, trzeba siedzieć na placu. Skuleni, ściśnięci w ciasne gromadki, czekamy na zmierzch, na apel, marząc o chwili, gdy położymy się wreszcie na mokrych pryczach – dach bloku cieknie jak sito.

- Bogdan! Widziałem twoją matkę! – szepcze Jurek kucając tuż przy mnie. Dyszy ciężko, jakby skądś przybiegł przed chwilą.

- Moją?! Gdzie?!

- Pracuje na „Be”, tuż obok nas, tylko przez druty! Leć, zobaczysz. Jest ich cała gromada, za drutami, koło waszraumu... wiesz, umywalni. Podobno mają tu przychodzić codziennie...

Nie słucham dalej, zrywam się, biegnę, przystaję wreszcie pod ścianą bloku.

Są! Za drutami stoi gromadka kobiet, krzyczą przez druty do kilku chłopaków z naszego bloku, którzy przybiegli tu przede mną.

Matki, nasze matki... Szukam oczami, patrzę...

Jesteśmy bardzo blisko siebie. Ścianę bloku od drutów dzieli nie najwyżej dziesięć kroków. Ale o jeden krok przed drutami rozciąga się jeszcze jeden cienki drucik. Krok za ten drut jest drogi, kosztuje życie, nawet wtedy, gdy w kolczastych drutach ogrodzenia nie płynie prąd. Bo z dalekiej wieżyczki patrzy na nas czujny esesman. I może strzelić. I na pewno trafi.

Siąpi drobny deszcz a nad kominem widocznego ponad barakiem krematorium chwieje się pióropusz ognia. I nagle... nie... kto to? Patrzę, patrzę z trudem, bo oczy zasłania mgła wzruszenia, żalu – tak, to ona, mama, moja mama!

Stoimy naprzeciw siebie, patrzymy na siebie. Widzę w jej oczach szczęście i przerażenie. Szczęście, że jestem tu, tak blisko, a przerażenie... Wiem, jestem potwornie brudny, obdarty... Przecież wyglądam tak, jak i ona...

Podchodzę do tego cienkiego, pojedynczego drutu. Mama też. Dzieli nas teraz zaledwie trzy metry. Nie mówimy nic. Patrzymy. Uśmiecham się, ale musi to wyglądać bardzo żałośnie. Mama, mamusia jest tak blisko mnie...

- Strasznie schudłeś, syneczku – mówi, a łzy płyną jej po policzkach.

- Eee, nie jest tak źle! – oburzam się niezręcznie.

- Mam tu kawałek chleba... – mama rozpina szybko pasiasty kaftan, wyciąga roztrzęsionymi rękami małą pajdkę. – Łap!

- Nie! Nie chcę! Mam dość chleba! – kłamię. Przecież, jeśli mama da mi ten chleb, to sama nie będzie jeść! Nie mogę, nie chcę! Ale pajdka chleba frunie już nad drutami i upada tuż przy mnie. Podnoszę ją i ciskam z powrotem.

- Uciekaj, synku, uciekaj! – krzyczy mama.

Spojrzałem szybko w bok. Za późno! Esesman już zeskoczył z roweru, zamachnął się szeroko, pociemniało mi w oczach, zaryłem twarzą w błoto. Padając widziałem jeszcze, że za drutami też jest esesman, a jego czerwony bat raz po raz spada na głowę i plecy mojej matki.

Wrzask Niemca i ból poderwały mnie z ziemi, pchnęły do ucieczki. Biegłem zygzakami, strzeli czy nie, strzeli czy nie... Wreszcie ściana bloku, mojego bloku, wpycham się między siedzących chłopaków, opieram się o ścianę i zsuwam się po niej w dół, siadam na błocie, nie mam już siły, czekam... Esesman zaraz tu będzie, znajdzie mnie, zacznie znowu bić, nie mogę złapać tchu, duszę się ale siedzę, bo gdzie dalej ucieknę... Co z moją mamą? Przesuwam się między chłopakami na czworakach, wyglądam na drogę. Nie widzę esesmana. Czai się? Nie, jest, widzę, jedzie rowerem w głąb obozu, jest już daleko...

Obiegam blok dokoła i znów jestem przy drutach. Tamten esesman z drugiej strony drutów też już odjechał. Mama! Dwie więźniarki ciągną ją po błocie, a mama niezdarnie, tępo przestawia nogi, nic nie widzi, nic nie czuje... Zza baraku wybiega trzecia więźniarka i rzuca się w błoto. Drapieźnie sięga rękami po leżącą w błocie pajdkę chleba i chowa prędko pod pasiak.

ŻOŁNIERZYK

Mama! Wchodzi do pokoju, wyciąga do mnie ręce, chcę rzucić się w jej objęcia, ale moje nogi są sztywne, nie mogę do niej dojść, dotykam tylko jej dłoni końcami palców, wiem na pewno, że dotykam!

Otwieram oczy. Tak. To sen, znów tylko sen. Nie ma mamy, choć czuję jeszcze jej ciepłe dotknięcie, unoszę rękę i poruszam nią w ciemności, tuż przed oczami. Palce... moje palce, widzę je wyraźnie, dotknąłem nimi przed chwilą ręki mamy, była przy mnie, wiem, że była! A przecież to nieprawda...

- Mamo! Mamo! – woła Krzyś. Śpi blisko mnie, przegradza nas tylko Wojtek. – Mamo... – powtarza już na pół rozbudzony.

- Nie wrzeszcz! Śpij... – Wojtek kuksnął go w bok, szarpnął się między nami i znów sapnął równo raz i drugi. Spał. A ja już nie mogłem usnąć.

- Mamo... – szepnął znów Krzyś.

„Nie śpi – pomyślałem – Tak jak ja. Śniła mu się mama... Jak mnie. A teraz mu żal...”

Leżałem patrząc w strop wiszący tuż nad nami. Gdzie mama? W FKL-u? A może nie? Bo przecież wywożą teraz do Dachau, Sachsenhausen, Buchenwaldu... A może... Nie, jest, na pewno jest, tu blisko, na FKL-u...

Zejść teraz na dół, do kibla? Dziś przy drzwiach bloku siedzi ten stary z fajką, może dosięgnąć mnie lachą, gdy będę przechodził koło niego, lepiej więc leżeć, poczekać, aż rozlegnie się dzwon.

Co on? Co ten Krzyś wyprawia? Rozwija coś, trzyma przed oczami, obraca w palcach, coś małego, białego. Ciekawe... przecież nie mamy tu nic swojego, rewidowali nas już kilkanaście razy i zabrali wszystko, wszyściutko. Co on może oglądać? Po ciemku? Ciekawe. Szepcze coś, nie rozumiem, nic nie rozumiem. No, słyhać dzwon, teraz trzeba szybko na dół, do kibla, bo zaraz będzie przed nim kolejka na pół bloku.

- Krzysiu... – szepnąłem do niego, gdy siedzieliśmy już pod ścianą bloku.

- Masz chleb? – przysunął się natychmiast. – Daj...

- Nie mam. Krzysiu, coś ty oglądał dziś rano przed dzwonem?

- Nic – odparł szybko.

- Przecież widziałem! Powiedz, nie bój się.

- Nie! Będziesz się ze mnie śmiał. I powiesz chłopakom i wszyscy się będziecie śmiać.

- Nie powiem...

- Słowo?

- Słowo – uderzyłem się w piersi.

- Nie, nie powiem ci, nie mogę – zdecydował.

- Eee! – odwróciłem się rozgniewany.

- Bogdan... Patrz - Krzyś sięgnął do kieszeni, wyciągnął do mnie zaciśniętą pięść i rozchylił palce. Na jego dłoni leżał ołowiany żołnierz.

- Skąd masz? – zdziwiłem się ucieszony widokiem ukochanej zabawki. Żołnierzyk... miałem ich w domu mnóstwo. Prawda, nawet tu, do obozu, przywiozłem pudełko marynarzy, ale już dawno oddałem jakiemuś maluchowi.

-Jeszcze z domu. Miałem ich dużo, cały pułk, ale teraz został mi już tylko jeden – szeptał Krzyś.

- Pokaż... – sięgnąłem po żołnierzyka.

- Ale ostrożnie! I żeby nikt nie zobaczył.

Żołnierzyk! Na zielonej podstawce galopuje biały koń, a na nim siedzi ułan. Koń wyciągnięty jest w galopie, na lancy ułana furkocze chorągiewka. Ułan ubrany jest w granatowy mundur, spodnie z czerwonymi lampasami, na głowie ma wysokie czako ze strojną kitą.

- Trzymaj – oddałem Krzysiu jego skarb. Chwycił w dłoń i zaraz ukrył żołnierzyka w kieszeni na piersiach.

- Niedawno miałem jeszcze jednego, ale złamała się podstawka. Teraz ułanowi jest smutno. Stale musi siedzieć w kieszeni, ciemno mu tam, duszno – mówił do mnie cichutko.

Spojrzałem na Krzysia, już miałem prychnąć śmiechem, ale patrzył na mnie tak ufnie, że się nie roześmiałem.

- Pewnie – powiedziałem tylko.

- A najgorzej to już konikowi. Widziałeś jaki jest chudy? Karmię go czasem okruszkami chleba, ale on nie chce, pewnie wołałby zjeść siana, owsa..

- Pewnie – szepnąłem.

- Ułanowi mundur się podarł, widziałeś? - sięgnął jeszcze raz do kieszeni, wyjął żołnierzyka i podsunął mi go przed oczy. Spod farby wyzierał gdzieś szary ołów.

- Biedni oni – szeptał dalej mały. – A co by było, gdyby esesmani go znaleźli... Ułanowi zaraz by zabrali szablę i lancę, dali pasiak, numer, a koń... Koni oni chyba nie biorą do gazu? – spytał nagle przestraszony.

- Pewnie, że nie! Ale musiałyby pracować dla nich.

- Może by zamiast nas ciągnął rolwagę, co?

- Może... – mruknąłem. Nie chciało mi się już bajdurzyć o tym żołnierzyku.

- To wiesz, to lepiej ja ich schowam...

Któregoś dnia rano, gdy komanda wyszły do pracy, blokowy wypędził nas na plac i ustawił w ciasną kolumnę. Pomaszerowaliśmy do dalekiej łaźni.

- Rozbierać się, szybko! – popędzali nas funkcyjni.

Po paru minutach staliśmy nagim tłumem w olbrzymiej sali i patrzyliśmy, jak powiązane w tłumoki nasze ubrania wędrują do odwszenia. Rozejrzałem się po sali, szukając chłopaków ze sztuby. O, jest Krzyś.

- Gdzie ułan? Tam? – wskazałem głową stos ubrań.

- Skąd! Mógłby już do mnie nie wrócić, udusić się, albo co! Mam go tu, o... – rozchylił na chwilę piąstkę.

- Rewizja! – krzyknął w tej chwili blokowy otwierając drzwi do sąsiedniej sali z natryskami. – wszyscy wziąć buty do lewej ręki, podchodzić kolejno sztabami, tylko nie pchać się, szczeniaki!

Patrzyłem, jak esesmani i funkcyjni wytrząsają każdy but, zaglądają chłopcom w usta i popychają ich dalej, do umywalni. O, Krzyś jest już koło blokowego. Blokowy potrząsa jednym butem, drugim, zagląda mu w usta...

- W porządku, uciekaj już, do basenu, szybko! – komenderuje automatycznie.

- Halt! – zawołał stojący obok esesman.

Blokowy chwycił Krzysia za ramię, przytrzymał. Esesman podszedł do niego, uderzając pejcem po cholewie buta.

- Co masz w rękę? – powiedział do Krzysia. – Pokaż! Nie, drugą rękę.
- Krzyś podniósł na niego przerażone oczy, wyciągnął zaciśniętą piąstkę przed siebie. Nie otwierał jej, tylko ciągle patrzył w twarz esesmana.
- No! Pokaż! Schnell! – niecierpliwił się Niemiec.
- Krzyś wolno rozprostował palce.
- Ooo! – zdziwił się Niemiec. – Der Soldat... – patrzył zawiedziony, skrzywił się, spojrzął z góry na Krzysia i ujął żołnierzyka w dwa palce. – Dragon, aa? – zapytał.
- Nie, Herr Blockfuhrer, polski ułan, napoleoński... – odpowiedział szybko Krzyś.
- Ulan... gut, ab! – machnął ręką esesman, upuścił żołnierzyka na posadzkę, postawił na nim ciężki bucior, przekręcił stopą w prawo, w lewo, strącił zmiażdżoną blaszkę do basenu w którym wciąż stał Krzyś. – No?! Ab! Nie gap się! Wyłaź! – wrzasnął widząc, że chłopiec nie rusza się.
- Z pryszniców lunęła lodowata woda, potem przez chwilę był prawie wrzątek a zaraz po nim znów zimna woda. Próbowałem umyć się, gdy ktoś potrącił mnie.
- Czego?! – nie mogłem usunąć się, bo pod prysznicami było bardzo ciasno.
- Mój żołnierzyk... Widziałeś?
- To Krzyś. Stał przy mnie i tarł zaczerwienione od płaczu oczy.
- Widziałem. No cóż, trudno...
- Rozdeptał go. Dlaczego... Przecież nie musiał, prawda? Przecież nie musiał...

SEN O BUTACH

- Uwaga! – szept niesie się z pryczy na prycze, przez całą długość bloku. Przycisnąć głowy do desek, zmrużyć oczy, wstrzymać oddech.
- Spać, szczeniaki, spać... – gruby, znajomy głos i ciężkie kroki. To Olek. Krwawy Olek. Drzwi w szczycie baraku są otwarte i wpada przez nie smuga światła z lamp płonących na drutach. Duszno. Cały dzień świeciło słońce i blok jest teraz nagrany, suchy, nie ma czym oddychać. Usnąć, usnąć jak najprędzej, nim ze szpar wypełzną roje pluskiew i po bloku rozejdzie się ich ciężki, gorzkawy smród, nim zapiszczą szczury, biegające po nas bez najmniejszego lęku.
- Twardo. Ciasno. Na każdym piętrze pryczy śpi po dziesięciu chłopców – ośmiu rzędem obok siebie i dwóch, najmniejszych, przy nogach tych ośmiu. Odpycham łokciem Ryżego. Zawsze się pcha. I jak to śpi! Ledwie zamknął oczy, już śpi. A ja nie mogę. Gdyby choć można było przekręcić się na drugi bok, ale nic z tego, za ciasno. Gdy przyjechał do obozu drugi transport. ze Starego Miasta, na i tak już przepelniony nasz blok dziecięcy, dodali nam jeszcze ponad stu chłopaków. „Muszą się zmieścić!” – rozkazał Blockfuhrer i blokowy upchał nas na pryczach jak śledzie.
- Jutro będę miał buty... Nawet już się nie cieszę. Coraz częściej pada deszcz, coraz więcej błota. Nareszcie nie będę chodził boso. Moje stare buty z domu rozleciały się po trzech miesiącach a tu nikt nie pyta, dlaczego chodzę boso. Kiedyś poprosiłem Krwawego Olka chociaż o jakieś kaptcie – tak się tym zdziwił, że nawet mnie nie pobił. A mógł dać kopa, że hej! Z Olkiem nie ma żartów. Czasem śmieje się, ale niedobrze uwierzyć, że to dobry humor. Najmocniej bije, gdy jest taki niby wesoły.
- Gdzie położyć chleb? Przecież nie może mi zginąć! Chleb... za chleb w obozie można wszystko dostać. A ja mam całe pół bochenka! Co dzień oszczędzałem jedną cieniutką kromeczkę. Jak to było trudno... Rano jeszcze można wytrzymać, ale gdy słońce jest wysoko i

koledzy zaczynają jeść ukryte z poprzedniego dnia skórki... Gdyby można nie patrzeć, nie słyszeć, jak jedzą... A ja mam chleb i nie jem. Mam chleb, ale przecież chodzę boso. Znienawidziłem własne nogi. Gdybym nie miał nóg, nie musiałbym mieć butów! Nikt mi ich nie da. Tatuś nie kupi, bo go tu nie ma, a nawet gdyby był, cóż by zrobił? Nie pomyślałem wychodząc z domu, że choć to dopiero sierpień, trzeba mieć na nogach solidne, zimowe buty. A kto zresztą w czasie Powstania myślał o butach!? I dlatego przyjechałem do obozu w sandałkach, które rozleciały się szybko, i teraz muszę głodować. Aby uciuć na buty.

Gdzie położyć chleb? Jak mi burczy w brzuchu... Odkroję chociaż cieniutką kromeczkę. Nie! Nie można, bo wtedy nie będę miał całe pół bochenka i trzeba będzie dalej chodzić boso. Gdzie schować, gdzie schować ten chleb... Może trzymać w rękach? Nie, przecież jak usnę, to upuszczę i ukradną. Zawinąć w szmaty, włożyć pod głowę... Tak! Tak będzie najlepiej, najpewniej.

Co to... Coś szeleści... ktoś się skrada... Po mój chleb! Nie, zdawało mi się, jest cicho, wszyscy śpią. Jutro... Jutro będę miał buty. Oglądałem je już. Jeden chudy więzień zdjął but z nogi, pokazał mi. „Widzisz, prawie nowe. Będą twoje, ale przynieś pół bochenka chleba” – powiedział. Trochę za duże, ale to nic, nawet lepiej, będę mógł nosić grube skarpety. Tylko że skarpet nie mam. Może zorganizuję gdzieś sweter z rękawami... wtedy urnę rękawy i będę miał skarpety! Buty są czarne, z małą cholewką, na gumie, nie podrażnią tak prędko. Ryży mówił, że to pewnie po tych z piętnastego bloku, których w środę wzięli do gazu.

Niedobrze spać na chlebie. O, jak pachnie... Jasiiek, nasz sztubowy, śmiał się ze mnie, że to przecież nie chleb, że to same trociny! Nieprawda! To dobry chleb! Tyle chleba mieć pod głową i nie jeść. Nie, nie usnę chyba.

Tak zimno teraz chodzić po błocie... I stać na apelu... Przecież to październik. Ale jutro na apelu będę stał w butach! To mój pierwszy zakup. No, w domu też czasem coś w sklepie kupowałem, takie różne drobne rzeczy, cukierki, znaczki, ale butów nigdy. A tu, w obozie... kiedy straciłem koszulę w dole ze śmieciami pod kuchnią, to drugą koszulę zorganizowałem z sąsiedniego bloku. Zorganizowałem... to znaczy ukradłem. A teraz buty kupię, za własny, zaoszczędzony chleb.

Znów szelest! Ktoś idzie... Nie, zdawało mi się, jest cicho, wszyscy śpią. Wszyscy. A chleb leży pod moja głową. Jest bezpieczny.

- Bogdan, wstawaj!
 - Co, dlaczego...
 - Jak ty wyglądasz, ha ha!
 - Co tobie? Ale spuchłeś na gębie...
 - Nie wiem – bąkam oczadziały snem, głowę mam ciężką, obolałą.
 - Nie mogliśmy cię obudzić!
 - Mój nos... co się stało?!
 - Coś cię ugryzło. Krzyczałeś przez sen, machałeś rękami, śniło ci się chyba coś złego.
 - Nie wiem – macam spuchnięty czubek nosa. – Nie pamiętam.
 - Sztubowy schylił się, przysiadł na brzegu pryczy. – Pokaż ten nos!
 - Przysunąłem się bliżej. On starszy, on pomoże.
 - Obejrzał nos z bliska, dotknął, syknąłem, bo zabolalo. - Jasne – powiedział. – To szczur.
 - Szczur?! – cofnąłem się wystraszony.
 - Tak, ugryzł cię w nos.
 - I co, będę chory, może umrę...
 - Zobaczy się – blokowy wzruszył ramionami. – Ze szczurami nigdy nie wiadomo.
- Pamiętam, jak u nas na Starówce, w Powstanie...
- Chleb! – przypomniałem sobie nagle. – Gdzie mój chleb?! Miałem pod głową! Całe pół bochenka! Na buty...

Szukać... Macam dokoła, nie ma, nie ma, grzebię w szmatach, prędeż, prędeż! Jest. Ulga i radość. Nikt nie ukradł, gdy spałem. Wysupuję chleb z gałganów, ręce mi drżą. Ale co to? Dlaczego jest taki lekki? I nagle... widzę. Z chleba została tylko sama skóra, cały miękisz wyjedzony, w twardych miejscach pozostały ślady drobnych ostrych zębów.

- Ale sobie pojadł! – Ryży ogląda pogryzioną skórę od chleba. – Zjadłby i resztę, ale przez sen machałeś rękami, przeszkadzałeś mu pewnie, i wtedy ugryzł się w nos.

- Buty... – szepczę – Moje buty...

- Jakie znów buty? Buty też ci zjadł – spytał sztabowy a koledzy roześmieli się przymilnie.

- Nie... Ja nie mam butów, chciałem kupić, dziś rano... za ten chleb...

CYGAŃSKIE DZIECI

- Ty, Polak, daj chleba... – usłyszałem zza drutów. Zatrzymałem się, obejrzałem. O parę metrów, tuż za drutami i pasem śmierci, stał mały Cygan.

- Chleba... a może i kielbasy, co? – spytałem drwiąco, ale nie odchodziłem. – Umiesz po naszymu? – zdziwiłem się.

- Umiem. My z Węgier, ale i w Polsce byłem. Polak, daj chleba...

- Nie mam...

- Nie dla mnie, dla niej – schylił się i wziął za rękę małą, dwuletnią może dziewczynkę. – To moja... – chwilę szukał odpowiedniego słowa. – To moja Schwester...

- Siostra – poprawiłem.

Patrzyłem na małą. Włosy miała czarne, lśniące, spadające na ramiona i oczy. Ostatnio w obozie widzieliśmy dużo Cyganów. Byli w sektorze „B”, tuż obok nas, słuchaliśmy ich niezrozumiałego języka, patrzyliśmy na co dzień topniejące szeregi, na wielki ogień buchający z krematoryjnych kominów. „To Cyganie lecą do nieba” – mówiło się znacząco w październiku 1944 roku. I wreszcie któregoś dnia cały sektor „B”, ponad trzydzieści baraków, stał pusty i cichy. Nie... był jeden jeszcze blok tętniący życiem. Blok, w którym mieszkały cygańskie dzieci.

Spojrzałem bacznie na wieżyczki strażnicze i podszedłem do linii śmierci. Jestem teraz o dwa, trzy metry od Cyganów. Mała patrzy na mnie wielkimi, czarnymi oczami, na dnie których połyskują chwilami ciepłe brązowe cętki.

- Kleba... Daj! – powiedziała wolno.

- Naprawdę nie mam – odpowiedziałem i rozłożyłem bezradnie ręce. Bo gdybym miał, dałbym... – A gdzie twoi starzy? – spytałem chłopaka.

- Starzy? – powtórzył. – Nie rozumiem.

- No, rodzice, familia...

- Tam... – wskazał za siebie, na krematorium – Jeszcze tylko my zostali, dzieci.

- Słuchaj, nie mam chleba, ale mogę wam przynieść zupy – przypomniałem sobie nagle. Przecież dziś byli w naszym bloku starzy więźniowie opiekujący się nami po kryjomu i przynieśli wielki kocioł dodatkowej zupy. Udało mi się schować garnek na belce pod stropem. Dam im połowę. – Tylko jak ci podać... zmartwiłem się. – Przecież nie rzucę garnka nad drutami...

- Przez druty!

- Wariat! Zginę, prąd mnie zabije!

- Nie, teraz nie ma prądu. Przynieś.

Za chwilę byłem z powrotem. Mocno ścisnąłem garnek. Miedzy mną a Cyganem jeżyły się rzędy kolczastych drutów.

-No i co teraz? Boję się... – zerknąłem na wieżyczki strażników. Były puste. Tylko te druty...

- Patrz! – Cygan schylił się, przeszedł pod drutem wyznaczającym pas śmierci i chwycił gołą dłonią kolczasty drut. Stał. Nie spłonął, nie umarł. – Widzisz, nie ma prądu. Daj garnek...

- Trzymaj... – ostrożnie, jak tylko można najostrożniej, wsunąłem garnek pomiędzy druty. Z drugiej strony wyciągnęły się zaraz po niego chciwe ręce Cygana. Jeszcze, jeszcze, już cały garnek jest między drutami. Och! Dotknąłem ręką do ostrego kolca, mało nie upuściłem garnka między druty. Już, już, Cygan chwycił garnek, pociągnął do siebie. Ostrożnie wysunąłem dłońe spomiędzy drutów, osunąłem się za pas śmierci i patrzyłem, jak mała łapczywie je zimną kaszę i jarmuż, siedząc na ziemi tuż za drutami.

-Ty dobry dla Cygana, Cygan nie zapomni – chłopak kucnął obok siostry, palcem zbierał zupę z brzegu garnka i zlizywał go szybko.

- Przyjdźcie jutro, może będę miał kawałek chleba...

- Cygan nie zapomni, Polak...

- Co z wami zrobią?

- Nie wiem. Albo wywiozą, albo pójdziemy tam... – wskazał na pulsujący ogniem komin.

- Dużo was zostało?

- Trzy setki... same dzieci.

- Takie małe? – wskazałem na dziewczynkę.

- Ona najmłodsza u nas. Ona się tu... – zawahał się, szukał właściwego słowa.

- Urodziła? – podsunąłem, bo słyszałem, że jest kilkoro dzieci urodzonych w obozie, których esesmani nie uśmiercili zaraz w pierwszej godzinie życia.

- Tak! Cygan nie zapomni, Polak...

- Już gwizdzą na apel! Przyjdźcie jutro!

- Mam pajdkę chleba, trzymaj! – krzyknąłem do Cygana następnego dnia. Przy drutach było pusto, tylko my dwaj i ta mała, ustrojona w kokardę z kawałka papierowego bandaża. Zamachnąłem się, rzuciłem niecelnie, Cygan skoczył w bok jak kot, chwycił chleb, podniósł do ust, ale opuścił.

- Polak, weź ten chleb. Mnie nie trzeba.

- Co ty!? Dziś dali nam dodatek, bierz, ja jeszcze mam.

- Dziś był u nas lagerartz.* Musieliśmy iść przed nim nago przez cały blok. Ja słyszałem, jak on powiedział – wieczorem.

- Co – wieczorem?

- Wieczorem nas zabiorą.

-To chleb przyda się wam na drogę.

- Nie, to blisko. Oni nas wezmą do gazu.

- Może nie, może pójdziecie w transport, weź! – prosiłem czując, że brak mi tchu.

- Nie, ty sam zjedz. Ty dobry dla Cygana. Słuchaj, weź ją do siebie – wskazał na siostrę.

- Ja?! – zdumiałem się. Cygan wszedł po drut śmierci i zbliżył się do drutów. – Co robisz! Ostrożnie!

- Mnie wszystko jedno – odpowiedział chwytając za przewody. – Patrz! Żyje. Ona mała, ona łatwo przejdzie między drutami. Weź ją...

- Ale przecież zobaczą!

- Ona nie ma numeru, jej na selekcji nie widzieli.

- U nas w bloku są sami chłopcy.

- Oddasz ją na blok do waszych dziewczyn. Starzy więźniowie pomogą. Tylko pilnuj jej, jak brat.

- Zaraz polecę po kogoś starszego – nie wiedziałem co robić, broniłem się, chciałem odwlec przejście małej przez druty, bałem się...

- Nie! Nie zechcą jej wziąć. Oddasz ją, gdy nas już nie będzie. Rano. Wtedy starzy ją wezmą, będzie mus.

- Dobrze, daj ją... – zdecydowałem się. Tylko gdzie ją ukryć... – myślałem gorączkowo. – przecież jak ktoś zobaczy, doniesie Niemcom... – Powiedz jej, że ma dziś siedzieć cicho, jak mysz! I niech nie beczy!

Cygan skinął głową, długo coś mówił do małej. Patrzyła na niego poważnie, skinęła główką, wzięła w rączki chleb i podeszła do drutów. Obejrzała się na brata.

- Prędko! – spojrzałem na wieżyczkę strażniczą. – Posten nie patrzy, teraz! – ponaglałem.

Ostrożnie wsunęła nóżkę między druty. Cygan uniósł jeden drut, stopą nacisnął drugi, jeszcze chwila i mała znalazła się tuż przy słupie, między rzędami kolców. Przeskoczyłem przez pas śmierci, wyciągnąłem rękę do małej, jeszcze chwila, już była między drutami po naszej stronie, jeszcze chwila...

Zaskwierczało, nawet nie krzyknęła, szerniała nagle, zmaląła, dym i swąd spalonego ciała przepłynął obłoczkiem ku mnie.

- Włączyli... włączyli... – szeptałem, nie mogąc oderwać oczu od tego, co z małej zostało. – Włączyli...

Cygan stał za drutami bez ruchu, patrzył na kokardę dopalającą się na kolcach drucianego ogrodzenia. Wreszcie podniósł głowę i spojrzał na mnie wielkimi suchymi oczami. Nie mogłem odwrócić wzroku od jego twarzy.

- Polak, widziałeś... to przeze mnie. Widziałeś...

- Tak...

- Włączyli. Tak chciałem, żeby żyła...

- Ja też! – Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. – Słuchaj, zaraz tu będą esesmani! Widzieli, że ktoś się spalił!

- To co, że będą...Uciekaj, Polak, uciekaj...

Uciekłem. Bez słowa schowałem się w kąt bloku, przesiedziałem w nim aż do apelu. Wieczorem czekałem bez snu na coś, co musiałem usłyszeć. Jakoś tak w środku nocy, niedaleko nas, rozległy się krzyki i płacz. W bloku zaszumiały szepty i po chwili przygniotła nas cisza nasłuchiwanie. Więc mały Cygan prawdę mówił, biorą ich. Gdzie? Ostatni Cyganie. Starzy więźniowie mówili nam, że przez cały październik Niemcy spalili ich dwieście tysięcy! Co to?! Coś huknęło o ścianę bloku. Strzał? Nie... Co to mogło być...

- Bogdan, śpisz? Bogdan... – trącił mnie sąsiad na pryczy.

- Nie! – odpowiedziałem. – Cicho!

- Biorą Cyganów...

Po pewnym czasie płacz i krzyk ucichł, jeszcze chwilę trwał za ścianą bloku jakiś ruch i wreszcie nad obóz wróciła cisza. Wsłuchiwaaliśmy się w nią, czekaliśmy na stukot zderzaków kolejowych, na gwizd parowozu. Daremnie.

Rano, gdy wreszcie można było wyjść z bloku, pobiegłem spojrzeć na obóz „B”. Pusto, nigdzie żywej duszy. Obok bloku, w którym wczoraj jeszcze były Cygańskie dzieciaki, walał się stos garnków i kubków. Nie wzięli ich ze sobą. Znaczą, że poszli blisko...

Coś brzęknęło mi pod nogami. Garnek, mój garnek, z którego jadła kaszę mała Cyganka. To ten garnek rzucony zza drutów stuknął w nocy o ścianę bloku. Na pożegnanie.

Z komina krematorium unosi się gęsty czarny dym, czarny i falisty, jak włosy tej małej. Nawet nie wiem, jak miała na imię...

* - lagerarzt – esesmański lekarz w obozie.

APEL

- Chodź! Szybko! – Wojtek wskoczył między prycze i szarpał Andrzeja za ramię.
- Gdzie?! Po co?
- Szybko! Coś zobaczysz...

Wybiegli. Usiadłem na pryczy. Stało się coś? Może znaleźli coś do zjedzenia... Za nimi, prędko!

Ujrzałem ich daleko, biegnących w głąb obozu. Wreszcie przywarli do ściany i ostrożnie zaglądali do wnętrza bloku. Obejrzeni się trwożnie, gdy usłyszeli moje człapanie, gestami nakazali ciszę. Przysunąłem się wolno do szpary w uchylonych w drzwiach.

Ubikacje. Długie betonowe podwyższenie z rzędami otworów. Są... Dwaj esesmani nad otwartym szambem ryczą wielkim śmiechem. Oszaleli? Z czego tu się śmiać?

- Komm, komm! – wołają i tłuką się z uciechy po plecach. Jeden z nich to nasz Blockfuhrer Baretzki.

- Co oni? – szepcze Andrzej, ale Wojtek ucisza go krótkim uderzeniem łokcia.
- Ciii...

Patrzę na esesmanów. Co oni widzą w tym dole? Zaraz... czyjaś dłoń chwyta za krawędź betonu! Tam w dole ktoś jest! W szambie!

- Schnell! – ryczy Beretzki i zatacza się ze śmiechu.
- Schnell! – wtóruje mu drugi esesman i klepie się po udach.

Widzę drugą dłoń, łokieć w zmoczonej brudnym pasiak, ramię, wreszcie z kloaczego dołu wypełza więzień, wstaje, chwije się na nogach. Esesmani cofają się o krok.

- Achtung! - wrzeszczy jeden z nich. Więzień usiłuje stanąć na baczność, prostuje się. Baretzki wznosi laskę, bije krótko, mocno, prosto w głowę, więzień zwala się ciężko do kloaki, aż gówna tryskają wysoko pod strop bloku.

Esesmani ryknęli śmiechem, pokazują sobie jak padał, jak kurczowo chwytał rękami powietrze.

- Komm, schnell, komm! – popędzają gramolącego się w dole więźnia.

Patrzemy z niedowierzaniem. Jak długo tak można! Więzień wypełza, dostaje znowu laska w głowę, znów wpada do dołu, znów wypełza... Długo, długo walczy, za długo. Esesmani przestają się śmiać, przestał bawić ich rozpaczliwy opór więźnia. Wreszcie wściekają się. Jeden z ciosów jest straszny. Chwila szamotania w dole, bulgotanie kloaki i - cisza. Esesmani pochylają się nad dołem, spoglądają na siebie i obciążając mundury i poprawiając pasy ruszają do wyjścia. Przebiegamy szybko za róg sąsiedniego bloku, widzimy, jak Niemcy wsiadają na rowery, odjeżdżają.

- Ale mu dali... – mówi szeptem Andrzej. – No, wracamy do bloku.
- Czekaj! – Wojtek chwyta go za ramię. – Zobaczmy co z tamtym!
- Jak to co? Wiadomo...
- Zobaczmy...

- No, jeśli koniecznie chcesz – niechętnie godzi się Andrzej.

Ostrożnie zaglądamy do pustej zupełnie ubikacji i podbiegamy do kloaki.

- Nie ma go! – zdumiewa się Wojtek
- Jest, na pewno jest – mówi niechętnie Andrzej. – Chodźmy.
- Ale gdzie jest?
- Na dnie. Przecież tu jest z metrów górien, nie widać go.
- Zabili?..

- A jak myślałeś? Tłukli jak wściekli – wzrusza ramionami Andrzej. – Co to dla nich jeden więzień... Sam widziałeś, zabawa! No, wracamy...

Wybiegamy z ubikacji i skaczymy przez kałuże wracając do bloku.

- Jeden więzień... Co dzień tylu leci przez komin na wolność... – dyszy w biegu Andrzej.

Pewnie, ale nie tak, jak ten. Jednak nie tak, jak ten... Pierwszy raz widziałem, żeby oni tak... Bywało, że esesman zamachnął się lachą, rąbnął więźnia w głowę raz i drugi, kopnął przewracającego się, i ten już więcej nie wstał... Albo i strzelił... To widziałem często, to było już właściwie normalne! Ale żeby tak, jak tego, w gównach, do samego końca... Zrobić sobie z zabijania taką zabawę...

- Szybko! Dzwonią na apel! Biegnijmy!

Stanęliśmy w szeregu. Długi piątkowy szyk zapełnił cały plac między blokami. Szaro, coraz bardziej szaro, deszcz przelatuje falami, ale nie przestaje ani na chwilę, na kałużach pełno pękających banieczek powietrza, ponuro dzisiaj, bardzo ponuro. Żeby wreszcie już zaczęli nas liczyć, przecież zaraz będzie zupełnie ciemno.

- Achtung! – Zamieramy, nie śmiemy oddychać. Czapki z głów... wąskim przejściem z drogi głównej wjeżdża na plac Baretzki. „Achtung”... Jak do tamtego, w gównach...

- Herr Blockfuhrer... – rozpoczyna meldunek blokowy prężąc się z mycką przyciśniętą do uda, ale Baretzki niedbale macha dłonią i rusza wzdłuż szeregu licząc znieruchomiłe piątki. Ma wśród nas swoich zapamiętanych, upatrzonych, wynajduje ich w tłumie, nie pomoże im krycie się czy zajęcie miejsca w którymś z tylnych rzędów. Każdy z nich codziennie musi dostać w twarz albo laską po plecach, albo kopniaka, musi przeczołgać się po błocie, uderzyć swojego najbliższego sąsiada... Tak chce, tak każe Baretzki, nasz Blockfuhrer. I nikt nie śmie powiedzieć – nie... Nigdy.

Dziś Baretzki jest smutny. „Może myśli o tamtym, z kloaczego dołu...” – przebiega mi przez głowę nieśmiała myśl. To źle, że Baretzki jest smutny. Znamy go. Gdy jest smutny, nie wystarcza mu zwykła „zabawa” z nami, w taki dzień miewa najróżniejsze pomysły. Stoimy w kamiennym milczeniu czekając bez drgnienia, co będzie za chwilę. Skończył liczyć. Milczy, miesza kijem rzadkie błoto, wraca wolno wzdłuż szeregu. Zaraz się zacznie... zapaść się teraz pod ziemię, nie stać tu przed nim, nie bać się...

Nie! Baretzki wsiada na rower, odjeżdża! Blokowy rzuca komendę, plac szeleści rozmowami. Szybko dziś poszło – oddychamy z radością. To dobrze! Deszcz pada coraz gęstszy i jest już prawie zupełnie ciemno. Blokowy wychodzi na drogę, patrzy w stronę bramy, czeka na sygnał, aby wpędzić nas do bloku.

- Długo stoimy... – Andrzej dygocze z zimna. – Przemokłem, a oni wciąż nas nie puszczają.

- Chlupocze mi w butach... – pochlipuje usmarkany do pasa Stasiek z sąsiedniej sztuby.

- A tam w bloku zupa stygnie... – zupełnie nie wiadomo po co przypomina Wojtek.

- Jeść! Mokro! Zimno! – słychać ze wszystkich stron coraz głośniejsze wołania.

Boję się. Przecież wiadomo – tu się nie płacze, nie prosi. Tu się pokornie czeka. Te głośnie prośby mogą nas drogo kosztować. Wiem. Nieraz tak już było. A jednocześnie... niecierpliwość, zmęczenie... i ten mokry ziąb... Iść do bloku, uciec spod deszczu... żeby już, natychmiast...

- Do szeregu, gówniarze! Achtung! – wrzeszczy blokowy, wbiega na plac, kopie chłopaków, równa splątane szeregi. Za późno, Baretzki znów jest przed nami, zły i chmurny jak niebo nad naszymi głowami. Znów bezruch, znów nas liczy. I odjeżdża.

Gdy przyjechał czwarty raz, prawie wszyscy płakali. Z głodu, zimna, żalu. Nie pomogła komenda – Achtung! Esesman zeskoczył z roweru, nim zdążyliśmy wyrównać szeregi. Najpierw dostał w twarz blokowy, a potem kto się nawinał, kto mu wpadł pod rękę.

- Padnij! – ryknął tak, że ucichliśmy natychmiast i runęliśmy jak jeden w błoto.

- Wstać! – zbieraliśmy się niemrawo, ocierając błoto z brudnych dłoni.

- Padnij!
- Wstać!

Trzeci raz, czwarty, piąty... przestałem liczyć, przestałem uważać. Padałem jak kłoda, klękałem, wstawałem. Baretzki i blokowy biegali po placu, ich kije raz po raz spadały na nasze głowy i plecy.

Wreszcie odjechał. Wstaliśmy bez komendy. Nikt już nie płakał, nie było już łez, nikt nie narzekał, nikt nie wycierał błota z dłoni, ubrań i twarzy. Chwytały nas dreszcze, stopy coraz głębiej grzęzły w błocie. Milczeliśmy.

Światła na drutach płonęły jasno. Coś jest inaczej niż co dnia. Szukają kogoś? Uciekł ktoś? Szept wionął przez plac, podnieśliśmy głowy, spojrzeliśmy różnie. Więc można! Pomimo esesmanów, psów, drutów! Może kiedyś i my...tylko jak?! Ale jeśli ktoś uciekł, więc może i my... Może uda się! Trzeba tylko czekać, czekać, wytrwać.

Apel trwa. Liczą nas po raz piąty. I wreszcie gwizdki od bramy brzmią inaczej, i ławą ruszamy do drzwi bloku.

Więc nikt nie uciekł... Wracamy, więc rachunek zgadza się, apel skończony. Szkoda... Ale gdzie jest ten drań, przez którego staliśmy tyle godzin? A niech go!... – klątwy wypełniają blok, gdy oglądamy mokre, zabłocone ubrania. – Jak mógł nie wyjść na apel? Taki drań...

- Wiecie, to przez tego utopionego w gównach! – podchodzi do nas Andrzej. – Szrajber mi mówił.

- Cholera! Przecież wiedzieli, gdzie on jest! – zdumiewa się Wojtek.
- Kto?! – Ci, co zabili! Baretzki i ten gruby Blockfuhrer z dziesiątki.
- Zapomnieli może. Ale! – przeraziłem się. – Mogli zapomnieć?
- Mogli – ziewnął Andrzej. – Ale wiesz... – zaczął mówić, ale przerwał. Twarz miał złą, zawziętą, prawie jak Baretzki, gdy nas musztruje.
- Co? Dokończ...
- Chciałbym go kiedyś, tak jak on nas, albo jak tego, w ubikacji... – powiedział cicho Andrzej. – Chciałbym...

Światło w bloku zgasło, szepty na pryczach stopniowo milkły. Odpoczywamy. Zbieramy siły na jutro. Jutro też będzie apel. Jutro znów przyjdzie do nas Baretzki.

KRÓLIK

- Mały, chodź no do mnie! – dziad wartujący przy wejściu skinął na Wieśka, który stał o dobre kilka kroków od niego, obok komina. Podszedłem bliżej i stanąłem z drugiej strony komina, w bezpiecznej odległości od dziadka.

- Dziadek bandyta! – krzyknął Wiesiek nie ruszając się z miejsca.
- Chodź, nie bój się – stary skinął jeszcze raz, nie złoścąc się o przewisko.
- Nie ma głupich! Dziadek bandyta... – powtórzył Wiesiek i zerknął za siebie, czy nic nie przeszkodzi mu w ucieczce. Wiedział przecież dobrze, że rozzłoszczony staruch w każdej chwili może błyskawicznie skoczyć pomiędzy prycze i wtedy grzmoci laską bez miłosierdzia.
- Chodź, mam tu dla was nowego – zniecierpliwiony staruch sięgnął za komin. – Nie bój się, mały... i wyciągnął z kąta małego, pięcioletniego może chłopca ze szczelnie obandażowaną głową. Papierowe bandaże zaczynały się tuż nad ustami, zakrywały oczy i całą głowę.
- Co to za szczeniak? – Wiesiek ostrożnie podszedł o krok bliżej.
- Nie wiem. Blokowy przyprowadził i kazał, żebyście go wzięli do siebie na prycze.

Wiesiek podszedł jeszcze krok, chwycił małego za ramię i wprowadził w głąb bloku.

- Uuu! – wrzasnął, uderzony niespodziewanie laską w plecy.

- To za dziadka bandytę, łobuzie!

- Dziadek bandyta! – podjąłem natychmiast grę. Chodziło w niej o to, aby zdenerwować starego do tego stopnia, by skoczył w pogoń za nami, zebranymi z jednej strony pieca stojącego na środku przejścia i dzielącego blok długim niskim kominem na całej jego długości. Wtedy grupka czatująca z drugiej strony pieca popędzi do nie strzeżonego wyjścia i rozpierzchnie się po obozie, by „organizować”, czyli zdobywać cokolwiek do jedzenia czy ubrania.

- Dziadek bandyta! – powtórzyłem, ale dziadek usiadł powoli na stołku przy drzwiach, oparł brodę na dłoniach zbrojnych w laskę i siedział nieruchomo, wpatrzony w ścianę bloku. Nie, nie wyjdziemy dziś... Zawróciłem między prycze. Mały, przydzielony do naszej sztuby, siedział na mojej pryczy w kręgu kolegów.

- Jak się nazywasz? – spytał Wojtek.

Nie odpowiedział, macał dokoła siebie jakby czegoś szukał, a u nosa rosła mu świecąca kropla kataru.

- Pewnie to nie nasz, nie rozumie po polsku – domyśla się któryś.

- Rozumiem – powiedział cichutko mały.

- Jak się nazywasz?

- Henio...

- A co ci jest? Gdzie byłeś?

- Na rewirze.

- Chorowałeś? Na co?

- Nie...

- To co ci jest w głowę? Pobili cię?

- Nic mi nie jest.

- Eee, głupi on czy co? To dlaczego nosisz bandaż?

- To oczy.

- Masz chore oczy?

- Nie...

- Chodźcie! Dokoła z nim tak! Nie chorował, a łeb ma okręcony jak balon. A mówić nic nie chce. Zgłupiał pewnie na tym rewirze.

Zeskoczyli na podłogę i zostałem sam z Heniem, który siedział nieruchomo na pryczy. Obejrzałem się niezdecydowany – iść czy zostać z nim. Nudno będzie, diabelnie nudno! Mały wyciągnął rękę, macał dokoła siebie, natrafił na moje ramię, cofnął rękę i znów siedział nieruchomo jak posązek.

- Trzeba ci czego? – spytałem. – Może chcesz do kibla?

- Nie...

- Głodny jesteś? Mam kawałek chleba, chcesz? – zaproponowałem i zaraz poczułem strach, że mały zechce. Przecież dam mu, muszę dać ostatni, mały kawałek chleba, który chciałem zostawić na jutro.

- Nie, ja mam swój chleb – dotknął rękę węzła, który leżał tuż przy nim. - Na rewirze mi dali.

Siedziałem obok niego. Nie mogłem odejść, choć mnie to złościło. Tyle ciekawego dzieje się w obozie! O, właśnie dziadek z laską pobiegł między prycze i Wiesiek wraz z naszą grupką wyskoczyli zza pieca, zniknęli za drzwiami. A ja zostałem... Odejść. Zostawić go samego? Nowy jest, mały, to jeszcze głupstwo, mniejszych już tu widziałem, ale ten jest ślepy! Dobrze choć, że nie ryczy... Wtedy bym nie siedział, poszedłbym sobie od razu!

- Długo byłeś na rewirze? – spytałem Henia.

- Długo...

- Ile czasu?

Wzruszył ramionami, poruszył niezdarnie dłońmi. – Nie wiem...

- Bolało cię?

- Nie...

- A co ci jest? Powiedz...

- Nic...

Do diabła! Spojrzałem na małego ze złością, już chciałem odejść, gdy dostrzegłem jego wykrzywione nagle usta.

- Tylko nie rycz! Strasznie u nas nie lubią, gdy ktoś ryczy.

- Ja cały czas płaczę – powiedział cicho Henio.

- No, jeśli po cichu, to możesz.

- Kiedy ja nie chcę, to tak samo.

- Co samo? – nie zrozumiałem.

- Oczy mi same płaczą.

- Dawno?

- Od czasu, jak mi wpuścili krople w oko.

- W jedno? – dopytywałem się.

- W jedno, ale teraz drugie też płacze.

- Będziesz chodził na opatrunki, na rewir?

- Nie wiem...

Na drugi dzień mały zaraz po przebudzeniu Henio posłuchał chwilę, sięgnął ręką i dotknął leciutko mego ramienia.

- Jestem, czego chcesz? – odpowiedziałem siląc się na spokój.

- Nic, ja tylko tak... patrzyłem.

- Boli cię?

- Nie... już nie.

- Ale bolało chyba, gdy wpuścili ci do oka te krople?

Henio milczał chwilę, poczym przysunął się do mnie blisko. - A nikomu nie powiesz?

- Nie, słowo!

- Troszkę szczypało. A potem zrobiło się ciemno, choć strasznie szeroko otwierałem oczy.

- Kto ci to zrobił? Po co?

Henio odsunął się, milcząc pokręcił głową. – Nie powiem. Nie mogę powiedzieć. On kazał nie mówić – szepnął po chwili.

- Jest tam ten nowy? – krzyknął z dołu sztubowy.

- Siedź, nie ruszaj się! – powiedziałem do Henia i zsunąłem się z pryczy.

- Jest, na naszej pryczy – stanąłem przed sztubowym.

- Jak on tam? – spytał.

- Dobrze, tylko on jest ślepy. Nazywa się Henio. Był na rewirze. Nic nie chce powiedzieć, ale już trochę z niego wydusiłem, wpuszczali mu tam jakieś krople do oka i oślepl.

- Wiem. Nie pozwolili mu mówić, więc milczy.

- Iii, za głupi jeszcze na tajemnice, za mały.

- Ale boi się. Ciekawe, co z nim zrobią...

- Co mają zrobić? Zostanie u nas, może wyzdrowieje, może znów będzie widział, co? – patrzyłem z nadzieją na sztubowego, ale ten pokręcił głową.

- Chodź no tu... na bok.

Odeszliśmy parę kroków od pryczy, sztubowy nachylił się do mnie blisko.

- Słuchaj, zajmiesz się nim. On cię lubi, tak?

- Tak, ale może ktoś inny... – wykręcałem się. – Całe dni będę siedział z tym gnojkiem na pryczy...

- Zostaniesz z nim. Trzeba, żebyś tymczasem został. Ciekawe, co z nim będzie.

- To on nie zostanie u nas?
- Nie wiem, ale chyba nie da się tak zrobić. On jest królik.
- Królik? Jaki królik? – nie rozumiałem.
- Nic nie wiesz... A słyszałeś, że jest tu taki esesmański doktor Mengele?
- Mengele... wzruszyłem ramionami. – Jeden z tych pewnie, którzy przychodzą do nas na selekcje?
- Właśnie. Mengele robił na tym Heniu swoje doświadczenia. Mówił mi jeden Haftling z rewiru. Pytał o Henia. Będzie przychodził zmieniać mu opatrunki. Słuchaj, ale nikomu ani słowa! Henio zniknął z rewiru, umarł. Inaczej byłby już tam... – wskazał głową w stronę krematorium.
- A co Mengele Heniowi robił?
- Chciał mu zmienić kolor oczu.
- Po co? I udało się?
- Nie. Ten Haftlig mówił, że robił mu doświadczenie na jednym oku, ale zapalenie przerzuciło się na drugie i klops! Jeśli nikt nie będzie się zajmował Heniem, jeśli go odkryją tu, u nas... – sztubowy machnął ręką – koniec... Pójdzie do gazu.
- Henio do gazu? Nie!!!
- Cicho! Chociaż...jeśli ma pozostać ślepy na całe życie, kto wie, co lepsze...
- On taki cichy, posłuszny...
- Na rewirze przykazali mu, żeby był cicho. Cholerna rzecz, nikt by nie uwierzył. Jak ten drań przychodzi na dziecięcy blok, to tylko po to, aby sobie wybrać nową grupkę królików. Zabija te dzieciaki, oślepia, a one lecą do niego jak do ojca.. Co ten drań ma w sobie, że tak go dzieci lubią, skurczybyka...
- Panie sztubowy, zatrzymamy Henia...
- Co ja mogę, chłopie, nic...
- Schowajmy go gdzieś... – błagałem.
- Sztubowy uśmiechnął się smutnie. – Sam bym chciał. Pogadam, może się uda, zobaczymy, chociaż wątpię. Ten Mengele pamięta o swoich królikach, dobrze pamięta. Niby Henio umarł, ale...no, wracaj do niego.
- Wspiąłem się na pryczę, usiadłem na deskach i patrzyłem na drżące leciutko wargi Henia. Wyciągnął nieśmiało rączkę i dotknął mnie delikatnie palcami.
- To ty – ucieszył się.
- Ja – odpowiedziałem. – Nie bój się, jestem, nie odejdę...

ŻYD

Sztubowy odliczył dziesięciu z nas i przyzwalająco machnął ręką – idziemy... Pobiegliśmy żwawo do niedalekiego bloku, gdzie była umywalnia i ubikacja. Szybko przysiadaliśmy na betonowych kiblach... a potem nie mniej szybko pobiegliśmy do umywalni. Z kranów ciekła do blaszanych koryt zimna, żelazista woda. Gdyby mieć choć kawałek mydła... ale prawdziwego, bo to, gliniaste, które w obozie jest, wcale nie chce się pienić i zmywać brud. Tarłem ręce pod strumykiem wody i ledwie pomazałem twarz gdy już od wejścia sztubowy nawoływał: - Koniec mycia! Wracamy!

Wyszedłem z waszraumu. Nie byłem ostatni, więc przystanąłem pod ścianą. Sztubowy nie popędzał nas, bo zagadał się z jakimś, pewnie znajomym, kapo.

- Mały... – zachrypiał ktoś koło mnie. Obróciłem się, gotów do uskoku w bok, bo a nuż ktoś mnie laską dzieli. Nie. To więzień. Strasznie chudy. Taki muzułmanin, co to snuje się po obozie i już żaden esesman czy kapo nie zwraca na niego uwagi. Przecież padnie, jak nie dziś to jutro. Szkoda na takiego sił i laski. – Nie bój się. Ty skąd?

- Z Warszawy – odpowiedziałem niechętnie. Bo czego on ode mnie chce? Taki chudy. Kościotrup. Niewiele mu, widać, brakuje.

- Ja też z Warszawy – zachrypiał. – A skąd, w Warszawie...

- Z Ochoty. Z Kaliskiej.

- Z Kaliskiej... – pokiwał głową. – A w getcie?

- Gdzie? – zdziwiłem się.

- Gdzie mieszkałeś w getcie? Przecież ty Żyd...

- Nie! – oburzyłem się na to posądzenie. – Ja Polak.

Cień uśmiechu na wychudzonej twarzy. – Przecież widzę. Jesteś Żyd.

- Gadanie! Co...co ty...co pan... – sam nie wiedziałem, jak mówić do niego. – O, proszę... – wskazałem na pierś, gdzie miałem przyszyty do bluzy numer obok którego czerwienił się trójkąt z literą "P".

- Pan... – poruszył niemrawo wargami i zakasłał chrypliwie, z ust pociekła mu ślina. – Pan...kiedyś, dawno... A że masz „P”, to dobrze, to przeżyjesz. Musisz przeżyć...

- Idziemy! – krzyknął sztubowy i pobiegliśmy gromadką w stronę bloku.

-Co to za jeden? – spytał w biegu Jędrak, kolega z Warszawy jeszcze. – Znajomy z wolności?

- Jaki tam znajomy?! – wzruszyłem ramionami. - Jakiś Żyd.

- I co chciał? Chleba pewnie...

- Nie. Pytał skąd jestem. To nie wie, że my wszyscy z Warszawy?

- Może i wie. Ale szuka takich jak on. Żydów? U nas?

- Tak. U nas – odparłem i właśnie wbiegliśmy na plac przy naszym bloku. Sztubowy formował następną dziesiątkę do kibla a my przysiedliśmy na ziemi, pod ścianą. Jędrak usiadł obok. Chwilę milczał, ale spojrzał na mnie uważnie.

- Tak się do ciebie przyczepił. A może...

- Co, może?

- Może ty też jesteś Żyd...

- Mam ci pokazać? – sięgnąłem do rozporoka za obszernych portek.

- Nie trzeba. Widziałem w saunie.

Nic nie odpowiedziałem. Jędrak też nic więcej nie mówił. Długi był ten dzień, bardzo długi.

* * *

Po paru dniach znów go spotkałem. Szedł... co tu gadać, włókł się tak, jakby nie był pewny, czy uda mu się zrobić następny krok. Nie miał nawet pasiastych portek, tylko podartą bluzę i wielkie drewniane chodaki. Ale dostrzegł mnie i spojrzał tak jakoś, że musiałem stanąć przy nim. A on oparł rękę o deski bloku i mimo tego chwiał się tak, jakby zaraz miał upaść.

- Pamiętaj – wychrypiał. – Nikomu ani słowa, że jesteś Żyd.

- Ale ja nie jestem! – krzyknąłem gniewnie a jemu twarz drgnęła tak, jakby się chciał uśmiechnąć. I leciutko kiwnął głową.

- I dalej tak mów. To przeżyjesz. Ale nikomu nie mów, że jesteś Żyd.

Ścisnąłem zęby ze złości. Jak to się przyczepił... Ale jakoś nie mogłem odejść od niego. A on stał, chwiał się tak, że aż strach było patrzeć. Z daleka rozległ się wrzask kapo czy blokowego i spojrzałem szybko w tamtą stronę, czy nie trzeba zmykać.

- Wyjdiesz stąd – powiedział chrypliwie i zaniósł się kaszlem. Wolno osunął się na ziemię, dyszał ciężko a oczy miał jakieś takie zamglone, niczego chyba nie widzące. –

Wyjdiesz stąd... – mamrotał niewyraźnie. – Musisz wyjść... tylko nikomu nie mów, że jesteś Żyd, nikomu... Obiecuj...

Kończy się – pomyślałem patrząc na jego prawie nieobecny twarz. – Dobrze, nie powiem – wyjąkałem niespodziewanie, bo nie mogłem niczego nie powiedzieć.

- Dobrze, mały, dobrze – szeptał. – Idź już, idź...

Znów, i to gdzieś bliżej już, wrzeszczał kapo. Obróciłem się na pięcie i pognałem na plac przy naszym bloku. Usiadłem w gromadzie chłopaków, zerknąłem ukradkiem, czy któryś ze sztubowych nie idzie do mnie, ale nie, nikt nie widział, że wróciłem. Wokół była cisza. Robocze komanda jeszcze nie wracały, do apelu i podziału chleba było jeszcze daleko.

- Gdzie byłeś? – spytał Jędrak sennym głosem.

- Tu, blisko.

- Masz coś? – spojrzał czujnie przez szpary przymkniętych powiek. Wiadomo przecież. Jak się gdzieś idzie, to żeby coś zorganizować, wyżebrać...

-Nie, nic.

- Znów ten Żyd?

Milczałem chwilę, bo złość mnie brała ale i żal mi trochę było tego muzułmanina. – Tak – przyznałem. – Znów. Snuje się ledwie ledwie.

- Jeszcze dzień, dwa i pójdzie do komina – powiedział z przekonaniem Jędrak.

- Pewnie tak – przytaknąłem.

* * *

Nad wieczorem, gdy na drodze za drutami kłębił się kurz nad komandami wracającymi do obozu, blokowy pozwolił wejść do bloku. Ruszyliśmy ławą do wejścia. Tłocząc się spojrzałem za siebie tam, gdzie zostawiłem tego Żyda. Był jeszcze. Przed nim stał esesman i stukał niecierpliwie laską o cholewę buta. A ten mój Żyd próbował wstać, wpierając plecy w ścianę bloku i straszliwie wolno dźwigając się w górę.

- Nie gap się! – popędził mnie blokowy więc dałem nura w smrodliwą czeluść bloku.

* * *

Nad ranem już obudziła mnie krótka seria strzałów z kaemu. To gdzieś blisko! W bloku była napięta cisza. Pewnie nikt nie spał. Czekałem co będzie dalej, ale dalszych strzałów nie było. Leżałem bez ruchu. Sen odbiegł ode mnie. Co to mogło być... do kogo strzelali?

Nagle rozległ się dzwon na wstawanie i w bloku wszczął się zwykły ruch. Przed kibelem w końcu bloku ustawiła się kolejka niecierpliwie przebierających nogami. Przez otwarte drzwi wlewał się do bloku chłodny powiew.

Sztubowy wysłał mnie do wyniesienia pełnego kibla. Zataczaliśmy się dźwigając ciężką bekę, ale udało się donieść ją do wyjścia i nie wylać na podłogę ani kropli. Przystanęliśmy tuż za drzwiami, postawiliśmy bekę na ziemi, aby chwilę odpocząć. Dobrze, że nic się nie wylało, bo za to byłoby parę batów po karku i mycie podłogi.

Spojrzałem w stronę drutów. Esesman na wiezyczce, stojąc obok kaemu, rozglądał się po obozie. Miedzy blokami było jeszcze pusto. Tylko przy drutach było coś, czego normalnie nie było.

- Ktoś tam leży – powiedział chłopak, który razem ze mną dźwigał kibel.

Tak! Rozłożone szeroko ręce wczepione w drut przed kolczastym, elektrycznym ogrodzeniem. Pasiasta bluza, nagi tyłek, dziwnie skręcone patykowate nogi. To on. Tak, to on. Poszedł na druty? Taki muzułmanin i poszedł na druty... To do niego strzelał esesman?

- Schnell! – wrzasnął sztubowy. – Co się gapicie?! Jazda!

Dźwignęliśmy kibel i dreptaliśmy jak najprędzej w stronę ubikacji. Wyleliśmy siki do szamba i ruszyliśmy z powrotem z pustą beką do bloku. Nie ma się co lenić, pewnie zaraz dadzą nam ziółka, tę niby herbatę. Mam w kieszeni skibkę chleba od wczoraj. Będzie więc śniadanie.

Gdy byliśmy już przy naszym bloku zobaczyłem, że od drutów dwóch więźniów odciąga dwukołowy wózek. Między więźniami kołysały się zwisające z wózka patyki wychudzonych nóg.

OJCIEC I SYNOWIE

Mokro... Skąd mokro? tu, na twarzy, na szyi... Obejrzałem się nieprzytomnie, kropla pacnęła mi prosto na czoło. Brr! Odsunąć się, uciec spod deszczu, ale gdzie? Blok szmerze tysiącem oddechów. Rozbudzony na dobre, spojrzałem dokoła. Widok jak co dnia – pokotem leżące ciała śpiących i dalekie, stłumione odległością światelko przy wyjściu. obok którego na stołku kiwa się torwacha.

Deszcz stuknął mocniej o dach, który jest tuż, na odległość ręki. Deszcz... wszystko mokre. Rano będzie błoto. Klejące, gęste, obozowe błoto. I my, utyłani w tym błocie. Znow...

- Nie pchaj się! – burknąłem na Jacka leżącego tuż przy mnie.

- Kiedy kapie! Na głowę!

- Co tam? – rozległ się zachrypnięty zły głos Andrzeja, starszego brata Jacka.

- Nic, tylko kapie.

- Na mnie też kapie, wszędzie kapie. Nie wierć się.

- Dobrze – zgodził się potulnie Jacek. – Ale mi zimno.

- Staraj się usnąć.

- Nie mogę. Mokro wszędzie...

- Mokro... Nam to dobrze, ale tatuś...

Mały poruszył się gwałtownie. – Tatuś! Jak jemu zimno!

- Cicho! Leż spokojnie, bo jeśli teraz wypadnie deska z pryczy, chłopaki z dołu znów sprawią nam lanie.

- Wyjdę, dam tatusiowi marynarkę...

- Teraz?! W nocy?! Jeśli esesman cię zobaczy, zaraz zastrzeli! A i torwacha nie wypuści cię z bloku. Śpij!

- Kiedy tak ciasno...

- Obudzisz wszystkich i pobiją nas. Jak wczoraj. Tu nie dom...

- Nie... – westchnął Jacek. – W domu miałem swoje łóżko. I nie kapało. Jak wrócimy do domu, będę znów spał sam, jak dawniej.

- Nie wiem. Widziałeś, że dom spalili nam Niemcy.

Dom... Nie ma dnia, by nie wracać doń myślami. Właściwie dlaczego? Widzieliśmy, jak płonęły nasze domy, wiemy, że nim spłonęły, były już tylko ruinami. A jednak wciąż mówimy – nasz dom, w naszym domu, do naszego domu...

- I łóżko też się spaliło?

- Wszystko. No i widzisz, już po spaniu, torwacha wstaje, zaraz będzie dzwon, już...

Trzeba wstawać

W bloku zawrzało. Oczadziałe głowy ciężko unoszą się po nocy, która nie przyniosła odpoczynku. Przed kibelem w salce na końcu bloku ustawia się długa kolejka. Tuż za mną niecierpliwie drepcze Andrzej.

- Słuchaj – Jacek podbiega do brata. – Pójdę do tatusia, dobrze?

- Za wcześniej, nie wypuszczą cię z bloku i jeszcze możesz lachą dostać. Poczekaaj trochę, aż zaczniemy sprzątać.

- Kiedy ja tylko na chwilkę, na chwileczkę! Powiem tylko tatusiowi – dzień dobry!
- No to leć, ale uważaj na torwachę, żeby ci nie przylał. I zaraz wracaj!

Jacek ostrożnie wymknął się z bloku. Za drutami sunęła już nie kończąca się kolumna komand, deszcz, zmieszany z wiatrem, zaczął z boku szybko, ostro nieubłaganie. Chłopiec przebiegł wzdłuż czarnej od deszczu ściany. Co to?! Nie ma! Przecież jeszcze wczoraj był! Wieczorem, po apelu... Leżeli poukładani równo, jak wyschłe pnie drzew, wychudli na szkielety, posypani wapnem. Blockfuhrer na apelu policzył ich, trącając każdego kijem w czaszkę. Tatusia też! Ale tatusia lekko, naprawdę lekko! Dobrze widzieli. I teraz nie ma go... Deszcz zmywa z ziemi resztki wapna.

W bloku jest duszno, kilku chłopaków papierowymi workami myje podłogę, reszta snuje się beczynnie, czekając na okrzyk: „Wychodzić! Szybko! Dziś idziemy z rolwą, z ceglami, z workami! Wychodzić!”

- Andrzej! – Jacek odnalazł brata w kolejce, już przed samym kibelem. – Andrzej...
- No, zdążyłeś. Stawaj przede mną. Sikaj...
- Andrzej – chlipnął mały. – Nie ma tatusia!
- Eee, pewnie nie trafiłeś!
- Trafiłem. Nie ma...
- Zabrali go? Pewnie w nocy. Nie pożegnaliśmy się z nim nawet... – Andrzej ścisnął brata za ramię. – No, tylko mi nie bec! Masz jeszcze mnie. No, sikaj wreszcie!
- Wróciliśmy na prycę. Jacek milczał, myślał o czymś, patrzył gdzieś w przestrzeń.
- Andrzej – spojrzał na brata nagle przestraszony. – Ale ty nie umrzesz, prawda? Powiedz, ty nie pójdziesz do pieca?
- Nieee, ja jestem zdrow i silny...
- Ale gdybyś zachorował, to ja bym chciał razem z tobą...
- Gdzie byś chciał? Co ty pleciesz!
- No, razem z tobą, wszędzie, do pieca też... Ja chcę razem...
- Andrzej szybkim ruchem otarł bratu gil z nosa.
- Nie zostawię cię, mały. Zobacysz, będziemy wolni, będziemy jeszcze wolni.
- Wolni... A gdzie jest teraz nasz tatuś? Andrzej?
- Pewnie już tam, w piecu...
- Andrzej, mogę wyrzeć na dwór?
- Ale stąd, przez szparę w ścianie.
- Mały na kolanach przeszedł po prycy do ściany. Śpię tuż przy niej, wiem co za nią zobaczy. Druty, rzędy bloków, dalekie drzewa i komin. Nad jego czerwonym brzegiem chwieje się pióropusz ognia i dymu. Tam... tam jest ich ojciec.

ŻYCIE NA NOWO

- Stefka! To ty?! Stefka! – rozległo się wołanie zza drutów, gdzie był męski obóz.
- Obróciła ostrożnie głowę. To Janek, znajomy chłopak z wolności. Macha ręką i znów woła.
- Stefki nie ma – powiedziała twardo, starając się, żeby jej głos brzmiał obco. – A ja jestem Zocha...
- Nie bujaj! Poznałem cię! Co u ciebie...
- Ja jestem Zocha – powtórzyła stanowczo. - A Stefki już nie ma. I nie pytaj więcej – pokuśtykała jak mogła najszybciej w stronę wejścia do bloku.

- Słuchaj! Poczekaj... – wołał jeszcze Janek, ale umknęła za róg bloku i oparła się o ścianę. Oddychała ciężko, rozejrzała się czy nikt nie nadchodzi. Stefka...gdyby mogła mu teraz wszystko opowiedzieć... Ale strach. Bo nie ma już Stefki. I nie będzie. Chyba że spotkają się kiedyś, już na wolności. I wtedy opowie, jak to było.

* * *

Był pochmurny wietrzny ranek. Siąpił zimny deszcz. Sześćdziesiątka dziewcząt wybranych poprzedniego dnia przez esesmanów pomaszerowała w głąb obozu. W lot zorientowały się, że nie będą wywiezione gdzieś daleko, bo rampa kolejowa została z boku i nie było na niej żadnych wagonów. Przeszły przez bramę rozdzielającą sektory obozu, potem przez drugą bramę, szły dalej i wreszcie zatrzymały się przed jednym z baraków. Wokół było zupełnie pusto. Pod ścianą jednego z bloków, dwadzieścia, może trzydzieści metrów od nich, leżał stos wychudzonych jak szkielety, martwych więźniów. Stały w milczeniu, zbite w gromadę i rozglądały się trwożnie. Po co tu przyszły... i co z nimi tu zrobią...

Stały tak kilkanaście minut i drżały już z zimna, gdy bloku otworzyły się i na schodkach stanął esesman w białym fartuchu. Szrajberka podbiegła do niego, wyszczerzyła meldunek. Esesman skinął głową i podał jej kartkę papieru.

- Po kolei – powiedział. – Tak jak jest napisane.

Zawrócił do baraku a szrajberka wyczytała pierwszy numer z listy. Dziewczęta zaszemrały, ale nikt nie wystąpił z gromady. Szrajberka powtórzyła numer głośniej.

- Nie ma jej? – zdziwiła się Stefka. – Możliwe to?

- Cicho bądź! Boi się, więc milczy.

- Czego się boi?

- Że może tu szpilują. Widzisz tych pod ścianą?

- A jeśli nawet – odparła Stefka obojętnie. – To co, nie wezmą jej? Tyle, że jeszcze zbiją.

- Jesteś wreszcie, głucha! – Szrajberka podskoczyła do dziewczyny, która nieśmiało wysunęła się przed gromadę. – Idź! – popchnęła ją w stronę drzwi. Szybko!

W milczeniu patrzyły, jak dziewczyna wchodzi na schodki. W drzwiach obejrzała się, jakby chciała pożegnać się z koleżankami na zawsze, ale esesman pociągnął ją za ramię i zamknął drzwi.

Stefka nie odwracała oczu od tych drzwi. Co tam jest? Czy naprawdę szpilują? Nie... niemożliwe. Chociaż... już wiedziała, że w obozie wszystko jest możliwe. Szpilowanie – czyli zastrzyk prosto w serce. I koniec. Natychmiast. Mamo! Nie zobaczy już mamy? I nikogo...

Drzwi otworzyły się nagle. Stała w nich dziewczyna. Obciągała rękaw pasiastego kaftana.

- Jestem! Widzicie?! Jestem! – uszczęśliwiona zbiegła ze schodów. A szrajberka już wyczytywała następną.

- Co tam jest? Powiedz! Co ci zrobili? – pytały jedna przez drugą.

- Jak weszłam, to kazali usiąść na stołku. Potem podwinąć rękaw. Jeden z nich zrobił mi zastrzyk. A potem powiedział „ab”... – opowiadała gorączkowo. – I już jestem z wami – uśmiechnęła się z ulgą.

- No i widzicie – wtrąciła szrajberka. – I czego się bać? Jakby nas chcieli wykończyć, to pewnie nawet byśmy się nie zorientowały – machnęła ręką i wyczytała następny numer.

Szybciotko, jedna za drugą, wracały do gromadki stłoczonej przed ambulatorium. Pokazywały sobie nakłucia na ramieniu.

- Trochę piecze – powiedziała niska, krępa dziewczyna.

- Po zastrzyku zawsze piecze – uspokajała ja druga.

- To pewnie przeciw tyfusowi – domyślała się Hanka.

- Wiecie, spytałam tego sanitariusza – powiedziała następna wychodząc z ambulatorium.

- I co?

- Nic. Spojrzał na mnie tak, jakby dopiero w tej chwili mnie zobaczył, ale nic nie odpowiedział, tylko „ab”.

Umilkły, bo w drzwiach stanął drugi sanitariusz. Bez słowa podał szrajberce drugą kartkę. I teraz na dziewczynę, która weszła, czekały trochę dłużej. Wyszła spłoszona.

- Zastrzyk? – otoczyły ją gdy tylko zeszła ze schodów.

- Nie. Patrzcie... – uniosła spódnicę. Na udzie miała przyklejony kawałkiem plastra papierowy opatrunek.

- Co to...

- Skaleczyli mnie, posmarowali czymś i zakleili.

Co to może być... – zastanawiały się, gdy teraz wszystkie wychodziły z zadrapanym udem. Wreszcie szrajberka wyczytała numer Stefki. Weszła po schodach, zamknęła za sobą drzwi. Tak, to ambulatorium, zupełnie jak w szpitalu.

Pielęgniarz w białym fartuchu spod którego wystawały żołnierskie buty milcząc wskazał jej stołek.. Gdy usiadła jednym ruchem zadarł jej w górę spódnicę. Maźnięcie gazikiem, lekkie zadrapanie, zapach benzyny czy czegoś bardzo podobnego, papierowy opatrunek i niecierpliwy gest ręką – uciekaj!

Od drzwi obejrzała się jeszcze na ten pokój biały i czysty. Oczy jej spotkały niechętnie spojrzenie Niemca. Co ona tu jeszcze robi? Przecież wyraźnie wskazał, żeby sobie poszła...

Na schodkach zatrzymała się na moment i spojrzała dokoła. Ujrzała podniesione ku niej twarze z pytaniem w oczach, białe chustki na głowach, a zaraz za tłumkiem dziewczyn błoto, baraki ciemne jeszcze od deszczu, niskie chmury szybko płynące nad obozem. Z opuszczoną głową zeszła w błoto.

- No i co? – spytała Hanka. – Też zadrapanie?

- Tak. Małe zadrapanie na udzie.

* * *

Kiedy ostatnia dziewczyna wyszła z ambulatorium, zaraz za nią wyszedł esesman ale już nie w fartuchu i dał znak szrajberce, żeby poszły za nim. Pomaszerowały prosto do bramy i potem drogą, obok krematorium i bloków obozu męskiego, w stronę swojego kobiecego obozu. Ale niespodziewanie esesman skręcił z drogi wcześniej, otworzyła się brama i weszły do innego sektora. Zatrzymały się przed obcym blokiem. Niespokojnie patrzyły za szrajberką, która pod eskortą aufzejerki poszła dalej, tam, skąd rankiem wyszły do tego ambulatorium.

Długo stały na deszczu i dygotały od chłodu, kiedy z baraku wyszedł esesman i niska, krępa kobieta w pasiaku z opaską na rękawie. Nowa blokowa. Patrzyła na dziewczyny ze spokojną miną, w milczeniu. Esesman skinął jej niedbale ręką, wsiadł na rower i odjechał w stronę bramy. Blokowa patrzyła za nim chwilę, poczym podeszła do kolumny dziewczyn.

- Same Polki? – spytała silnym, spokojnym głosem.

- Tak! Same Polki. Warszawa, Tarnów, Zamość, Lublin... – sypnęły się nieskładne odpowiedzi.

- Wchodźcie do bloku. Dziś do pracy nie pójdziecie.

I usunęła się na bok gdy one stłoczyły się w drzwiach. Oglądały się niepewnie na stojącą z boku blokową. Pewnie zaraz wrzaśnie, skoczy na nie z kijem... ale ona stała i cierpliwie czekała, aż wszystkie wejdą do wnętrza.

Patrzyły zaskoczone. Pojedyncze prycze! Prawda, że nie łóżka, lecz prycze, drewniane, jak wszędzie w obozie, ale pojedyncze.

- Chodź – Hanka wspięła się szybko na najwyższą pryczę i obejrzała się na Stefkę. – A może ty wolisz na górze?

- Nnnie – odpowiedziała sennie. – Piecze mnie noga.

- Mnie też. Ale to przejdzie – Hanka wyciągnęła się na pryczy, odetchnęła z ulgą ale zaraz spojrzała na Stefkę. – No, włącz na pryczę. A może ci pomóc?

Stefka pokręciła głową. Z trudem wspięła się na środkową pryczę. A na dole ułożyła się Franka.

Stefka opadła na łóżko. Dziwne. O ile tu lepiej niż na starym bloku z którego tu przyszły. I można leżeć! W dzień! Dziwne to. Wychyliła się z pryczy i spojrzała na blok. Prawie wszystkie dziewczyny już leżały. Wychyliła się jeszcze bardziej i spojrzała w dół. Franka odwinęła rękaw i delikatnie obmacywała miejsce, gdzie zrobili jej zastrzyk. Uniosła głowę i zobaczyła Stefkę.

- Boli – powiedziała. – Taki rwący ból.

- Jak po zastrzyku. To przejdzie.

- Wszystko to dziwne. Zastrzyki, skaleczenia, teraz ten blok, prawie szpital. I do pracy nas nie gonią. Co to znaczy?

- Nie przejmuj się – pocieszała ją Stefka sennie. – Wyjdziemy stąd. A trochę teraz odpoczniemy. Zobaczysz, że wyjdziemy!

- Oby tylko nie przez komin – odparła ponuro Franka.

Stefka nie odezwała się. Podciągnęła koc pod brodę, zamknęła oczy. Lekki wir wciągał ją w jakąś niemoc, czuła gorąco rozlewające się po skaleczonym udzie, ale już zapadała w sen.

* * *

Obudziła się. W bloku zółciły się pod stropem mdłe światła.

- Śpiz i śpiz – powiedziała Hanka. – Zaraz będzie apel.

- To trzeba wstawać – poruszyła się i syknęła z bólu. Całe udo płonęło gorączką. – Noga – szepnęła.

- Boli? – Hanka wychyliła ku niej głowę ze swojej pryczy. – Mnie też boli. Mało co spałam. Zejdę do ciebie.

- Chodź.

- Co oni nam dali? – szeptała Hanka układając się obok Stefki. Teraz było ciasniej ale za to cieplej. – Boję się – dodała.

- Czego? – Stefka spojrzała na koleżankę.

- Że to nie przeciw tyfusowi.

- Może i nie.

Leżały w milczeniu. W bloku było cicho, jak nigdy. Ktoś gdzieś coś mówił, stukwały o beton drewniaki idącej dziewczyny. W pewnej chwili, gdy blokowa stanęła w drzwiach i kazała wszystkim położyć się na swoich miejscach. Hanka wróciła na swoją górną pryczę. I zaraz rozległy się ciężkie kroki esesmana. Przeszedł wzdłuż baraku, policzył głowy dziewcząt, zajrzał do notesu, mruknął coś pod nosem i wyszedł,

- Widziałas taki apel kiedy? – prychnęła Franka. – Leżymy jak księżniczki a blockfuhrer chodzi i liczy. Życ nie umierać!

- A jak ręka? – spytała Stefka.

- Pytanie! Boli i bardzo gorąca – odparła Franka.

* * *

W nocy budziła się często, bo każdy ruch sprawiał nieznośny ból. Gdy rozwidniło się odsunęła koc i odchyliła opatrunek na nodze. Całe udo spuchło, szczerwieniło, wokół skaleczenia była biała obwódka. Zsunęła się z łóżka i czepiając się prycz pokuśtykała do blokowej.

- Pani blokowa, niech pani popatrzy – podniosła spódnicę.

- Idź tam – blokowa wskazała drzwi, na których czerwienił się krzyż.

Stefka zapukała. Rozległ się głos wzywający do wejścia. Nacisnęła klamkę. Kobieta w pasiaku myła podłogę. Spojrzała na Stefkę, wstała, wytarła szmatą mokre ręce.

- Źle ze mną... – Stefka znów podniosła spódnice. Kobieta leciutko dotknęła rozpalonego uda, przyjrzała się rance i spojrzała na Stefkę bezradnie.

- Wszystkie tak macie, dziecko.

- Może powinnam iść na rewir?

- Kobieta pokręciła głową. – Stąd się nie idzie na rewir. Oni tu dziś przyjdą.

- Jacy oni?

- Sanitariusze z SS. Może nawet doktor przyjdzie.

- Ale kiedy?

- Nie wiem. Jutro, może pojutrze.

- Jutro będzie jeszcze gorzej!

- Dziecko... – sanitariuszka popatrzyła na nią ze smutkiem. – Żadnej z was nigdzie stąd nie wolno wyjść bez ich zgody. A ja... – westchnęła. – Ja ci mogę dać ziółek do picia. I nic więcej.

Stefka stała chwile milcząco. Noga pulsowała bólem, więc uniosła ją lekko, opierając się na drugiej, zdrowej nodze. Co robić? Spojrzała jeszcze raz na sanitariuszkę. Tak, to pewne, ona nie może pomóc. Bez słowa obróciła się i utykając wróciła na prycze. Siedziała tam już Hanka.

- I co? – spytała Stefkę. – Byłaś u blokowej? Co ci powiedziała?

Stefka opowiedziała o rozmowie z sanitariuszką. Hanka skrzywiła się nagle i i przycisnęła dłonią bolące udo.

- Dziwne – szepnęła. - Rwie tak, że aż się w głowie kręci. Co robisz? – spytała widząc, że Stefka moczy gałganek w ziołach, jakie dawali im do picia i przykłada do ranki. – Zapaskudzisz jeszcze gorzej. Pójdę na górę – chwyciła za deski by wspiąć się na swoja pryczę.

- Zostań – poprosiła Stefka.

- Ciasno będzie.

- Zostań. Boję się – pogłaskała Hankę po dłoni.

Siedziały przytulone do siebie, nie mówiąc ani słowa. W baraku było cicho, z rzadka tylko rozlegał się przytłumiony głos którejś z dziewcząt. Z za cienkiej ściany dobiegały dalekie wrzaski aufzejerek, gwizdki, tupot wielu nóg. A one siedziały, wsłuchane w siebie, w rwący ból opuchniętych nóg.

- Hanka... – szepnęła Stefka. – To przejdzie? Prawda? Przejdzie?

- Tak. Wszystko przejdzie.

Stefka przymknęła oczy. Coś tam zaczęło się przesuwac przez głowę, mama czy nie mama, ktoś szedł przez pole, coś pachniało mocno, prawdziwie, obóz... nie, to sen, to nieprawda, to sen...

Nagle otworzyła oczy. Hanka drzemała przytulona do niej, krzywiła przez sen usta, jakby śniło jej się coś przykrego. Poruszyła się i syknęła z bólu. Otworzyła oczy.

- Spałam chyba. Tylko ta noga.

Stefka dotknęła czoła Hanki.

- Gorączkujemy – szepnęła. – A oni przyjdą jutro lub pojutrze. – Położyła się, opierając głowę o deskę pryczy. Co to będzie? – myślała. – Wykończą nas? Takim głupim skaleczeniem? Nie! To nie może być!

* * *

Nocne złe sny. Ból przy każdym ruchu. A nawet bez ruchu. Popłakiwania dziewczyn na sąsiednich pryczach. Rano znów zdjęła opatrunek. Z ranki na udzie ciekła ropa. Zakryła oczy dłonią, ale zaraz odsunęła rękę i rozejrzała się z mocnym postanowieniem, że musi wstać. Musi!

Zsuwała się z pryczy wolniutko, mocno trzymając się desek, aby nie upaść, tak bardzo kręciło jej się w głowie. Czepiając się prycz powlokła do umywalni. Odkręciła kran i podstawiła dłoń pod strumyk lodowatej wody. Otarła twarz mokrą ręką. Spojrzała w okno. Daleko, za drutami, w kobiecym obozie, na błotnistej ziemi klęczały szeregi kobiet. Pomiędzy nimi biegały funkcyjne i aufzejerki z laskami w dłoniach i tłukły kogo popadło.

Wolno wróciła na swoje łóżko. Nikt nie chodził między pryczami, słyhać było tylko ciężkie oddechy i pojękiwania dziewczyn. Dwie siedziały na piecu nakryte kocami, kołysząc się w tył i w przód jak w jakiejś niemej modlitwie. Ktoś zapłakał krótki i umilkł. Długą chwilę odpoczywała nie ruszając się. Dlaczego jest taka słaba?

- Hanka! – zawołała cichutko, ale nie było odpowiedzi. – Hanka... odezwij się – powtórzyła zaniepokojona.

Cichy pomruk, skrzypnięcie desek. Pewnie śpi. To dobrze. Przymknęła oczy, ale zaraz je otworzyła. Jak wygląda noga? Usiadła, podniosła spódnice. Cieknie. Nacisnęła skórę obok ranki i skrzywiła się z bólu. Ropa pociekła mocniej. Nacisnęła jeszcze raz. Umoczyła gałganek w ziołach i położyła na rance. Ból jakby stępsiał. Chwyliła za deski pryczy by wciągnąć się na górę. Nie... nie wejdzie, nie położy się. Musi chodzić. Musi!

Mało nie upadła, bo niemrawe palce nie trzymały mocno deski. Powlokła się w stronę ambulatorium. Co parę kroków stawała, żeby odpocząć. Ale szła. Stawała, oddychała nierówno, drżała z bólu. I znów szła. I znów odpoczywała.

Gdy oparła się o ścianę tuż przy drzwiach, sanitariuszka uchylila je.

- Trzymasz się, widzę – patrzyła na dziewczynę ze współczuciem.

- Nie mam siły. Nic nie rozumiem.

- Wracaj na pryczę. Oni zaraz przyjdą. Lepiej będzie, jeśli nie zobaczą, że możesz chodzić.

- Dlaczego? – spojrzała na kobietę z nadzieją, że usłyszy jakieś wyjaśnienie.

- Jak przyjdą, leż w łóżku i nie ruszaj się, udawaj, że śpisz. Chodź, pomogę ci.

Wsparta na sanitariuszce szybko doszła do pryczy. Opadła bezwładnie na poduszkę. Zamknęła oczy, oddychała ciężko, ale i z ulgą, że leży, że nie musi się poruszać. Ból w nodze jakby nieco przycichł.

- Achtung! – rozległo się od drzwi wołanie blokowej.

- Przyszli – pomyślała Stefka i prawie w tej samej chwili zapadła w gęstą mgłę.

* * *

Otworzyła oczy i długą chwilę patrzyła w deski pryczy nad głową. Tam jest Hanka... przyszła wreszcie myśl. Poruszyła się i targnął nią ból. Noga... Przypomniała sobie, że byli ci sanitariusze. Dotknęła delikatnie obrzmiałej nogi. O, jest nowy opatrunek! Więc oglądali ja. A ona nic nie czuła, nic nie słyszała...

- Hanka! Hanka!

Cisza. Ktoś kaszle długo, długo, milknie wreszcie. Ktoś wolno człapie przejściem wzdłuż prycz. Jeszcze trzaśnięcie drzwi. I znów cisza.

- Hanka...

Nie odpowiada. Pewnie śpi.

Trzeba wstać. Dźwignęła się na łokciu. Zawirowało jej w głowie. Zupełnie nie ma siły. Język w ustach suchy, jak kołek. Nie wstanie. Nie może. Ale zacisnęła zęby z uporem. Musi wstać!

Oparła się na rękach i usiadła. Rozejrzała się dokoła. Trzy dziewczyny opatulone kocami siedzą przy palenisku pieca, płomień z otwartych drzwiczek złoci im twarze a one siedzą bez ruchu, jak duże bure lalki.

Wolno zsuwała się z pryczy. Żeby tylko nie upaść...wreszcie poczuła pod stopą deskę dolnej pryczy, jeszcze chwila i stanęła na betonie. Spojrzała na Frankę. Leży. I patrzy obojętnie na Stefkę.

- Spałam – powiedziała, przysiadając na desce.
- Wiem. Dwie doby – odparła Franka. – Prawie wszystkie tak śpią.
- Hanka pewnie też.

Franka odwróciła głowę bez słowa.

- Nie odzywa się, jak wołałam. Śpi, albo może gdzieś poszła – ciągnęła Stefka.

Franka spojrzała na nią jakby z niechęcią. – Poszła – szepnęła – Do pieca.

- Aaa, tam siedzi – Stefka spojrzała na dziewczyny skulone przy palenisku.

- Nie! – krzyknęła Franka. - Ona poszła tam... – wskazała głową na ścianę bloku za którą, wiedziały to bez słów, sterczał w niebo komin krematorium.

- Umarła..? – spytała Stefka z niedowierzaniem. – Hanka umarła?

- Nie tylko ona. Już dziesięć ich wynieśli.

- Dziesięć...

- Tak.

- A... a my?

France drgnęły wargi. – My... dzień, dwa, może tydzień i też nas wyniosą.

- Nie! – Stefka ścisnęła pięści. – Nie. Niecee!!! – krzyknęła z całych sił.

- Trzy z tych dziesięciu też tak krzyczały – odparła Franka. – Ale potem też je wynieśli.

- Dlaczego? Dlaczego...

- Oni nas zatruli. Zakazili. Przychodzą tu. Oglądają. Zapisują coś w notesach. I smarują rany jakimś płynem. A czasem nie smarują.

- I co dalej? – spytała Stefka patrząc na Frankę bezradnie.

- Wszystkie tam pójdziemy.

- Mówisz to tak spokojnie. Przecież to śmierć!

- Jak pierwszą wynosili, to płakałam. Jak drugą też, ale już mniej. A potem już wcale.

- Uciekajmy!

- O, wstałaś! – Stefka usłyszała za sobą głos sanitariuszki.

- Proszę pani. Co z nami będzie?

Wzruszenie ramion. Ścisnięcie warg i lekkie pokręcenie głową. – Nie wy tu pierwsze i pewnie nie ostatnie.

- I nic nie można poradzić?

- A co, dziecko? Wchodź na górę. Oni zaraz tu będą. Jak przyjdą do ciebie leż i udawaj, że nic nie czujesz. No, pomogę ci!

Położyła się na pryczy i patrzyła na deski, za którymi niedawno leżała Hanka. Jak długo jeszcze będzie słyszeć, widzieć, czuć... dzień, dwa. może tydzień. Nie, to niemożliwe! O, trzasnęły drzwi i blokowa trajkocze meldunek. I kroki. Mocne, zgrzytliwe. Nagle cisza. Pewnie zatrzymali się przy którejś z dziewczyn. Znów kroki. Słowa rzucane szybko, niezrozumiale. Znów kilka kroków. Głośny oddech, jakby śmiertelnie zmęczonej dziewczyny. Co on powiedział? „Fertig”... co to znaczy? Zaraz...już wie! „Gotowe”. Co jest gotowe? Co może być gotowe? Znów kroki. Są tuż przy pryczy. Stoją pewnie nad Franką. Zapachniała to coś jakby benzyna. Co mówiła sanitariuszka... nie ruszać się, zamknąć oczy, nic nie czuć...

Wiedziała, że patrzy na nią z bliska. Podnoszą koc. Ledwie powstrzymała się, żeby nie krzyknąć, gdy zerwali opatrunek. Chwilę czekała na chłodne mażnięcie po rozpalonym udzie. Nie maznęli... „Weiter”... co to znaczy? A, to „dalej”. I kroki. Odchodzą.

Lekko uniosła powieki. Stoją przy następnej pryczy. Oglądają spuchnięte ramię dziewczyny. Zamknęła oczy. Kroki esesmanów oddalały się, rozmazywały.

Spała pewnie, bo nagle zobaczyła tuż nad sobą twarz sanitariuszki.

- Poszli... – szepnęła.

- Tak. Masz, jedz.

- Nie – pokręciła głową – Pić...

- Musisz jeść. Jesteś bardzo słaba. A musisz mieć siły.

- Po co mi siły – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Jeszcze dzień, dwa...

- Musisz wierzyć, że przeżyjesz. Ja w ciebie wierzę. Jedz. Proszę...

Chleb. I zioła, ta niby herbata obozowa. Niemrawo żuła kromkę. Patrzyła na prycze stojące po drugiej stronie pieca. Na wielu nie było nikogo. Za parę dni i jej prycza będzie pusta? Nie!

Musi wstać! Trzeba iść. Tylko gdzie? Jest taka słaba, taka strasznie słaba.

Z trudem zsunęła się z pryczy. Franka drzemała. Stefka przyjrzała się koleżance. Jaka ona chuda, krople potu na czole, na nosie. Ma gorączkę, dużą gorączkę.

- Znowu zeszałaś – spytała pielęgniarka i spojrzała szybko dokoła.

- Ja muszę chodzić – odparła.

- Masz tyle siły, żeby przejść przez cały blok?

- Nie wiem. Ale muszę chodzić – przeszła dwa kroki i chwyciła za deski, żeby nie upaść.

- Wracaj na pryczę.

Stefka odmownie pokręciła głową i znów przeszła kilka kroków, znów oparła się o pryczę.

- Muszę chodzić – szepnęła.

Przestąpiła kilka kroków. Zatrzymała się, bo usłyszała za sobą stukot drewniaków. Dwie sztubowe niosły ku drzwiom nieruchomą dziewczynę.

- Jedenasta – powiedziała sanitariuszka patrząc za nimi.

* * *

Przeszły trzy dni. Raz tylko przyszli esesmani. Pięć dziewczyn sztubowe wyniosły z bloku. Przy piecu siadały czasem tylko dwie dziewczyny. Ale tego dnia Stefka bez zatrzymania doszła do pokoiku na końcu bloku. Stanęła przy oknie. Drażniła ją kropla potu na czubku nosa, ale bała się puścić ręką okiennej ramy.

W wąskiej przerwie między blokami widać było druty i wieżyczkę strażniczą. Za nią, w błękitnej mgie oddalenia, za szpalerem drzew niebieszczyły się góry. Patrzyła na nie z zachwytem. Góry. Pewnie tam są lasy. I nie ma drutów, i nie ma Niemców. Jeszcze nigdy nie widziała z bliska takich gór. I już nie zobaczy?

Odwróciła się energicznie od okna i zaciskając zęby, żeby nie szczeć z bólu, pomaszzerowała, prawie nie utykając, w stronę wyjścia z bloku. Musi przejść przez cały blok! A potem jeszcze raz. I żeby można iść trochę prędzej. Ale nie może, naprawdę nie może.

- Stefko – sanitariuszka wyszła z pomiędzy prycz i przyzwała ją gestem.

Podeszła do niej, oparła się o pryczę i odetchnęła z ulgą.

- Świetnie ci idzie.

- Ja nie umrę – odpowiedziała z mocą.

- Słuchaj... – sanitariuszka zawahała się, zerknęła szybko na boki i pochyliła się do niej. – Zaraz po apelu... – spojrzała na nią badawczo. – Czy dojdiesz do bloku szpitalnego?

- Nie! – przeraziła się Stefka. – Nie...

- Cicho! – sanitariuszka zakryła jej usta dłonią. – Chcemy cię zamienić.

- Jak to; zamienić...

- Na twojej pryczy położymy inną dziewczynę. Umarła dziś, w szpitalu. Rozumiesz? Ją wyniosą, a ty będziesz żyć.

Skinęła głową bez słowa. Tylko czy dojdzie do tamtego bloku. Czy dojdzie...

* * *

Było już szaro i na drutach zapłonęły lampy. Sanitariuszka wysunęła się z bloku, spojrzała w lewo, w prawo i skinęła na Stefkę. Mocno chwyciła ją pod ramię. Pusto. Cicho. Chrypliwie zaszczekał pies, ale daleko od nich. Szybko przeszły kilkadziesiąt kroków i Stefka przystanąła pod ścianą bloku.

- Odpocznijmy – wydyszała.

- Nie! To już blisko.

- Nie mogę – szepnęła. – Naprawdę nie mogę.

- To tamten blok – sanitariuszka wskazała ciemną bryłę baraku. – Szybko...

I wreszcie drzwi. Ledwie weszły, Stefka osunęła się na beton, nisko opuściła głowę.

- Słaba – usłyszała obcy głos.

- Ale bardzo dzielna – odparła sanitariuszka. – Tamta już gotowa?

- Zaraz ją damy, a ty wstawaj, no, rusz się!

Podniosła głowę. Przed nią stała wysoka, bardzo szczupła kobieta w pasiaku. Króciutkie, centymetrowe może włosy, przenikliwe spojrzenie.

Oparła dłoń o ścianę i wstała.

- Daj rękę – kobieta na przedramieniu szybko napisała szereg cyfr. – To twój numer. Naucz się! A na imię masz Zocha. Zapamiętasz? Zocha.

- Stefka... – szepnęła.

- Nie ma Stefki. Jesteś Zocha. Pamiętaj! Zocha...

NIE SAM

Innym dobrze, mają w obozie kogoś bliskiego – ojca, brata albo chociaż znajomego z wolności. Jurek biega do bloku ruskich jeńców, lubią go tam, czasem przynosi kromkę chleba, czasem to, co usłyszał, jak ruscy bili Niemców, nim dostali się do niewoli. Słuchamy wtedy uważnie, lubimy słuchać o tym, jak się bije Niemców. Zenek ma brata w trzynastym bloku, dużego brata, nikt Zenka nie pobije, nie zabierze mu chleba, ma przecież brata. Witek ma wujka w siedemnastym bloku, a Andrzej ma ojca. A ja jestem sam. No, mam matkę w kobiecym obozie, ale to zupełnie tak, jakbym nie miał tu nikogo, bo przecież kobiecy obóz jest daleko, za torami, gdzie nie chodzi żaden z nas. Więc jestem sam. Nie wybiegam chyłkiem po apelu, nic nie dostaję, nikt mnie nie obroni przed silniejszymi, nikt o mnie nie pyta.

Ale raz byłem nawet szczęśliwy, że nie mam tu taty, wujka czy kogoś bliskiego, dorosłego. Pobiegłem z Andrzejem do siódmego bloku i zobaczyłem jego ojca. Znałem go przecież z wolności, mieszkaliśmy w jednym domu. I zobaczyłem jak siedział, zarośnięty, brudny, w pasiaku, jak biegał na gwizdnięcie kapo, jak prężył się przed nim na baczność, z myką przy udzie, i dostał potem w twarz... i wtedy pomyślałem, że dobrze, że nie mam tu nikogo, że mój ojciec jest inny, nie jest i pewnie nigdy nie będzie w obozie, nie zobaczę go takim, jak ojciec Andrzeja. Ale... czasem chciałbym mieć tu kogoś bliskiego, kogoś z wolności, jak inni.

- Ty, mały, pójdz tu do mnie!

To pan Kazio! Fryzjer, fajfus blokowego. Mnie woła, mnie... Trzeba iść, przecież woła, a on bije, strasznie bije, nie ma ratunku gdy zacznie, widziałem, jak wczoraj złamał rękę jednemu chłopakowi, uderzył go drągiem do noszenia beczki z zupą i złamał.

- Idę, panie Kaziu – uśmiechnąłem się zdrętwiałymi wargami.

- Czego się gapisz, szczyłu? Dlaczego jesteś w bloku, a nie na placu? – spytał podchodząc bliżej.

- Sprzątałem, panie Kaziu...

- Sprzątałeś... – wykrzywił się pan Kazio. – Widziałem, jakieś sprzątał, gnoju, ab! – wrzasnął skacząc ku mnie.

Dosięgną! Końcem buta, choć uważałem i uciekałem ile sił. Wpadłem pod pryczę, wywłókł mnie stamtąd za nogę, uderzył laską raz i drugi, kopnął i już byłem na placu między blokami chlapiąc z bólu i złości.

- Co ci? – spytał Witek.

- Kazio... – odpowiedziałem.

- Kazio... – szepnęli koledzy między sobą.

- Myśleliśmy, że na tym bloku będzie inny, ale już podlizzał się nowemu blokowemu i zaczyna rządzić.

-Trzeba by się na niego poskarżyć – powiedział Stach, jeden z najstarszych chłopców w bloku.

- Komu? – prychnął kpiąco Andrzej. – Może esesmanom, co?

- Idiota... esesman pomoże, ale Kaziowi!

- Trzeba zaraz iść do naszych, do czwartego bloku.

- Tam jest mój znajomy z wolności! – krzyknął Włodek. – Powiedzieć mu o Kaziu?

- Pewnie, ale co mu powiesz? – spytał Stach.

- No... Że Kazio jest dla nas niedobry.

- Gnojek! Niedobry! Złamał Jurkowi rękę, wykończył dwóch starych jeszcze jak byliśmy na trzynastym bloku, przez niego Jurek, ten rudy, poszedł na rewir i nie wiadomo czy wróci, a ilu uśmiercił, nim my przyszliśmy? Ilu pobił? A ty teraz mówisz – niedobry! Gówniarz...Stachu, idź z Włodkiem na czwórkę. Powiedźcie razem wszystko, jak trzeba.

Minęło kilka dni. Wieczorem po apelu w bloku było pusto i cicho. W boksie na końcu bloku pan Kazio strzygł chłopców opowiadając przy tym świńskie kawały. Starcy, mieszkający razem z nami, chcieli mu w pierwszych dniach tłumaczyć, że my to przecież jeszcze dzieci, że nie powinien tak mówić do nas, ale pan Kazio ruszył do nich z laską i dziadkowie skakali po pryczach jak małpy. I nikt mu już nie przeszkadzał, i słuchaliśmy jego opowiadań śmiejąc się ile sił, bo tak trzeba było, gdy w drzwiach boksu stało trzech obcych więźniów.

- Cześć – powiedział jeden z nich.

Pan Kazio przerwał opowiadanie i spojrzał na nich niechętnie. – Szukacie kogoś? – spytał.

- My tak, po sąsiedzku. Podobno dobrze strzyżesz.

- Strzygę. No, zjeżdżaj! – szturchnął na pół ostrzyżonego chłopaka.

- Nie, dokończ go, poczekamy, nie pali się.

- Co tam on! – machnął ręką pan Kazio. – Pochodzi tak do następnego strzyżenia, nic mu nie będzie.

- Skończ go jednak – powiedział cicho drugi z więźniów.

Pan Kazio spojrzał na niego i przestał się uśmiechać.

- Siadaj! – powiedział do chłopca. – To nie potrwa długo – spojrzał na tych stojących w drzwiach. – Co to tu za strzyżenie...

- Na wolności też strzygłeś? – spytał jeden z więźniów.

- Zakład miałem! Do spółki, golenie, strzyżenie. Jak przyszedł jarmark w miasteczku, to ręce od roboty mdlały, forsa szła, a tu...

- Za darmo ich strzyżesz?

- A jak? Myślicie, że oni co mają? – wzgardliwie rzucił pan Kazio.

- No, dostają przecież chleb, czasem margarynę, po plasterku kielbasy...

- I marmoladę... – podpowiedział cicho jeden z chłopców.

- A ty czego?! – warknął pan Kazio.

- Mały dobrze mówi – podjął jeden z więźniów. – Pół wiaderka marmolady na trzystu chłopaków. Ale ty umiesz dzielić, wiemy! Jednemu wystukasz łyżeczkę na chleb, drugiemu wytrzesz ją o kromkę, trzeciemu dasz oblizać, czwartemu w gębę łyżeczką i od początku, co? Podobno połowa ci jeszcze zostaje. Umiesz dzielić...

- Co wy, jak pragnę wolności! – oburzył się pan Kazio.

- Skończyłeś go?

- Już... – odepchnął ostrzyżonego chłopaka. – Następny!

- Nie... teraz my.

- Wy macie swojego fryzjera – pan Kazio cofnął się, wysunięta zwykle szczeka cofnęła się, stracił nagle całą pewność siebie. – Zaraz przyjdę – ruszył do drzwi.

- Nie... – wysoki młody więzień zastąpił mu drogę. – Poczekaj...

Patrzyliśmy oniemiałi. Kazio, postrach nas wszystkich, wszechwładny pan Kazio stał i bał się!

- Co wy? Dlaczego? – spytał wreszcie cichym głosem.

-Znęcasz się nad nimi, nad dziećmiakami. Wiemy. Polak jesteś i polskie dzieci bijesz!

- Ja?! Nie wiercie! To łgarstwo!

- Łgarstwo... Złamałeś chłopakowi rękę!

- Przez ciebie szli na rewir i do gazu...Ilu masz na sumieniu? Kilkunastu? Kilkudziesięciu?

Gadaj!

- Co wy?! Ja zaraz blokowego... – pan Kazio cofał się przed napierającymi na niego więźniami.

- I blokowy ci nie pomoże – powiedział ten młody.

- Co wy? Jakim prawem! Co wy...

- Twoim prawem. Jesteś winien śmierci wielu naszych. Ostrzegliśmy cię. Nie będziesz już bił...

Skoczyli na niego, i zwalili z nóg, nim zdążył powiedzieć słowo. Kopali go w milczeniu, a on pisał cienko i długo, aż mały Krzyś rozplakał się w głos.

- Uciekajcie stąd! – krzyknął najstarszy z więźniów i wybiegliśmy natychmiast, skoczyliśmy na nasze prycze. Jeszcze chwilę słychać było głucho uderzenia w boksie, ale zaraz ucichło tak i trzech więźniowie wyszli na blok. Ostatni z wychodzących zamknął za sobą drzwi.

- Nikt nikogo nie widział, nikt niczego nie słyszał – powiedział ten najstarszy, gdy szli do wyjścia z bloku.

- Chodźcie, zobaczymy! – Włodek zsunął się z pryczy.

- Siedź! – powstrzymał go Stach.

- Chodźmy, trzeba zobaczyć! – upierał się Włodek.

- Nie trzeba! Niech zdycha! – twardo powiedział Stach.

- Nie można tak. To przecież też człowiek!

- Nie... To tylko Kazio. Esesmański slugus. A może żal ci go? Co? – Stach ukląkł na pryczy. – Idź! Ty przecież sprowadziłeś razem ze mną tych z czwórki! Może ich teraz wydasz? No, dlaczego stoisz? Idź!

Włodek pokręcił głową i wspiął się na pryczę, usiadł obok nas. – Nie, nie pójdę...

- Nie trzeba! Nie wolno! Niedługo i tak go znajdą. Ale to zupełnie nie nasza sprawa. Nikt nikogo nie widział, nikt niczego nie słyszał... pamiętacie? Wiecie co, może zaśpiewamy?

*Hej, chłopcy, bagnet na broń!
Długa droga daleka przed nami,
mocne serca, a w ręku karabin,
granaty w dłoniach i bagnet na broni!*

Przynieśliśmy tę piosenkę ze sobą, z wolności. Śpiewaliśmy ją z zamkniętymi oczami, w upojeniu, bo wtedy byliśmy znowu na ulicach rodzinnych miast i wsi, wśród swoich, czuliśmy się zwarci, silniejsi, starsi o lata całe.

Pana Kazia znaleźli jeszcze tego wieczoru. Musieli go przecież znaleźć, bo na apelu stan więźniów musiał się zgadzać. Zaraz zabrali go na rewir. Tam już wiedzieli, że mają przynieść im pana Kazia. A w bloku... nikt nikogo nie widział, nikt niczego nie słyszał.

- Dobrze teraz bez Kazia, co? – powiedział Stach do Witka na apelu następnego dnia.
- Dobrze, ale jak wróci z rewiru...
- Nie wróci!
- Jak to? Przecież żyje!
- Jeszcze żyje. Ale z rewiru nie wyjdzie. To znaczy wyjdzie, ale do pieca. Taki był wyrok.
- Czyj wyrok?! Bujasz...
- Nie! Ale wiem.
- Co? Skąd? Powiedz?
- Wiem, i już! Nie wróci. My tu w obozie też coś możemy...
- My? – wtrąciłem. – Kto to – my?
- Zamknij się! – zgromił mnie Stach. – My, i już!
- Ale powiedz!
- Nie... Nie pytaj o nic. Ale nie jesteśmy tu tacy zupełnie sami. Cicho!

Zamarliśmy w bezruchu. Blockfuhrer Baretzki liczył już nasze szeregi. Prześlizgnął się po mnie obojętnym, zimnym spojrzeniem. Pierwszy raz patrzyłem w jego oczy bez zwierzęcego strachu.

STEFAN

Spojrzałem w bok, odwróciłem się zaraz, nie, właśnie nie będę patrzył, postanowiłem, ale nie wytrzymałem, zerknąłem po chwili jeszcze raz, jeszcze, wreszcie wyciągnąłem rękę i nieśmiało dotknąłem gładkiej chłodnej skóry butów Stefana.

- Czego?! – szarpnął nogę i usunął się w kąt pryczy.
- Ja tak tylko... Takie śliczne – powiedziałem.
- Pewnie, że śliczne!
- A wodę puszczają?
- Wcale! Zobacz – ściągnął but i wyprostował nogę. Miał na niej skarpetę z uciętego rękawa od swetra. Suchą skarpetę. Spojrzałem na moje przemoczone, zziębnięte stopy
- To od niej dostałem. Od Baśki – powiedział Stefan z dumą.
- Opowiedz – przysunąłem się bliżej, ale Stefan spojrzał na mnie z góry.

- Co ty zrozumiesz, szczeniaku...

Ważniak! Że starszy ode mnie o trzy lata, to już musi być taki ważny? Ma szczęście, bo gdyby był trochę wyższy, esesmani wzięliby go do męskiego bloku i chodziłby w komando do pracy, albo wywieźli by go do innego obozu. A tak, to choć ma już skończone szesnaście lat, to udaje między nami dzieciaka. Chłopaki mówili o nim, że się zakochał. Tu, w obozie! Fajne, co? Słyszałem kiedyś, przez chwilę, jak opowiadał starszym kolegom o tej swojej Baśce. Poznał ją, kiedy poszedł do pracy na FKL, jako pomocnik hydraulika.

- I wtedy mi je dała – opowiadał. – Błoto było a moje sandały rozlały się na amen, miałem mokre i sine nogi.

„Czekaj – powiedziała, przystawiła swój but do mojego, porównała – zaraz wrócę”

- Wróciła rzeczywiście zaraz i w rękę trzymała długie brązowe buty z cholewami.

„Załóż!”

Nie wierzyłem, delikatnie pogładziłem miękką skórę cholew.

„Załóż! – nalegała. – Masz dreszcze. Tu najgorsze, co może być, to choroba. Wezmą cię wtedy na rewir i co? Umrzesz! Tyfus, wszy, głód i na końcu zastrzyk z fenolu. Trzeba się trzymać. A te buty zostały po ostatniej selekcji. Czy tylko będą dobre? – zaniepokoiła się. – Muszę już iść” – podniosła się.

„Nie chodź – poprosiłem. – Jak ci na imię?”

„Baśka. A tobie?”

„Stefan. Przyjdę tu znowu jutro.”

„Dobrze, przyjdź!” – uśmiechnęła się.

- Ale nie zobaczyłem jej już. Nie poszedłem więcej na kobiecy obóz. A Baśka... nie wiem...pewnie poszła w jakiś duży transport gdzieś do Niemiec. Mam tylko od niej buty. Te właśnie.

Gdy chłopaki spostrzegli, że słucham, zaraz mnie przegnali.

- Powiedz... – poprosiłem teraz, gdy siedzieliśmy sami na pryczy. – Powiedz o niej, o tej Baśce...

Stefan ściągnął buty z nóg, ułożył je na pryczy, przykrył marynarką i oparł na niej głowę.

- Gówniarz jeszcze jesteś – zaczął – nie rozumiesz się na dziewczynach, może nie? – spojrzał na mnie drwiąco. – Gówniarz jesteś, i już! Całowałeś się chociaż? No, powiedz?

- Nie lubię – odpowiedziałem, a Stefan roześmiał się drwiąco i machnął ręką.

- Dobrze! Nie lubi... Niech ci będzie, że nie lubisz, ale polubisz, jak będziesz miał tyle lat, co ja. A teraz zjeżdżaj.

Któregoś grudniowego ranka nie wypuścili nas z bloku, przy drzwiach stała torwacha a blokowy biegał dokądś kilka razy. Po pryczach krążyły domysły: „Pójdziemy w transport, będzie selekcja albo...do gazu...” Ciche szepty. Milczenie. Oczekiwanie. Strach. Wreszcie otwarto wrota i „zu funf” pomaszerowaliśmy drogą w stronę lasu, gdzie więźniowie rozbierali krematorium okolone wysokimi stertami drewna, Skręciliśmy w lewo i zamknęła się za nami brama rewiru. Znow będzie jakaś kwarantanna?

Z bloku wychodziliśmy teraz rzadko i tylko ukradkiem. Nasz nowy blokowy, Niemiec, kryminalista z zielonym trójkątem, był surowy i bezlitosny. Czasem tylko, gdy leżał pijany jak kłoda, próbowaliśmy myszkować po terenie rewiru.

Tego dnia właśnie pił i wreszcie w jego pokoiku zaległa cisza. Pewnie usnął. Mrugnąłem na Stefana, który spał na sąsiedniej pryczy i wysunąłem się z bloku. Zmierzchało już. Stałem w cieniu, oparłem się o ścianę i głęboko wciągnąłem wilgotne powietrze. Zaraz wyjdzie Stefan – on umie organizować, może znajdziemy coś do jedzenia...

Ktoś idzie! Przywarłem do ściany bloku. Jeśli to esesman... Nie.

- Tu! Tu jestem! – szepnąłem.

- Chodźmy!

Cichutko szliśmy w cieniu bloku, przebiegliśmy przez plac i znów byliśmy w głębokim mroku. Przystanęliśmy, nasłuchując.

- Jak tu cicho... – szepnąłem w nagłym lęku. Stefan nie odpowiedział. Straciłem ochotę na włóczęgę, zapragnąłem znaleźć się znowu w zasmrodzonym bloku, w tłumie kolegów. Daleko, od Oświęcimia, zaszczekał pies.

- Patrz! – Szepnął Stefan. – Światło!

- Gdzie?! – rozglądałem się, nie mogąc dostrzec śladów życia wśród martwych bloków.

- Tam! Prześwieca między deskami. Chodź, zobaczymy...

Skoczyliśmy biegiem przez oświetlony plac i stanęliśmy pod ścianą. Zajrzałem przez szparę między deskami. Prycze, takie jak u nas.

- Tu są kobiety! – szepnął Stefan.

- Nie widziałem, żeby wychodziły na plac.

- Pewnie mają kwarantannę, tak jak my.

- Pewnie... chodźmy dalej – ponaglałem, bo ogarniał mnie, nie wiedzieć czemu, coraz większy strach.

Przeszliśmy kilkanaście kroków. O, tu też przez szpary przebija światło. Spojrzałem. Stoły nakryte płótnem czy ceratą, ostry szpitalny zapach.

- To chyba szpital – szepnął Stefan.

- Pewnie tak. Pusto – odszepnąłem. Coraz bardziej się bałem ale patrzyłem. Szafy, lśniące narzędzia, maszynka z naczyniem, z którego ulatuje para. Stefan potrącił mnie, abym przesunął się o krok i potknąłem się o coś. Trupy! Leżą na stosie, jak kiedyś u nas, jeszcze latem, muzułmanie pod ścianą bloku.

- To jakaś trupiarnia... – szepnąłem. – Chodźmy już!

- Jeszcze chwilę!

Do stołu podeszli dwaj esesmani. Jednego z nich już widziałem. Była wtedy selekcja. Szliśmy przed nim nago przez całą długość bloku. Patrzył na nas obojętnie, czasem zapisywał numer któregoś z przechodzących i potem ten zapisany znikał i nie widzieliśmy go więcej. Przyszli go tu? Pewnie...

Stoją teraz, rozmawiają, palą papierosy a ten od selekcji raz i drugi spogląda na zegarek. Nie mogę nic zrozumieć z ich szybkiej niemieckiej rozmowy. Często tylko słyszę słowo – tot.

- Stefan, co znaczy – tot?

- Śmierć! Cicho...

- No, gut! – macha przyzwalająco ten od selekcji, gaszą papierosy i wychodzą.

- Idziemy! – trącam Stefana, bo nie lubię patrzeć na esesmanów i boje się ich, choć są za ścianą i nic nie mogą nam zrobić. – Tu nic nie znajdziemy...

- Patrz! – Stefan przytrzymał mnie za ramię.

Spoglądam w szparę. Naga chuda dziewczyna słania się między esesmanami, głowę ma zwieszoną nisko na piersi, nogi przestawia bezwładnie, bez czucia.

- Chora... – szepcze Stefan.

Kładą ją na stół. Jej głowa jest teraz blisko ściany, opada w tył.

- Nie! – jęknął nagle Stefan i pociągnął palcami po deskach.

Niemcy spojrzeli po sobie, znieruchomieli, nasłuchują.

- Alles in Ordnung – mruknął po chwili ten od selekcji. – Weiter.

- To Baška – chrypi Stefan. – Baška...

Ścisnął mnie za ramię mocno, jak kleszczami. Patrzą. Esesman wyjął z naczynia strzykawkę, wraca do Baški. Co on robi...Zastrzyk! Taką wielką igłą? Maca Baškę po lewej piersi, wbija igłę! Szybko, głęboko, tak głęboko, że aż od samego patrzenia robi mi się słabo. Dziewczyna drgnęła, otworzyła na chwilę oczy, oddycha szybko, coraz szybciej. Podnoszą ją. Co?! Kładą niedbale pod ścianą. Dlaczego?!

- Weiter – mówi ten od selekcji.

A co z Bašką?! Rusza się... Piersi jej uniosły się, opadły, jeszcze raz, jeszcze, jak mocno, jak szybko! Oczy wytrzeszczone, okropne...

- Achtung! – krzyczy jeden z esesmanów.

- Baška! Baška! – wrzeszczy Stefan i tłucze pięściami w ścianę bloku.

- Uciekajmy! – wołam, odrywam go od szpary i popycham. – Musiałeś krzyczeć, idioto! – dyszę, ciągnąc go od bloku do bloku.

- Zabili ją... Zabili!

Za nami gwizdki i krzyki. Przewracam się, zrywam, biegnę dalej. Gdzie Stefan? Nie ma go! Daleko za nami widać już esesmanów. Gdzie Stefan? Biegł przecież tuż przy mnie. Nasz blok? Tak! Ale gdzie Stefan?!

Wspinam się na pryczę, zrzucam buty z nóg i naciągam koc na twarz. Są! Szybkie niemieckie gardłowe wrzaski, kroki wzdłuż bloku, leżę nieruchomo, śpię, staram się nie oddychać, śpię, światło latarki przesuwają się po mnie, widzę przez dziury w kocu, wędruje dalej, trzaskają drzwi i do bloku wraca cisza. Zamknąłem oczy. Natychmiast zobaczyłem ją, gołą i tego esesmana z wielką igłą strzykawki. Otworzyłem szybko oczy. I tak przeleżałem do rana.

A rano, gdy nasze szajskomando* zaniósł pełne kible do ubikacji, znalazło tam Stefana. Wisiał na belce pod sufitem. Niektórzy pobiegli, żeby zobaczyć, ale ja nie poszedłem. Bałem się. Widziałem tylko, jak jeszcze tego samego przed ubikacją zatrzymał się wóz pełen trupów i dwóch więźniów wrzuciło Stefana na wierzch stosu. Te jego buty już gdzieś przepadły. A wóz odjechał wolno, z górą ciał trzęsącą się wysoko nad deskami.

* szajskomando – grupka wyznaczona do wynoszenia z bloku pojemników do WC.

NALOT

Jeszcze odrobinę wyżej podciągnąć nogi, prędzej bieć, jeszcze prędzej, sklep i witryna pełna chleba jest już blisko, już, już go dotykam... Ale co to? Coś wwierca się w czaszkę, chleb niknie, nie już nie widzę, nie ma, nie ma chleba...

Otworzyłem oczy. W bloku jest cicho, nie słychać zwykłych chrapań, popłakiwań i przeklinań torwaczy na zaspanych, błakających się po bloku malców, którzy poszli do kibla i nie mogą z powrotem trafić na swoje prycze. Ciemno. Nie ma nawet światła przy drzwiach bloku. Daleko, gdzieś od Oświęcimia, niesie się przez noc wycie syren. Groźne, faliste, nieprzerwane. Przez szpary między deskami nie wpada jak co noc blask lamp wiszących nisko nad drutami. Obóz utonął w mroku, przycisnął się, wstrzymał oddech i czeka. No nie, coś go przecież zdradza, nawet teraz. Czerwone słupy ognia nad kominami krematorium, to teraz jedyne światła w czerni nocy.

- Alarm? – szepnąłem na pół do siebie.

- Alarm! – odpowiedział cichy głos z sąsiedniej pryczy, ale dokoła syknęli gniewnie koledzy, oddycham więc cichutko i słucham.

Alarm... Jeszcze wcześniej, jeszcze nie słychać samolotów. Może w ogóle nie usłyszymy ich i przelecą gdzieś obok nas. Szkoda by było. Alarm... Nie wolno wychodzić z bloku, a tak by się z radością patrzyło teraz w niebo, szukając uparcie sunących maszyn i marzyło. Tak! Marzyło... O tym, jakby to było cudownie znaleźć się tam w górze, w jednym z tych samolotów, spojrzeć z wysoka na rzędy obozowych bloków, cisnąć w dół wraz z bombami

straszne przekleństwo i odlecieć. Ale nie wolno wychodzić z bloku, można tylko słuchać i marzyć.

Co to?! – drgnęliśmy na nowy, inny dźwięk syren.

- Są już blisko! Cicho!

Nie, jeszcze nic nie słysząc. Żeby tylko nie zawrócili, żeby przylecieli, żeby rzucili bomby wprost na nas! Na nasze bloki, na obóz. Ktoś by zginął? I tak wielu ginie, codziennie. Że może my przeżyjemy? Może... Obóz jest ciemny, lotnicy z góry zobaczą tylko kominy krematoriów, płonące jak drogowaskazy. Nie, jeszcze nic nie słysząc.

Nigdy nie można napatrzeć się na samoloty, na wojnę. Najpierw, jeszcze w domu, nie pozwalali dorośli, a teraz esesmani. Tylko w Powstanie... Trzeciego czy może czwartego sierpnia. Poszedłem z ojcem na strych. Było ciemno i gorąco, pachniało kurzem i spalenizną, w ciemnościach co krok zaczepiałem głową o gęsto wiszące sznury do wieszania bielizny.

„Chodź, popatrz” – powiedział ojciec stojący w otworze dachu.

Wspiąłem się po drabinie. Jak czerwono, jak widno, prawie jak w dzień!

„Patrz, tam płonie Wola – czarne ramię ojca przesunęło się na tle morza ognia. – A tam... tam już jest Śródmieście – wskazał drugą czerwoną, migoczącą plamę. – A Mokotów... Nic nie widać, ciemno. Co to znaczy? – szeptał ojciec. – Kto tam jest? Nasi czy Niemcy? No, schodzimy, tu niebezpiecznie, gołębiarze siedzą na dachach i czekają na takich, jak my...”

Gdy zamykam oczy, widzę jeszcze te pożary, słyszę trzaski dalekich strzałów, widzę olbrzymie na całe niebo łuny. A potem w dzień... słońce przesłaniane raz po raz kłębam dymu.

Słysząc! Naprawdę... Pomruk, jak drżenie ziemi. Lecą! Tu, tu jesteśmy! Słyszemy was, czekamy...I nie odlatujcie już! Zostańcie z nami, niech odejdą oni, esesmani, blokowi, a wy zostańcie.

Gdyby zostali... poszlibyśmy tam, gdzie czasem widać niebieskie góry. Kiedyś, gdy siedzieliśmy na placu apelowym, powiedziałem Jarkowi, że gdy przyjdzie wolność, pójdę do tych gór.

„Aleś ty głupi! – śmiał się Jarek. – Ja najpierw polecę do magazynu, zorganizuję coś do żarcia a potem poszukam kapo, tego Niemca z czarnym trójkątem, na pewno gdzieś go tu znajdę. Muszę mu oddać za lanie na piecu, kiedy złamał mi łaskę na dupie. Pamiętasz? Nie? Pewnie, nie ciebie lał, to nie pamiętasz. Ale ja pamiętam...”

Jarek jest mądry. Ma już piętnaście lat i w Powstaniu był na barykadzie. A ja... Mnie porucznik wygonił do domu, nim powiedziałem jedno słowo, że też chcę, jak inni. I jeszcze śmiał się ze mnie!

- Strzelają! Artyleria... To do nich. Coraz bliżej strzelają, dokoła! To znaczy, że oni są już nad nami. Pac, pac, pac... – coś stuka w dach bloku raz po raz.

- Jarek, co to?! – szarpnę go za ramię.

- Odłamki, głupi, cicho!

Warkot nad nami potężnieje. Prawie nie słysząc armat. Lecą. Ile ich musi być, dużo, strasznie dużo!

- Ale szkopy walą do naszych – szepcze Jarek, gdy na dach bloku gradem sypią się odłamki pocisków. – Znów dach będzie nam przeciekał.

- Może któryś wylądował w obozie... – marzę głośno. Jakby to było fajnie! Oni lądują, nad nimi krążą inni, esesmani rzucają rozpylacze, podnoszą ręce w górę...

- Akurat! Ładnie by wyglądali! – kpi Jarek. – Esesmani zaraz by ich rozwalili, i do pieca!

- Eee, nie daliby rady! – oburzam się.

- Co by im zrobili, w pięciu czy dziesięciu! Esesmanów jest moc, mają rozpylacze, kaemy, psy, samochody, armaty, wszystko...

- Ale dobrze by było, gdyby tak wylądowali – upieram się.

- Nie! Lepiej niech lecą dalej. Niech przyjdą po ziemi, na czołgach, wtedy będzie dobrze.

Będzie dobrze? Jarek pewnie ma rację, on starszy ode mnie, silniejszy, on mądry. Ale szkoda, że jutro będzie tak, jak wczoraj, jak zawsze. Pójdziemy pewnie z rolwągą. A zimno już, grudzień, za parę dni będą święta.

- Jarek! Co to?! Jarek! To bomby?! Jarek, prawda, że to bomby?! Powiedz...

Stęknęła ziemia, wstrząsnęła się raz, drugi, piąty. Usiadłem, zapominając, że strop bloku jest bardzo blisko, boleśnie uderzyłem czołem o deski.

- Pali się! Uciekać! Do drzwi! Otwórzcie! – krzyk i zamieszanie, biegające, zderzające się za sobą postacie widoczne w czerwonych błyskach wybuchów. I jeszcze świst, i jeszcze jeden wybuch, płatki wapna sypią się z bielonego stropu na nasze twarze.

- Cicho! Na prycze, szczeniaki! Cicho, gówniarze! – rozlega się wrzask przy drzwiach. To blokowy.

Cichniemy. Rzuca jeszcze? Słuchamy ryku silników nad naszymi głowami, czekamy na świst spadających bomb. Niech jeszcze rzuca! Może trafią w esesmańskie baraki, może w któregoś kapo albo w blokowego... Niech rzuca!

- Koniec – mówi Jarek.

- Co?! Gdzie... – pytam gorączkowo. Serce skacze mi do gardła, gdy czekam na to, co mi odpowie.

- Koniec nalotu.

- Nie! Nieprawda!

- Posłuchaj tylko. Odlatują. Już przelecieli nad nami. Armaty już mniej wałą. Zaraz zawyją syreny na odwołanie alarmu.

Nie! Odlecą i już? I zostaniemy w obozie? I nic się nie zmieni? Nie! Nie mogę już dłużej! Nie chcę! Chcę jeść, biegać, chodzić do szkoły, nie chcę nosić kibli i ciągnąć rolwagi! Powiem im to! Blokowemu, kapo, esesmanom! Albo nie, nie powiem, bo wtedy skopią, jeść nie dadzą. I umrę... I nie doczekam... A przecież starzy więźniowie z czwartego bloku mówią nam przy każdej okazji – Przeżyć, chłopaki, to teraz najważniejsze, przeżyć!

- Syreny! Jarek, słyszysz?! – szarpie go. – Jarek! To jeszcze nie koniec. Słyszysz?

- Mówiłem, że będzie odwołanie alarmu i jest. O, patrz! Włączyli światła na drutach, cholera, też mi nalot, nawet elektrowni nie rozbili! Śpijmy, jeszcze noc...

Śpijmy... Dobrze mu mówić. Oni za godzinę będą daleko. A my zostaliśmy. Tu. W obozie. Jutro komanda będą zasypywać leje po bombach i przeklinać dodatkową robotę, a kapo z jeszcze większą złością będą tuc więźniów kijami i poganiać, i wrzeszczeć, że za wolno pracują. I nic się nie zmieni, nic...

Śpijmy. To głupie, że czekałem na nagłą wolność teraz, przed chwilą. Śpijmy...

KOMANDO ROLLWAGEN

Coraz bardziej brak tchu. Biegniemy już kilkaset metrów. Do drewnianych podeszew raz po raz przyklejają się bryły śniegu, nogi wykręcają się wtedy niemożliwie i potykam się na ośnieżonej drodze. Gorąco. Pić! Przekładam drut do prawej ręki i schylam się w biegu, chwytam garść śniegu, podnoszę do ust chciwie...

- Śnieg będziesz żarł! Zwariowałeś? Chcesz się wykończyć? – Jurek trzepnął mnie po dłoni. – Nie wolno!

-Pić... Nie mogę już... – dyszę.

- Tylko do zakrętu, wytrzymaj! Musisz!

- Cwaniak! – kopie mnie boleśnie w nogę biegnący za mną chłopak. – Prędeż! Wlec cię może będziemy?

Podrywam się znowu do biegu. Czerwone i czarne płatki wirują mi przed oczami. Już nie mogę... Naprawdę nie mogę... Zakręt drogi jeszcze tak daleko, a trzeba biec, cały czas biec, nie wolno inaczej.

- Gdzie blokowy? Biegnie za nami?

- Zatrzymał się przy bramie. Jeszcze go nie widać.

- Zwolnijmy. Ten smarkacz ledwie zipie.

- Dobryś! Blokowy zobaczy z daleka, że zwalniamy i będzie bił.

- Zwolnijmy, wszystkich nie zbije.

I już drepczemy, niby biegniemy, ale ledwie posuwamy się naprzód. Nikt nie ma sił. Ten wóz powinny ciągnąć silne konie, a nie my, dwudziestu dwunasto i czternastoletnich chłopców. Ale to my jesteśmy końmi, my ciągniemy wielki i ciężki taborowy wóz. Dokoła niego przyczepione są uchwyty-druty, dla każdego z nas po jednym. Wozimy rolwąga rzeczy najróżniejsze – garnki, toboły szmat, buty, stołki, kołdry, a kiedyś, na drugi dzień po długim apelu na deszczu i zimnie, gdy komando od trupów nie mogło nadażyć, wieźliśmy nawet trupy. Lekko wtedy było, bo ile może ważyć taki muzułmanin!

Od siódmej rano do czwartej po południu cztery albo pięć razy przemierzamy tam i z powrotem drogę między obozem męskim a opustoszałym już obozem kobiecym. Pracują tam tylko jeńcy rosyjscy – rozbierają bloki, ładują na nasz wóz trofea przeznaczone na wysłanie do Niemiec. Ale czasem... Czasem nasza rolwaga jedzie do obozu „cygańskiego”. Dawno już nie ma tam żadnego Cygana. Ale teraz są tam nasze matki. I wszyscy mamy nadzieję, że i dziś tam pojedziemy.

Mama... Nie widziałem jej tyle tygodni! Czasem z daleka można pomachać ręką gdy zobaczy się za drutami drogą postać. Jakże inną, niż była kiedyś, dawniej... Ostrzyżona, wynędzniała, brudna, wylękniona. Jak ja. Stoimy naprzeciw siebie, oddzieleni drutami, i uśmiechamy się. Przez chwilę tylko, przez chwilę.

Może i dziś tam pojedziemy? Rzadko chodzę z rolwągą. Jestem za słaby i chłopaki nie chcą mnie brać. Dziś uprosiłem ich, tych najstarszych. Słuchali niechętnie ale wreszcie powiedzieli: „Niech będzie, pójdziesz, ale wiesz, że to ciężko. Pamiętaj...” I teraz w czasie długich biegów między obozami kopią mnie nienawistnie po nogach, przeklinają ze zdyszaną wściekłością, że nie ciągnę, jak oni, że zostaję w tyle. A ja chcę do mamy... Choć raz!

-Blokowy biegnie! – woła któryś z tych, którzy popychają wóz z tyłu i ten okrzyk zmusza nas do szybszego dreptania. Przeklęty śnieg... Przeklęte drewniaki... Mamo! Żeby już prędeż była ta brama, nie mogę już, naprawdę nie mogę, uuu!

- Prędeż, smrodzie! – znów bolesne kopnięcie w łydkę.

- Jak on się wkręcił między nas, taki pajak!

- Niech mi się jeszcze raz nawinie pod nogę, to jak przywałę! – dyszy wściekle ten biegnący za mną.

Nie odzywam się, nie odgryzam, choć przecież tak trzeba! Pić... Płacę cicho, łzy ściekają mi po twarzy razem z potem.

- Eee! Smyki! Nie lećta tak! – dobiega z dali głos blokowego. Wóz zwalnia tak nagle, że upadam, ale zrywam się natychmiast, chwytam drut, ciągnę, ile sił.

- Stary coś dziś za dobry... – szepczą za mną chłopcy.

- „Za dobry”... Bo nie każe biec, nie każe w biegu śpiewać o tym, jak to „Pani wielmożna, czy tutaj można zrobić se rumpaj pumpaj?” Podnoszę głowę, rozglądam się. Minęliśmy Bramę Śmierci, przez którą wjeżdżają do obozu wszystkie transporty, i już zaraz będziemy w obozie kobiecym. Odpocznijmy może...Może będzie wolno usiąść, może gdzieś blisko będzie

woda, śmierdząca, z ceglastym osadem, wstrętna obozowa woda, której nie wolno pić. Ale jak nie nic innego do picia...

- Langsam, meine Junge, langsam! – blokowy wybiega przed rolwagę, staje na baczność przed esesmanem przy bramie, zrywa myckę z głowy. Liczą nas. Dwudziestu.

- Richtig! Ab! – Niemiec macha dłonią. Przechodzimy przez bramę, wóz toczy się wolno w stronę długich niskich bloków.

- Są! Są nasze matki! – wykrzykuje ktoś od dyszla wozu.

Zrywamy się do biegu. Prędeż, jeszcze prędeż... Nogi są jak z waty, brak tchu, ale prędeż, prędeż!

Nareszcie! Puszczam drut i wraz z kolegami stajemy naprzeciw grupy kobiet. Szukamy się przez chwile wzrokiem. Już pierwszy z nas rzuca się naprzód, za nim drugi, dziesiąty. Tam mało czasu! Wciąż nie widzę mojej mamy. Gdzie jest?! Nie ma jej? Nie, to niemożliwe! Nie ma... Może, może w ogóle jej nie ma?! Żeby się tylko nie rozbeczeć, żeby tylko nie teraz! Schylam się po garść śniegu.

- Ty! Znowu żresz śnieg?! Mówiłem ci już że nie wolno – wysoki chłopak wytrąca mi śnieg z dłoni. To ten, który biegnie przy wozie za mną, który mnie kopał.

- Bo co?! – zamierzam się, wściekły, ale chwyta mnie za rękę, wykręca w tył.

- Spokój, szczyłu! Chłopaki – woła do kolegów. – Dajcie najpierw jemu... – i ciągnie mnie do kotła z parującymi ziółkami, „obozową herbatą”.

Przepuszczają mnie. Ciepło... ciepło w palce trzymające garnek, ciepło w burczącym pustym brzuchu. Ale smutno. Nie ma mamy. Już wiem od jakiejś kobiety, że została w bloku. Nie ma mamy. Tyle męki na nic. Nie mam siły. Mama... Może jutro tu przyjdzie?

- Ty, słuchaj! – szarpnię za rękaw najstarszego chłopaka z komanda. – Słuchaj...

- Czego?! – odwraca się ze złością.

- Weźmiecie mnie jutro! Prawda? Weźmiecie...

Patrzy na mnie niechętnie, surowo. – Za słaby jesteś – mówi. – Rolwaga nie dla dzieci.

- Ale weźmiecie!

- No, tylko mi tu nie bez!

- Ale ja muszę! Do mamy...

- Do mamy!... – przedrzeźnia. – No dobrze, zobaczymy.

- Do wozu, chłopaki, do wozu! – zagania nas blokowy. – Jedziemy!

Chwytam za swój drut. Ruszamy. Do naszego obozu jest daleko i coraz trudniej iść po głębokim, mokrym śniegu.

GLUPIA NEL

Miałem szczęście. Znowu udało mi się iść z rolwagą. Zaraz z rana poszliśmy na „cygański” obóz. Jeszcze z Warszawy znajome dziewczyny zorganizowały duży baniak zupy, więc i nam dostało się po misce.

Dmuchałem w gorącą zupę, siorbałem ją wolno, bez łyżki i patrzyłem na ceremoniał podziału porcji. Sprawa była dziś trudna – w dwóch obtłuczonych miskach pływały malutkie kawałki mięsa.

- Komu to? – Kryśka wskazała palcem na miskę. Tu nie mogło być mowy o żadnej znowie. Wianuszek dziewczyn otaczał ciasno ustawione na kocu miski z zupą, a jedna z nich odwrócona tyłem do misek, wymieniała imiona mieszkanek pryczy.

- Głupiej Nel!

- Bierz... – Kryśka podniosła głowę, spojrzała po twarzach koleżanek. – Gdzie Nel?
- Nie ma jej...
- Pewnie siedzi pod ścianą, jak zawsze. Zupa jej ostygnie.
- Trudno. Mogła być na czas. Zostawcie jej miskę. Komu ta?
- Hance...

Dziewczyna sięgnęła szybkim ruchem, zacisnęła palce na brzegu poobijanego garnka. Podział był zakończony, teraz zostało najważniejsze – jedzenie. Uroczystość największa, najpiękniejsza chwila dnia. Tak długo się na nią czeka... W brzuchu burczy, przed oczami migają czarne i czerwone płatki, słońce pali lub deszcz leje – wszystko nieważne, gdy przychodzi chwila jedzenia.

Ale żeby nie przyjść po zupę? Widać ona naprawdę jest głupia! Widziałem ją, gdy wchodziliśmy do bloku dziewcząt. Siedziała na ziemi, oparta o ścianę, obojętna na wszystko. Podobno dostała już parę razy baty za tę obojętność.

- Kryśka – spytałem. Dlaczego ona jest taka inna? Nie wiesz?

- Wiem. To znaczy, chyba wiem. Kiedyś była taka, jak my wszystkie. Nawet może lepsza od wielu. Czasem ładnie śpiewała. Ale jakieś dwa miesiące po przyjeździe do obozu... Jeszcze was nie wołają, masz czas, chcesz, to opowiem ci o niej.

- To było jakoś tak na początku jesieni, chyba we wrześniu. Zmywałyśmy podłogę w przejściu między pryzkami. Nel i ja. Wiesz jako to jest w bloku, ścierek nie ma, wodę z podłogi zbiera się papierowymi workami. Jeśli jest mokro, to blokowa zadowolona, że dobrze i czysto. A gdy tylko podłoga wyschnie, to zaraz wrzeszczy, że bałagan, że to chlew a nie blok. Doszliśmy z tym myciem do końca podłogi, gdy usłyszałyśmy chichoty i piski z pokoiku blokowej. Spojrzałyśmy po sobie – uwaga! Bo trzeba ci wiedzieć, że była u nas wtedy w bloku taka jedna czarna mała, sztubowa, i gdy się pracowało, to ona podchodziła cicho jak kot i jak przeciągnęła batem, to mało która z nas wstawała sama. Do krwi biła, mała jedna!

- Po głowie? – spytałem.

- Gdzie popadło – odparła Kryśka. – Biła i już. I gdy tak wycierałyśmy ten beton, to co rusz oglądałyśmy się, czy ta czarna nie czai się na nas, i nastawiałyśmy uszu, o czym też tam one mówią, w tym pokoiku blokowej. O jedzeniu, o butach i kieckach, o chłopach... i wreszcie usłyszałyśmy, jak szrajberka powiedziała: „W nocy zabrali w transport cały osiemnasty blok.”

„W transport! – parsknęła drwiąco blokowa. – Co to za transport, tylko do lasu, na stosy.”

„Najpierw do gazu chyba?” – spytała ta czarna.

„Normalnie”. – przytaknęła obojętnie blokowa.

„Cały blok... tam też było dużo dzieci!” – niewyraźnie powiedziała szrajberka.

- Ale blokowa wyśmiała ją, że przecież jak oni biorą do gazu to wszystkich, i przypomniała szrajberce, żeby jutro rano wzięła dziesięć najstarszych dziewczyn i poszła posprzątać ten osiemnasty blok.

- Spojrzałam wtedy na Nel i szturchnęłam ją łokciem. „Chodźmy!” – powiedziałam. Na osiemnastkę! Teraz. Nikogo tam nie ma, można znaleźć mnóstwo rzeczy! Buty, miskę, koszulę, grzebień, skarby! Ale Nel bała się. Bo wiesz, ona była taka cicha, grzeczna, gdzie jej do nas było, ale lubiłam ją.

- Teraz już nie? – spytałem.

- Teraz... – Kryśka zamyśliła się na chwile. – Teraz jest inaczej. A wtedy zwymyślałam ją, że tchórzy, że jeśli nie pójdzie ze mną, to ja pójdę sama! A sam wiesz, jak gdzieś się idzie, to zawsze we dwie lepiej...

- Pewnie – przytaknąłem. Wiadomo, jeden organizuje, drugi patrzy, słucha...

- No to zgodziła się. Wymknęłyśmy się z bloku i pobiegłyśmy pod osiemnastkę. O, to tamten blok...

- Blisko...

- Blisko, ale zawsze można wpaść na aufzejerkę i będzie lanie. Słuchamy chwilę. Zupełnie cicho. Drzwi na głucho zamknięte. Nel to się zaraz ucieszyła, że nie wejdziemy i można wracać na nasz blok, ale mnie nie tak łatwo wykiwać. Obeszliśmy blok dokoła. Wiesz, w końcu każdego bloku jest okno. W osiemnastce też było i nawet brakowało w nim jednej szyby. Skaleczyłam się w rękę, zadrapałam kolano, ale weszliśmy do wnętrza bloku. Przyznam ci się, że gdy stanęłam obok pieca, gdy spojrzałam na tę pustkę, to strach mnie obleciał. Widziałeś kiedy taki pusty blok po wygnaniu wszystkich w transport? – spytała.

- Nie – przyznałam.

- A ja widziałam! Wiesz, blok bez ludzi, to niesamowite! Zawsze przecież jest ich pełno, chodzą wzdłuż pieca, kłócą się, modlą, płaczą, biją się, śpiewają... A tu nagle tak pusto, tak cicho, że aż strach! Skrzypią niedomknięte drzwi od szrajbsztuby, jakieś szmaty i koce zwisają z prycz. Nel chwyciła mnie za rękę, spojrzałam na nią, uśmiechnęłam się z jej przestachu, bo wiesz, ona zobaczyła szczura, który siedział na piecu, patrzył na nas przez chwilę a potem obrócił się i wolno podreptał w drugi koniec bloku.

- Szeptem naradzałyśmy się, że zaraz za chwilę gdy posłuchamy że naprawdę w bloku nikogo nie ma, to poszukamy, co by tu zabrać. Wspięłam się na najwyższą prycze, znalazłam grzebień, prawdziwy, o patrz, mam go jeszcze.

- Po co ci?! – wzruszyłam ramionami. – Grzebień...

- Ciebie strzygą na pałę, to tobie niepotrzebny, ale ja... – dotknęła krótkich, niesfornych włosów. – Myszkowałam dalej po pryczach, znalazłam nawet kawałek książeczki do nabożeństwa, potem zupełnie dobrą koszulę, w końcu zerknęłam za siebie. Nel stała przy piecu i nasłuchiwała.

„Kryśka, tam coś piszczy...” – szepnęła wskazując w róg bloku.

„To szczury, głupia!” – fuknęłam ze złością, bo stoi taka, nie szuka, a potem pewnie zechce, żeby się z nią podzielić!

„Nie, to nie szczury, pójdę, zobaczę” – upierała się.

„To sobie idź!” – odparłam i dalej grzebałam w szmatach.

- I wiesz, po chwili Nel, wcale już nie szeptem, powiedziała, żebym przysłała do niej, ale szybko, szybko! Strasznie byłam ciekawa, poleciałam, patrzę, a tam w rogu pryczy, przy ścianie, pod gałganami, jest schowane dziecko! Żywe dziecko! Chłopczyk. Miał ze dwa lata chyba. Może mniej. Schyliłyśmy się nad nim, a on wykrzywił buzię do płaczu i zaczął naciągać na siebie gałgany, chować się. Wtedy Nel zaczęła do niego mówić, tak ładnie, tak dziwnie, jak... no, jak matka, wiesz jak?

- Pewnie – burknęłam.

- A on uśmiechnął się i wyciągnął do niej rączki. Nel z miejsca chwyciła go, przytuliła do siebie. A ja klęczałam obok nich i myślałam – co robić?! Zostawić go? Nie można było! Albo umrze, albo go znajdą i zabiją! A zabrać? Też nie można, sam wiesz. Ale Nel uparła się – zabierzemy go na nasz blok!

- I zabrałyście?

- Zabrałyśmy. Chował się u nas chyba z miesiąc. Nie schodził nigdy z pryczy, siadałyśmy ciasno obok siebie, a wtedy on bawił się za naszymi plecami. Gdy szłyśmy na apel, zaściewałyśmy go w prycze i Staś – bo nazwałyśmy go Stasiem – leżał cichutko, póki nie wróciłyśmy. A wiesz, jak to jest, czasem apel trwa pół godziny, a czasem cztery, pięć...

- Wiem – skinęłam głową. Dawały się nam te apele we znaki, oj dawały...

- I kiedyś, już ze dwa tygodnie temu, nikt nie wie dlaczego, stałyśmy na apelu, blokowa składała właśnie meldunek Blockfuhrerowi, gdy nagle esesman wytrzeszczył szkliste oczy na drzwi bloku. Blokowa zająknęła się, spojrzała, za nią odwróciłyśmy się wszystkie. W drzwiach stał nasz Staś i bawił się wielką drewnianą zasuwą!

„A to kto?!” – Niemiec spojrział pytająco na blokową. A ta bezradnie rozłożyła ręce nie mogąc wykrztusić słowa.

„Kto?!” – powtórzył Niemiec ostro.

„Nie wiem...moje wszystkie stoją na placu” – wyjąkała blokowa.

„A ten...?” – esesman wskazał na Stasia.

„To nie mój... to jakiś obcy... nie wiem...”

- I wtedy Nel rozepchnęła nas i wyskoczyła przed szeregi. – „To mój!”

- Zamarłyśmy. A ona przebiegła kilka kroków w stronę esesmana, zatrzymała się, cofnęła o krok. Stała przed nami, przed całym blokiem, sama, rozumiesz, sama naprzeciw Blockfuhrera. Nie wiem, ale może gdybyśmy wtedy wszystkie wystąpiły... – Kryśka przerwała, zamyśliła się.

- No, co dalej, mów! – powiedziałem.

Esesman podszedł do niej blisko. Myślałyśmy, że zaraz zacznie ją bić, ale nie, stanął przed nią i bez słowa patrzył na Nel długą chwilę.

„To twoje dziecko?” – spytał i roześmiał się, bo jak Nel mogła być matką Stasia!

„Nie...” – Nel pokręciła głową.

„Ty Jude? Żydówka?” – pytał dalej Niemiec.

„Nie! Ja Polka!” – odpowiedziała Nel już trochę głośniej.

„I co?! Żyda chowasz! Wiesz, że to Żyd?!” – esesman cedził słowa przez zęby.

„Wiem...” – skuliła się, opuściła głowę, czekała na cios laską.

Esesman stał przed nią, poruszał lekko laską, patrzył na nią i milczał. Powoli podniósł rękę i puknął zgiętym palcem w czoło Nel. Odwrócił się, podszedł do Stasia. Żadna z nas nie oddychała. Staś patrzył na Blockfuhrera uśmiechnięty, wyciągnął do niego rączki. „Papa! Papa!” – zapiszczał.

Esesman schylił się, chwycił Stasia za nóżkę, zamachnął się, stuknęło głucho. Spojrział, nie trzeba było uderzać po raz drugi, puścił drgające nóżki. Na ścianie bloku została ciemna plama.

Kryśka umilkła, otarła nos palcami.

- Wiesz – powiedziała cicho po chwili – ta plama jest tam jeszcze. Przy niej właśnie siedzi Nel. Gdy deski są suche, widać tę plamę zupełnie dobrze.

OBOZOWA SZOPKA

W pierwszych dniach grudnia na obóz spadł śnieg. Przez parę dni sypał taki jesienny, zamieniający się zaraz w błoto, ale potem chwycił mróz i obozowe drogi pokryła twarda lodowa skorupa. Nasza rolwaga toczyła się teraz lekko po zlodowaciałej drodze między obozem męskim a FKL-em. Często tam teraz jeździliśmy. O puste baraki obijały się tam głosy radzieckich jeńców, więźniów jak my, którzy demontowali wszystko, co Niemcy chcieli wywieźć do siebie.

Puste baraki obozu kobiecego. Ile razy widziałem z daleka te niskie bloki, zawsze marzyłem, aby znaleźć się tam. I oto jestem. Ale nie cieszę się. Idziemy wolno, uczepleni drutami do rolwagi. Patrzymy dokoła smutno, bez radości. Za późno tu przyszliśmy. FKL jest pusty. Nie ma już w nim naszych matek. Są one teraz daleko od nas. Jeśli są. Bo niektórych już nie ma. W ogóle nie ma. Odleciały, rozwiały się.

- Wiecie – powiedział któryś z chłopaków ciągnących za dyszel wozu. – Za parę dni święta...

Boże Narodzenie. Jeden z najpiękniejszych dni roku. Pamiętam... Zaaferowani rodzice. Gorączkowa krzątanina. Przygotowywanie smakołyków. Zapach choinki. No i stół. Na nim białe, lśniący obrus. Wszyscy stoją dokoła. Składają sobie życzenia. Zapalają świece na choince. Wyjmują spod jej gałązek tajemnicze paczki. Śpiewają kolędy. Ostatnio, w latach wojny, nie było w święta tak wesoło. Zawsze kogoś brakowało przy świątecznym stole. Zawsze ktoś płakał.

Teraz będzie zupełnie inaczej. Nie będzie choinki i świeczek. Nie będzie prezentów i życzeń. Nie ma rodziców i domu.

Pewnie nie tylko ja pomyślałem o świętach, bo rozmowy i przekomarzenia urwały się i w milczeniu ciągnęliśmy nasz wóz długą drogą między obozami.

Tego dnia późno wróciliśmy do naszego dwudziestego bloku. Było już ciemno, szybko stanęliśmy na placu apelowym, esesman policzył nas, stan się zgadzał i można było wejść do bloku. Gdy szedłem do mojej sztuby, ujrzałem w dłoniach jednego z kolegów tekturowe pudełko po margarynie.

- Daj mi je – poprosiłem.

- A po co ci? A co mi dasz? – schował pudełko za plecy.

- Daj. Coś z niego zrobię.

- A co? Powiedz, bo nie dam!

- Zrobię szopkę – powiedziałem nieśmiało. I zaraz zawstydzilem się, i ogarnęła mnie złość, że on zaraz zacznie się śmiać i wykrzykiwać o mnie różne głupstwa. Ale nie, nie śmiał się. Spojrzał tylko na mnie uważnie, nieufnie. - Albo byś umiał...

- W domu robiłem, to i tu zrobię. Daj...

Wdrapałem się na pryczę i obracałem pudło w dłoniach. Jak będę rysował i wycinał. Łatwo było powiedzieć: zrobię szopkę. Ale z czego? W domu po prostu kupowałem arkusz z wydrukowanymi kolorowymi ścianami szopki, z kolorowymi postaciami, wycinałem wszystko, montowałem i gotowe. Ile było przy tym radości. Ale tu, w obozie... Nie mam nożyczek i kleju. Nie mam farb. Mam tylko bure tekturowe pudło i ogryzek kopiowego ołówka.

Narysowałem kreskę na tekturze. Ledwie ją znać! Nie, chyba nic z tego nie wyjdzie...

- No, dlaczego nie rysujesz? – pyta chłopak czekając, co zrobię z jego pudłem..

- Nie mam kredek. Nie mam porządnego ołówka, tylko ten ogryzek. Nie mam nożyc. A jak potem połączyć to wszystko?

Chłopak zeskoczył z pryczy i ani się obejrzałem, jak w całym bloku głośno się zrobiło o szopce. Jeden przyniósł prawdziwy skarb – zorganizowane gdzieś nożyczki. Inny dał kredkę. Jeszcze inny strzep kolorowej bibułki i trochę farby w proszku. Każdy zniósł co miał, co trzymał ukryte pod deskami pryczy, byle tylko na święta była szopka. A jeden z najstarszych chłopaków nic nie przyniósł, ale pogroził mi pięścią przed nosem: „Spróbuj tylko nie zrobić tej szopki!”

I zaraz posypały się rady, jaka ta szopka ma być. Że najlepiej jak będzie z wieżami, jak te, które robią w Krakowie. Albo nie, bez wież, ale koniecznie z gwiazdą na dachu. Że dach można zrobić ze słomy. Że co tam gwiazda. na dachu powinien być orzeł, bo to przecież będzie nasza, polska szopka.

Krzyk się przy tym zrobił ogromny i pewnie zaczęłyby się bijatyki, gdyby nie jeden ze starszych, który przekrzykując całą ferajnę powiedział, że nieważne jaka będzie ta szopka, byleby tylko była. I żeby w ogóle wiadomo było, że to szopka.

Długo nie mogłem usnąć. Przed oczami przesuwają mi się wizje cudnych, strojnych szopek, bajecznie kolorowych, bogatych i żywych. Rano chwyciłem ołówek i zacząłem szkicować na tekturze frontową, najważniejszą ścianę szopki. Więc wrota wielkie i otwarte, na pół zburzony róg budowli (to mi wyszło najlepiej, przecież na gruzy napatrzyłem się w Powstaniu do woli), małe okienka obok drzwi. Nad obórką wystrzela w górę palma z długimi

rozcapierzonymi liśćmi. Boczne ściany i tylna, mająca być tłem dla postaci, które będą stały wewnątrz szopki, to już był drobiazg. Wyciąłem ściany i zeszyłem je grubą nitką. Potem pokolorowałem każdy segment pnia i liście palmy. Spojrzałem na zeszytą budkę krytycznie. Smutnie to wyglądało. Brudno. Szaro.

Pomaluję! – pomyślałem.

Farby, które przyniósł mi kolega były zwykłymi farbami do malowania ścian. Rozlewały się, mokra tektura puchła, rozłaziła się. Jeszcze jedna próba. Jeszcze jedna. Poprawkom nie było końca.

- Komando Rollwagen! Wychodzić przed blok! – rozległy się okrzyki.

Odłożyłem szopkę w kąt pryczy, przykryłem strzępem koca. Pobiegiem do wyjścia.

- Ty dokąd? – zatrzymał mnie sztubowy.

- Do rolwagi.

- A szopka?

- Została na pryczy.

- Wracaj – zdecydował. – I rób szopkę.

Wróciłem na pryczę. Z żalem patrzyłem za wychodzącymi, bo już lepiej ciągnąć wóz, niż mozolić się nad tą szopką. Wyciągnąłem ją z kąta. Pochyliłem się znowu nad farbami i malowałem, wycierałem, kłąłem i płakałem na przemian, zmagając się z szorstką tekturą.

I wreszcie pozostało mi do zrobienia to, czego obawiałem się najbardziej. Postacie ludzkie. Sklecić budkę było łatwo, pomalować ją znacznie trudniej, ale ożywić postaciami... Święta rodzina, królowie, pasterze i bydełko, razem kilkanaście postaci. Wyjąłem spod siennika pasek tektury, narysowałem pierwszą twarz. Nie, niepodobna do człowieka. Narysowałem drugą, też nie lepsza. Trzecią... Nie! – cisnąłem ołówek na koc. – Nie umiem! Zupełnie nie umiem! – Siedziałem zrozpaczony, póki nie zapędzili mnie do mycia podłogi w bloku. I tak przeszedł dzień aż do apelu.

Wieczorem, gdy skończył się apel, moje komando przyszło do mnie w komplecie. - No, pokaż, co zrobiłeś...

- Nic. Skończyłem tylko szopkę.

- Ty! Chcesz w nos?! A gdzie Jezusek? Gdzie królowie, pasterze?

- Nie umiem ich narysować. Naprawdę nie umiem. Może któryś z was...

- Cholera... – stali dokoła, obracali w rękach tekturę, ale żaden nie kwapił się do ołówka, który im podtykałem. Zmarkotnieli. I co, ma nie być szopki?

- Czekajcie! Jest tu jeden, który umie rysować! Widzieliście te gęby na ścianach umywalni?!

Odnaleźli go po chwili, przyprowadzili, wetknęli w rękę ołówek.

- Rysuj! Tylko porządnie! Bez wygłupów.

- Ale co rysować?

- No, Jezuska, Matkę Boską, świętego Józefa, królów, wszystko!

- Ludzi, znaczy... No, może być – zgodził się łaskawie.

Patrzyłem uradowany, jak na szorstkiej tekturze powstaje maleńka twarz brodatego mężczyzny, potem kobiety z długimi włosami, brodacza w koronie, drugiego brodacza, trzeciego, jeszcze dwie twarze, wreszcie maleńki nagusek.

- No to cześć. Koniec! – chłopak rzucił ołówek na koc i zeskoczył z pryczy. – Idę.

- A reszta? – zawołałem zdumiony.

- Jaka reszta?

- Narysowałeś tylko twarze. A reszta?

- Nie umiem rysować całych ludzi. Tylko gęby.

- Spróbuj...- prosiłem.

- Mogę gołych. Napatrzyłem się łaźni. Ale takich ubranych... a daj mi spokój!

Szopka z golasami? Nie... On poszedł, a ja mozoliłem się nad rysowaniem pofałdowanych szat. Potem rysowałem stwory na czterech nogach, mających przedstawiać owce i osła. Marnie to wyszło, ale nie miałem już tektury, żeby próbować jeszcze raz. Pomalowałem więc, jak umiałem najlepiej, srogie twarze i ubrania. Wszyłem niebieską bibułkę w otwory okien. Potem przymocowałem nitką postacię w szopce. Potem przyszło paru chłopaków, aby obejrzeć to, co zrobiłem. Oglądali szopkę ze wszystkich stron, przyglądali się postaciom, ale żaden nic nie powiedział. Poszli sobie a ja się trochę uspokoilem.

Wigilia. W bloku było cicho, jak nigdy. Siedzieliśmy na pryczach, czekając na cud, na rodzinne święta. I cud się zdarzył! Weszła gromada więźniów z czwartego bloku. Naszych dorosłych opiekunów.

W bloku zawrzało. Nasi goście przynieśli nam najwspanialszy prezent – beczkę zupy zorganizowanej w esesmańskiej kuchni! I... patrzyliśmy jak zaczarowani. Przynieśli choinkę! Prawdziwą, taką prosto z lasu. Postawili ją na piecu, pośrodku bloku. U stóp choinki stanęła moja szopka. Zawstydzilem się, że taka jest szara i niezdarna, ale gdy jeden z chłopców ustawił z tyłu za okienkami dwa wąskie paski masy celulooidowej i światło błysnęło za kolorową bibułką, pomyślałem, że moja szopka jest prawie taka, jak ze sklepu na wolności. Że jest najładniejsza na świecie!

Gdy w beczce z zupą ukazało się dno, przyszedł czas na piosenki. Śpiewali je nasi opiekunowie, śpiewaliśmy i my. Najpierw kolędy, potem najpopularniejsze u nas „Serce w plecaku”, a wreszcie naszą obozową piosenkę, napisaną przez kogoś specjalnie dla tych z „czwórki”. Śpiewaliśmy te piosenkę zawsze, gdy nasi opiekunowie przychodzili do nas w odwiedziny.

*Na bloku dwudziestym
co jest jakby festnym
blokowy jest fajny
dla naszej ferajny!
a szrajber nosaty
gdzieniegdzie włochaty
nie gorszy od niego jest, ach nie!
Ten blok, ten blok, ten blok
jadła w bród, picia lut.
I miejsce kaźni jest.
To piec, co stoi fest, na fest!*

Z jadłem i piciem tylko w piosence było tak cudownie, ale wtedy tak często chciało się chociaż mówić o jedzeniu... Szrajber też miał czasem ciężką rękę i przyłał zupełnie bez powodu. Prawdziwy był tylko piec, który dzielił blok wzdłuż, stał rzeczywiście „fest” i na nim się brało mniej lub bardziej zasłużone cięgi.

Toczyła się piosenka. Naiwna. Irytująca może. Ale szczerza. Śpiewana tylko dla nich, tych z czwartego bloku.

*Ten blok, ten czwarty blok!
Ich, niby kit, łączy Schmidt
Żeby kochali nas
a my nawzajem was, ach, was!*

Późno wymknęli się z bloku nasi opiekunowie. Czekaliśmy w milczeniu, czy wigilijnej nocy nie zakłóca strzały strażników. Ale było cicho, spokojnie, świętecznie.

Zostaliśmy sami. Zgasło światło. Wolno milkły ciche rozmowy na pryczach. Leżąc spoglądałem raz po raz na piec, gdzie jeszcze błyskały płomyki za okienkami mojej obozowej szopki.

EWAKUACJA

Blokowy stał rozkraczony na piecu i z wyraźną niecierpliwością trącał laską o cholewę buta. Pod stropem bloku snuła się cicho, jak każdego wieczora, śpiewana pieśń „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Gdy tylko zamilkliśmy, blokowy wrzasnął „Spać, szczeniaki!”, zeskoczył z pieca i zaraz blok zatonął w mroku. Tylko przy wejściu żółcił się krąg światła i tam rozsiadła się torwacha z kijem w garści. Ale kto by teraz próbował wyjść...daleko, daleko mruczały armaty nadchodzącego frontu a blisko, tuż za ścianą, co kilkanaście minut trzaskały wystrzały. Wyjść z bloku... to pewna śmierć. Po obozie chodzą patrole esesmanów i nikomu nie przepuszczą.

Tu i tam na pryczach jeszcze rozlegały się szepty, ale było coraz ciszej i w niedługim czasie blok zaległa cisza. Józek leżał nieruchomo, bo jak się zresztą ruszyć w ścisku śpiących chłopaków i patrzył w szarzejący strop. Brzęknęły szyby przy serii głośniejszych wybuchów. Daleko jeszcze są – myślał. Dziś na pewno nie przyjdą.

Trzasnęły drzwi! Ktoś stuka głośno butami po betonie podłogi. Szybko recytowany meldunek blokowego przerwany ostrym rozkazem. Józek wychylił się z pryczy, by spojrzeć w stronę drzwi. Stoją... ale esesman powiedział jeszcze kilka słów do blokowego i wybiegł z bloku. I zaraz błysnęło światło i wrzask uderzył w uszy: - Wstawać! Szybko! Wstawać!

- Co...gdzie...po co...ledwie usnęliśmy... – rozlegają się rozespiane głosy gdy w przejściu tupoczą butami sztubowi biegnący do blokowego.

- Szykować się do wyjścia! – krzyknął szrajber od drzwi bloku.

- Panie sztubowy, gdzie? – pyta jeszcze z sąsiedniej pryczy Wicek, gdy tylko sztubowy wrócił od blokowego.

- Nie gadać! Ewakuacja! – odpowiedział. – Brać tylko to, co uniesiecie.

- Jakby było co zabierać – prychnął Wicek. – Kapotę na plecy, garnek i gotowe...

- Ale teraz, w nocy?! – rozlega się kilka głosów z różnych prycz.

- Cicho, do cholery! Ewakuacja, to ewakuacja! Ruszać się, chłopaki. Bo jeszcze który oberwie...

A na piec znów wskoczył blokowy: - Wychodzić! Szybko! Ustawiać się w kolumnę! – woła raz po raz.

- A chorzy? – pyta ktoś a blokowy spogląda drwiąco.

- Chorzy...blockfuhrerzy ich raz dwa wyleczą. Chorzy... – zastanawia się chwilę. – Zebrać się w jednej sztubie i zobaczy się co z nimi.

- Co robimy? – Józek spojrzał na Marka, który już zeskoczył z pryczy.

- Ja zgłaszam się jako chory – odpowiada Marek.

- Nie wiem... – Józek patrzy na kolegę. – A jak was rozwałą?

- A jak padniesz w czasie marszu? Tu się jakoś zadekuję, tu wszystko znam.

- Ja chyba pójdę...

- Wychodzić! Szybko! – popędza chłopaków blokowy i sztubowi. Tłum wychodzących kłębi się przy wyjściu.

- Idę! – decyduje się Józek. – Może znajdę mamę. Bo pewnie wszystkich wyganiają.

- Pewnie tak. No...cześć! Do zobaczenia w domu – odpowiada Marek.

Na placu przy bloku formowała się kolumna. Wir śniegowych płatków siekł po oczach, zatykał usta. Ziąb z miejsca przenikał do ciała przez wytarte łachy. Wśród pokrzykiwań sztubowych ruszyli w stronę bramy. Na drodze, za drutami, widać czarne szeregi maszerujących już więźniów.

Blokowy odszukał w kolumnie Wojtka, najstarszego w gromadzie chłopaków.

- Bierz swoje komando i lećcie po rolwagę.

- Panie blokowy, teraz? Po nocy... – przeraził się Wojtek.
- A laską chcesz? Szybko!
- Ale po co rolwaga? – jeszcze nie ustępował Wojtek.
- Jazda! I dołącz na końcu kolumny.

Wojtek świsnął przeraźliwie na palcach z po chwili obstała go gromada chłopaków, która często ciągnęła taborowy wóz po obozowych sektorach. Ruszyli w stronę kuchni, gdzie zwykle stał wóz. Chwycili za dyszel, za druty poprzyczepiane do burt wozu. Pociągnęli wóz. Koła ani drgnęły, zakopane w głębokim śniegu. Nogi ślizgały się po lodzie, ale po chwili wóz ruszył. Wytoczyli go na drogę, którą właśnie szła kolumna chłopców.

- Jesteście – podbiegł do nich blokowy. – Tylko nie zostawać za kolumną, bo... pogroził laską i pobiegł na czoło wlokącej się kolumny.

- Widzieliście? – powiedział cicho Jędrrek. – Już nie w pasiaku.

- Pewnie chce wiać – odparł Wojtek. – Ale nas załatwił! Potrzebny nam ten wóz... uszarpiemy się tylko.

- Szybciej, szybciej! – nawoływali esesmani, którzy rozstawili się szpalerem wzdłuż drepczącej kolumny. Karabiny trzymali pod pachą, gotowe do strzału.

Zatrzymali się przy bramie sektora na poboczu drogi. Patrzyli, przytupując w miejscu i kuląc się na wietrze, jak tuż za drutami przepływa rzeka więźniów i zaraz skręca w stronę miasta. Przez krótką chwilę droga była pusta, ale zaraz zaczerniała na niej następna kolumna.

- Patrzcie! – Jędrrek wskazał ręką ku miastu. – Łuna! To już chyba front!

Wpatrywali się chwilę w poróżowiałe niebo – Nie... Pewnie coś pała.

- Jędrzu!!! Jędrzu!!! – doleciał do nich okrzyk z kolumny przechodzącej za bramą. Całą gromadą skoczyli do drutów. Z przechodzącej kolumny zamachało ku nim kilka rąk.

- Matki... – Jędrrek spojrzał na Józka jakoś tak jaśniej. – Matki też idą!

- W taką śnieżycę... – zaniepokoił się Józek. – Moja jest strasznie słaba.

- Do stacji dojdzie – uspokajał go Wiesiek. – To przecież blisko.

- Do wozu, chłopaki! – dopadł do nich blokowy. – Zaraz ruszamy. – Obrócił się ku kolumnie czekającej przy bramie. – Marsz!

Wparli stopy w śnieg, pociągnęli za druciane pętle. Rolwaga leniwie ruszyła. Ledwie przetoczyła się przez bramę, ustawiła się za nimi gromadka esesmanów i pomaszzerowała o parę kroków w tyle idąc całą szerokością drogi. Józek obejrzał się. Za esesmanami droga była pusta.

- Na końcu kolumny idziemy – powiedział półgłosem, ale żaden z chłopaków się nie odezwał.

Uszli kilkaset metrów, gdy obok drogi zaczerniał długi budynek z wieżą pośrodku.

- Brama śmierci – wydyszał Jędrrek. – To do stacji już blisko...

- Tylko po licha ta rolwaga? – odpowiedział Wojtek. – Co oni, na wagon ją zabiorą?

- Uwaga! – ostrzegł Mietek. Do wozu podszedł esesman. Ściągnął z pleców wyładowany tornister i ułożył go na skrzyni. Z widoczną ulgą poruszył ramionami uwolnionymi od ciężaru.

- Nie idziemy na stację – sapnął od dyszla któryś z chłopaków. – Popędzą nas gdzieś dalej.

Nie na stację... Józek dreptał obok wozu ciągnąc za drut uczepony do burty. To jak mama wytrzyma... Oby nie iść za długo.

Wiatr ciskał w oczy zmarznięty śnieg. Wóz ciężko toczył się po białej drodze.

- Wstawaj! Ruszaj się! – rozległ się tuż obok gniewny okrzyk.

- To nie do nas – powiedział uspokajająco Wojtek. – Jeden zasłabł i siedzi na śniegu.

- Jeszcze każą nam go zabrać – mruknął Józek.

- No?! Wstawaj! – wrzasnął esesman i zaraz potem szczerknął zamek karabinu. – No?! – głucho huknął strzał.

- Zabił? – Jędrzek wysunął się nieco z rzędu chłopców, spojrzął w bok na drogę. Esesman już szedł dalej obok kolumny. W rowie widniał czarny, nieruchomy kształt.

- Uwaga! – zawołał Wojtek i szarpnął w bok dyszel wozu. – Tu ktoś leży! Kobieta...

Józek drgnął. Boże! Jeśli to mama...

Puścił swoją pętlę i podbiegł do leżącej. Ukląkł przy niej zerkając za siebie na drogę. Łańcuch esesmanów był o kilkanaście kroków. Kobieta oddychała szybko, z wysiłkiem. Zgarnął śnieg z jej twarzy. Zamknięte oczy, rozchylone usta, coś bełkocze chrypliwie.

- Precz! – wrzasnął esesman, który był już o krok tylko.

Józek zerwał się i pobiegł za wozem. Głucho huknął strzał.

- Głupi – wydyszał Jędrzek, gdy Józek chwycił za swoją pętlę. – Mógł i ciebie kropnąć.

- Musiałem. Myślałem, że to może mama.

Nie uszli więcej niż kilkadziesiąt kroków, gdy za nimi znów trzasnął strzał. A po chwili do wozu podszedł esesman. Bez słowa wrzucił na platformę węzełek.

Świszcze wiatr, pędzi tumany śniegu aż trudno oddychać i patrzy się tylko przez szparki przymkniętych powiek. Ale na drodze znów kłębek szmat przyprószonych śniegiem. Józek znów podbiegł do leżącej, szarpnął za ramię, namacał twarz. Dziewczyna. Otwarte usta, nieruchome oczy. Skoczył za wozem i chwycił pętlę.

- Kto? – spytał Jędrzek.

- Jakaś mała.

Znów suchy trzask wystrzału.

- Wszystkich nas tak rozwalą! – beknął Mietek.

- Zamknij się – zgromił go Wojtek. – Chłopaki, mocniej, bo zostajemy za kolumną. O, znów ktoś leży!

Nie puszczając pętli Józek schylił się. Mężczyzna. Szuka czegoś w śniegu rękami.

- Pomóżcie – zaskomlał błagalnie. – Tylko wstać pomóżcie. Pójdę jeszcze. Koledzy, błagam...

W milczeniu przeszli obok leżącego. Znów strzał.

- Z prawej! – zawołał Wojtek.

Józek pochylił się na chwilę. Nie, to nie była jego matka. Szybko wrócił do wozu.

- Doigrasz się. Uszarpiesz się, jak tak każdego będziesz oglądał – sapnął Jędrzek. – O, znów ktoś leży...

Długa sylwetka rozciągnięta na śniegu. To nie może być mama – pomyślał i już chwycił za pętlę, ale zawrócił.

- Wstawaj! – warknął ze złością, szarpiąc leżącą za rękę. – No, wstawaj!

- Nie, po co... zastawcie mnie – kobieta dźwignęła się ze śniegu ale zachwiała się, jakby za chwilę miała znów upaść.

- Chodźmy, szybko! – pociągnął ją za sobą widząc, że esesmani są już o kilka kroków. Ale kobieta nieoczekiwanie uklękła na śniegu.

- Nie - szepnęła podnosząc głowę ku niebu. – Neeee!!! – wrzasnęła nagle wielkim głosem. – Neeee!!!

Pobiegł za wozem. Gonił go krzyk kobiety i ostre głosy Niemców, ale zaraz potem huknął strzał.

- To był czternasty – powiedział Jędrzek.

- Czternasty?

- Czternasty zastrzelony.

- Czternasta – poprawił go Józek.

- Jaka to różnica...

- Gazu, chłopaki, bo zostajemy! – zawołał Wojtek od dyszla.

Śnieg, pędzony wiatrem, mocno siekł po twarzach. Druciane pętles coraz trudniej było utrzymać w zeszywniałych od zimna palcach.

ZAMARZNAĆ

Koło południa rozległy się wrzaski eskorty i ociągając się wychodzili z wielkiej stodoły na plac w dużym majątku. Niemrawo ustawiali się w piątkową kolumnę. Nocny marsz zabrał chłopakom resztki sił. Dopiero nad ranem esesmani zapędzili ich do stodoł na odpoczynek. Padli jak jeden na klepisko ledwie ledwie słomą przyprószone. A teraz trzeba iść dalej.

- Jeść, dranie, na dają – burczał Witek.

- Już niedaleko, chłopaki – nagle znalazł się przy nich blokowy. – Trzymać się. Dalej pojedziemy pociągiem.

- Naprzód! Szybko! – rozległy się wrzaski eskorty i ruszyli w stronę drogi na której widać było ciemne długie kolumny maszerujących więźniów.

- Ciekawe, czy matki już idą – Józek wpatrywał się w tłumy idących. – Sami mężczyźni.

- To aż tyle nas jeszcze było w obozie?! – zdziwił się Jędrrek.

- Pewnie i z innych obozów wypędzili.

- Pewnie tak.

Wiatr oczyścił asfalt i nie trzeba było brnąć w śniegu. Folwark w którym spali został za nimi, przeszli przez niewielki las i znów znaleźli się na rozległym polu. Kulili się pod ostrym, lodowym wiatrem. Stuknęło kilka strzałów gdzieś przed nimi. Po kilkunastu minutach na poboczu drogi minęli zabitych.

- Miasto przed nami – Wiesiek wskazał głową wyniosłe wieże kościołów prawie niskich chmur sięgające. – O, i stacja kolejowa...

Wlekli się, z trudem przestawiając nogi, ale teraz trochę przyspieszyli. Niech wreszcie skończy się ta droga. Znów strzał!

- Tak blisko był i czapa – mruknął Witek. – No, są wagony. Ale...rany boskie! Towarowe!

- A chciałbyś pulmany, co?

- Ale to węglarki! Bez dachu! I patrzcie, już nasi wsiadają...

Eskorta, niemrawo idąca po obu stronach kolumny, ożyła. Znów było „szybko, biegiem, szybko”. Ale kto miał siłę biec. Kiwali się tylko z nogi na nogę markując pośpiech. Byle tylko nie upaść, byle nie zostać za gromadą...

Otwarte szeroko blaszane drzwi wagonu. Wspinali się z trudem, podciągali się nawzajem, bo już esesmani puścili kolby w ruch i tłukli gdzie popadło. Huknęły zatraskiwane drzwi.

Pusty wagon. Sterta śniegu w kącie. I teraz, gdy stali lub przycupnęli pod ścianami, dopadło ich zimno. Zbili się w ciasną gromadę.

Za ścianami jeszcze rozlegały się krzyki Niemców. Świsnęła lokomotywa. Pociąg szarpnął raz i drugi i koła rozstukały się na szynach.

Józek przymknął oczy wetknął dłonie pod pachy. Jak dobrze, że już nie trzeba iść, że jedzie. Nie, nawet nie jest zimno. Najlepiej będzie teraz usnąć. Cicho w wagonie, nikt nic nie mówi, nie rusza się. Już zaraz będzie spał, już się przed oczami coś majaczy, tak równo stukają koła, coraz ciszej, coraz ciszej, coraz...

- E! A wy co?! – dochodzi do niego jakiś głos. Dlaczego krzyczą... po co... już śpi, już...

- Wstawać, szczeniaki! Ruszać się! Zamarzniecicie! No, wstawać...

Blokowy. Skąd się wziął w wagonie? I teraz szarpie nieruchomych chłopców, podnosi, stawia na nogi, popycha na ściany wagonu.

- Tyle wytrzymałście i teraz padniecicie?! No, ruszać się, skakać, skakać!

Długo trwało, nim wszyscy dźwignęli się z zaśnieżonej podłogi. Patrzyli na blokowego rozespanymi oczami, co rusz przysiadając a on uparcie szarpał ich, popychał na siebie i krzyczał, bez przerwy krzyczał.

- Nie wolno spać! Nie wolno siadać! Ruszać się! Bić się ze sobą! Nie spać! Sześćdziesiąt kilometrów przeszliście, żeby zamarznąć?!

- Nóg nie czuję – żalił się któryś w kącie wagonu.

- Słyszałeś co powiedział – Jędrak tłukł Józka dłońmi po plecach. – Sześćdziesiąt kilometrów...

- Noc idzie – odpowiedział Józek. – Dostyc, teraz ja ciebie pobiję. Żeby tylko dojechać...

- Dojedziemy – odparł Jędrak. – Musimy dojechać.

* * *

Kiedy pociąg zatrzymał się, esesmani z eskorty odsunęli z łoskotem drzwi wagonów. Na ośnieżoną rampę wysypywali się więźniowie i padali na kolana lub posuwali się jak lunatycy, z trudem przestawiając zdrętwiałe nogi. A eskorta i gromada miejscowych więźniów szła od wagonu do wagonu i wyciągała sztywne ciała. Rzucali je na stos obok wagonów.

Józek dowlókł się do grupy już ustawiającej się w piątkową kolumnę. Osowiałymi oczami popatrzył dokoła – daleki, lśniący śniegiem góry, parę domów za drogą, wagony na kolejowej bocznicy. Zimne, jarzące słońce oświetlało pociąg, peron i esesmanów wrzeszczących na ledwie snujących się więźniów.

Czterech...czterech w wagonie nie upilnowali. Bolało to. Bo przecież zrobili wszystko, co było można, aby nie spać. Ale nie upilnowali Jędrka. Nikt nie zauważył w mroku pędzącego pociągu, kiedy przycupnął w kącie wagonu i usnął. Tak samo Mietek. Po Wojtku najstarszy w wagonie. Miał piętnaście lat. I jeszcze Zenek – no, ten był słaby i ledwie dowlókł się do pociągu. Ale Krzysiek trzymał się dobrze, podśpiewywał, nad ranem nawet bił się z Józkiem dla rozgrzewki i teraz okazało się, że zamarznął. Czterech.

- Mauthausen – odczytał Wojtek napis na stacyjnym budynku. – To też cholerny obóz.

- Gorszy od Auschwitzu? – odparł Czesiek. – Niemożliwe...

- Wyrównać! Wyrównać! – wzdłuż kolumny biegł kapo w czarnej kurtce. W ręku ścisnął krótką, grubą pałkę.

- Naprzód! – rozległy się okrzyki esesmanów.

- Naprzód! – wrzasnął kapo.

I kolumna wolno ruszyła w drogę do obozu.

OCZEKIWANIE

Poszli. Pusto i cicho zrobiło się na drodze. Jeszcze jakiś czas słyhać było pojedyncze wystrzały. Siedzieliśmy gromadą w milczeniu. Co z nami będzie... zaraz pewnie wpadną esesmani i co wtedy? Przysypialiśmy, budziliśmy się, znów zasypialiśmy.

Nad ranem w drzwiach bloku stanął Niemiec. Jakiś obcy. Ktoś tam mu nieskładnie tłumaczył, że tu są same dzieci, chore dzieci. Pokazał bez słowa lufą – wychodzić...

Myśleliśmy, że to koniec. A on poprowadził nas do bloku, w którym była wielka gromada dzieciaków. I jedna więźniarka. Dorosła. Daliśmy szybko nura na prycze. No, udało się. Na razie udało się. I tak, trochę drzemiąc, trochę nasłuchując, doczekaliśmy do rana.

Rano, jak zawsze, wysunęliśmy się z bloku.

- Pusto! – zdziwił się Staszek, rozglądając się bacznie dokoła.

- Pusto... – patrzyłem na baraki, na drogę i trudno było uwierzyć, że nie idzie już nią żadna kolumna. – Sami zostaliśmy? W całym obozie?
- O, patrz! Tam ktoś przebiegł! A tam przy bloku kręci się cała gromada.
- A może... – spojrzałem na Staszka, zrozumieliśmy się. Może ich już nie ma? Może uciekli? Cały czas powietrze drży od dalekich bardzo wybuchów. To zbliża się front. Więc może uciekli... Spoglądamy na najbliższą wieżyczkę strażniczą. Nie... są, jeszcze są.
- Dzieci, do bloku! Dzieci! – nawołuje nas Siwa Janka, więźniarka, która została z nami. Bo teraz już nie ma blokowych, sztubowych i szrajberów, nikogo, wszyscy poszli w ewakuacyjnych kolumnach, została tylko Siwa Janka i my, ponad setka małych więźniów. – Dzieci... – woła Siwa Janka. – Wracajcie...
- Staszek ma zły uśmiech, gdy ktoś mówi na niego – dziecko. Ja zresztą też, odzwyczailiśmy się, tyle razy każdy z nas dostał laską po grzbiecie, kopniaka albo po gębie. Tyle razy dorosli wrzeszczeli na nas najgorszymi wyrazami, to znaczy, że uznali nas za równych sobie, i teraz znów mamy być dziećmi? Śmieszne... Ale niechętnie wracamy do bloku. Ta Siwa Janka jest jakaś zupełnie inna.
- Dzieci – prosi nas – nie wychodźcie. Wolność jest blisko, ale oni jeszcze pilnują, strzelają – powtarza i zamyka za nami drzwi bloku.
- Seria strzałów na placu! Druga! I jeszcze! Zdyszane krzyki przebiegających za ścianą więźniów. I jeszcze strzały! Wskakujemy na prycze i skrycie, przez szpary, patrzymy ku drzwiom. Otwierają się szeroko. Esesmani! Stoją w progu z automatami gotowymi do strzału.
- Tu są tylko dzieci – melduje Siwa Janka.
- Zaraz przyjadą po was samochody – mówi jeden z esesmanów. – Nie wychodzić z bloku! Każdy chodzący po obozie będzie zastrzelony.
- Odchodzą. Ściskam w dłoniach swój węzełek. Mam w nim pół pajdki chleba. Nie dojadłem, zaoszczędziłem choć tyle na drogę, gdy nas wygonią z bloku w drogę. Znów słyhać strzały! I wybuchy! Jeszcze dalekie, jeszcze chyba gdzieś poza obozem...
- Co chwilę spoglądam na drzwi bloku. Już, wychodzić... Nie... otwierają się delikatnie, ukradkiem. Esesmani tak nie wchodzi. To nasz, więzień! Wślizguje się do bloku, zamyka drzwi za sobą i wchodzi pomiędzy prycze. Obstępujemy go dokoła. Co nowego?
- Wysadzili most na rzece! Uciekają! Ale nie wychodźcie jeszcze, przed chwilą rozstrzelali całą grupę więźniów. Jeszcze są, jeszcze pilnują, ja też chciałem uciekać, dużo nas było, ale tylko w kilku udało się wrócić. Jeszcze za wcześnie...
- Chłopaki! – do bloku wpadł nagle Rysiek, teraz chyba najstarszy wśród nas chłopak. – Chleb! Patrzcie! – unosi nad głową dwa bochenki chleba.
- Gdzie?! Skąd masz? Aż tyle...
- Z magazynu! Koło kuchni! Tam są całe góry chleba! I nikt nie pilnuje!
- Rzucamy się do drzwi gromadą.
- Nie chodźcie! Dzieci, nie chodźcie! – Siwa Janka zagradza nam drogę, ale odpychamy ją i już biegniemy w stronę magazynu. Przed nami, blisko za drutami naszego sektora, płoną baraki „Kanady”, czarny dym wlatuje w pochmurne niebo. Wciągam w biegu swąd spalenizny. Ten swąd jest zupełnie inny niż tamten, do którego tu przywykłem, ten nie jest straszny, krematoryjny, to po prostu zwykły pożar.
- I już dzwigram do bloku skarb. Chleb! Pięć prostokątnych bochenków! Jakie one ciężkie... ale jak pachną! Siadam na piecu, trzymam chleb w ramionach. Nie jem. Nie mogę. Żal mi. Mam chleb. Ale dyszę ciężko po biegu do magazynu i do bloku. Słaby jestem, bardzo słaby. Ale mam chleb. Tyle chleba...
- Wybuch! Gdzieś całkiem blisko. Z sufitu sypią się płatki wapna. I jeszcze jeden! I jeszcze...
- Artyleria wali – mówi Rysiek. – Ruscy są już bardzo blisko.
- Eeee... bujasz – wątpi ktoś.

- Nie! Poznają po wybuchach. To na pewno artyleria!
 Esesmani! Wbiegają gromadą do bloku. Ale to jacyś inni esesmani, nie znamy ich.
 - Jude?! Jude? – wołają i kierują automaty w Siwą Jankę, która idzie im naprzeciw z głębi bloku.

- Nie, tu nie ma Jude – mówi do nich. – Tu są same polskie dzieci.
- Wychodź! – jeden z esesmanów wskazuje lufą w stronę drzwi.
- Chodźcie, dzieci – Janka odwraca się do nas.
- Nie ! Tylko ty! – przerywa jej Niemiec.
- Nie! – odpowiada Janka twardo. – Ja zostaję z nimi.
- No... – Niemiec mierzy w nią z peemu. – Raus!
- Nie... – Janka cofa się o krok.

Mierzą się oczami a dokoła, na wszystkich pryzkach narasta głośny płacz. Po chwili Niemiec macha ręką i wybiega za innymi. Siwa Janka siada na piecu, opuszcza nisko głowę, chwilę tak siedzi, wreszcie wstaje.

- Dobrze już, dzieci, dobrze, nie płaczcie – mówi roztrzęsionym głosem. – Zostanę z wami. Przysięgam, że zostanę, sobie przysięgam.

W bloku jest coraz ciemniej. Nie ma już światła. Nie ma wody. Migoce ruchliwy płomień świecy wetkniętej w szparę między cegłami, czerwony blask z otwartych drzwiczek pieca rozświetla deski bloku przy drzwiach.

- Chodźcie tu do mnie – mówi Staszek rozciągnięty na ciepłym jeszcze piecu – Chodźcie, tu dobrze.

Siadamy ciasno obok siebie. Opieram się na tłumoku z koca, w który zawinąłem mój skarb- chleb. Ziemia i cały blok wstrząsa się od niezliczonych wybuchów, które są coraz głośniejsze, zbliżają się do nas coraz bardziej. Nikt nie wchodzi do bloku, nikt nie odzywa się. Czekamy. I tak zasypiam.

Straszliwy huk! W bloku krzyk i płacz, rzucamy się do drzwi, przyskają pod naporem dziesiątków ciał. Zatrzymujemy się w progu, onieśmieleni łuną pożaru „Kanady” i dymiącymi zgliszczami.

- Wyszadzili krematorium – mówi cicho Siwa Janka. – To znaczy, że już niedługo. Dzieci, nie rozchodźcie się... – prosi.

Cofamy się na pryzce. Znow jest ciemno. I coraz zimniej. Ogień w palenisku wygasł. Kulę się na piecu, naciągam na plecy znaną w dzień kołdrę. Strzały i wybuchy oddaliły się znow od obozu. Może już? Nie... Za ścianą rozlegają się zdyszane niemieckie głosy. Jeszcze nie... Drzemiemy, budząc się przy każdym bliższym strzale, przy każdym głośniejszym powiedzianym słowie.

- Bogdan, jak myślisz, już? – szepcze Stefek.
- Nie wiem – odpowiadam. - Cicho, słuchajmy!

Nie wiem. Gdy otworzą się drzwi bloku, kto w nich stanie? Esesman czy może już nie? Taki jestem głodny... sięgam po bochenek chleba i łapczywie rwę zębami. O, znow blok wstrząsa się od wybuchów! Jem, szybko, szybciej, najeść się, zdążyć się najeść bo przecież zaraz coś się może zdarzyć...

- Już niedługo, dzieci – mówi spokojnie Siwa Janka. – Już niedługo! Zaraz będzie dzień. Wiecie, dzieci, to już będzie dziś...

WOLNOŚĆ

Obudziła mnie daleka seria strzałów. Skuliłem się na piecu, który jeszcze zupełnie nie wystygł, szczelniej otuliłem się podartą kołdrą. Leżałem, nasłuchując dalekiego teraz dudnienia armat i bezustannego drżenia szyb w oknach pod dachem bloku. Rozwidniało się. Okna poszarzały, zbladła luna nad płonąca „Kanada”.

Znów strzelają! Ale teraz bliżej... No, to już nic w porównaniu z wczorajszym dniem, kiedy co parę minut między blokami rwały się pociski, kiedy do bloku wpadali esesmani. Teraz wyraźnie słysząc serie z kaemów. Siwa Janka... spojrzałem w stronę drzwi bloku. Jest, siedzi na stołku oparta o ścianę, chustka zsunęła jej się z ramienia. Śpi. Jak to wczoraj powiedziała esesmanowi? „Tu są same polskie dzieci...”

Nieprawda! Skłamała. Bo przecież tam, w kącie bloku, gęsto leżą na pryczach dzieci żydowskie. I ruskich też jest gromadka. Jak to w obozie. I teraz, dziwne to może, ale wszyscy śpią.

Trzask wybuchu! Blisko rąbnęli. I zaraz w bloku płacz i krzyk. Siwa Janka zrywa się ze stołka, biegnie tam, gdzie najgłośniej krzyczą, uspokaja.

- Dom mi się śnił – powiedział niewyraźnie Mietek, trąc pięściami oczy. – A tu znów wał...

- Cicho! – syknąłem, bo za ścianą, po zmarzniętej ziemi głośno załomotały nogi przebiegających ludzi. Jedno i drugie twardo rzucone słowo. To jeszcze oni. Jeszcze ciągle oni. Tupot ucichł. Znów było cicho, bo smarkacze w bloku przestali beczeć, a i strzały na chwilę przycichły.

- Wyjść teraz na dwór, popatrzeć – szepnął Mietek.

- Siwa będzie gderać – odpowiedziałem, nie wysuwając się spod kołdry.

- Chodźmy – namawiał. – Może to już byli ostatni...

- O! Słyszysz? – wskazałem głową na ścianę bloku. Znów tupot nóg biegnącej gromady ludzi. I samochód, gdzieś zupełnie blisko. I zaraz potem strzał. I drugi, i cała seria. A na końcu wybuch krótki, suchy.

- Granat to był – szepnął Mietek. – Coś się dzieje tuż obok nas...

- Żeby nas tylko teraz nie wygnali – zatrwożyłem się. Sięgnąłem ręką do węzełka pod głową. Chleb. Jest. Mój chleb.

- Już nas nie wygonią – Mietek pokręcił głową. – Zaraz, zobaczysz, przyjdą Ruscy.

- Zimno – wstrząsnął mną chłód. – I pić...

- Trzeba by wyjść po śnieg. I parę desek do pieca ściągnąć. No, chodźmy.

Byliśmy o dwa kroki od drzwi, gdy Mietek zatrzymał się i chwycił mnie za ramię. Długa drewniana zasuwą poruszała się! Ktoś próbował delikatnie otworzyć drzwi bloku.

Mietek pociągnął mnie pod ścianę. W milczeniu, w ogromnym napięciu patrzyliśmy, jak deska podnosi się i wysuwa z jarzma. Głośny skrzyp drzwi a potem szarpnięcie i otwierają się szeroko.

Lufa... i zaraz czapka, i oko człowieka zaglądnącego ukradkiem do bloku. Wygonią... albo zaczną strzelać... W drzwiach staje żołnierz. Esesman? Nie... na futrzanej czapce czerwona gwiazdka, szary długi płaszcz.

- Ruscy!!! – wrzasnął Mietek. – Pani Janko! Ruscy!!!

Krzyk rozsadza blok, bo teraz już wszyscy krzyczą. A tamten stoi. Patrzy. Opuścił w dół lufę automatu. Brwi namarszczył, oczy zmrużył i patrzy. A już obok niego drugi, trzeci, dużo ich. I co który wejdzie w drzwi bloku, to staje, nie rusza się, patrzy i nic nie mówi.

I wreszcie roztrąca ich kobieta w mundurze. Coś szybko mówi do Janki, ale ta nie rozumie, kręci głową bez słowa, opiera się o ścianę, jakby zupełnie siły straciła. A tamta znów coś mówi, pokazuje wreszcie ręką, żeby wychodzić,

- „Iditie damoj...” – powtarza Mietek za Rosjanką. – Co to może być?

- „Damoj...” do domu może? Tak! Rany boskie! Do domu! No, zbieramy się!

- Najpierw najmłodsi! Dzieci! – Jance już wróciły siły. – Pomóżcie im, dzieci...

Niebo jest szare, ciężkie. Tu i tam kreśli je czarny dym. Całkiem blisko jeszcze bulgocze strzelanina. Iluż tych żołnierzy! Stoją, patrzą, jak z drzwi bloku wysuwa się kolumnienka małych więźniów poznaczonych czerwonymi winklami i szmatkami z numerami. Stoją w milczeniu i patrzą.

Już od drzwi spojrziałem za siebie. Pustka. Porozrzucone szmaty i garnki. I nikogo.

- Pamiętasz, jak poszliśmy kiedyś na cygański blok – mówię cicho do Mietka. – Wzięli ich w nocy do gazu. Tam też było tak, jak teraz tu, u nas.

- Pamiętam, pamiętam – odpowiada niecierpliwie Mietek. – No, chodźmy.

Śnieg skrzypi pod drewniakami. Kolumnienka wolno drepcze ku przejściu w porwanych drutach.

- Popatrz! – Mietek trąca mnie nagle w bok.

- Gdzie...

- Na tego żołnierza. To ci checa!

Stary już. Z wąsami. Futrzana czapka z czerwoną gwiazdą. Paski od worka na plecach mocno werżnięte w ramiona. Oparł o śnieg karabin z wielkim dyskiem na naboje. I patrzy na nas, jak wszyscy.

- Normalny – odpowiedziałem. – Co się czepiasz?

- On płacze! Nie widzisz? Płacze...

Spojrziałem na żołnierza uważnie. Stał nieruchomo, oparty na karabinie. Łzy na policzkach. Podniósł rękę i otarł oczy. I stał dalej, choć minęliśmy go odchodząc ku samochodom, które na drodze, już za drutami, dymiły obłokami spalin.

Pomagali nam wsiadać na samochody. Szybko to szło. Stojąc już na platformie samochodu obejrzałem się jeszcze na obóz. Tu i tam na śniegu czerniały nieruchome ciała. Drogą między sektorami obozu szli żołnierze długą, nierówną kolumną. Ten oparty na karabinie stał jeszcze tam, gdzie go mijaliśmy, wciąż nieruchomy, wciąż zapatrzony gdzieś daleko. Wreszcie drgnął, dźwignął z ziemi broń i ruszył wolno w ślad za idącymi gdzieś na zachód żołnierzami.

Samochód ruszył. Mocno ścisnąłem w dłoniach węzełek z chlebem.

BOMBY

Odrzuciła cegłę oczyszczoną z wapna i wsunęła dłonie pod pachy. Jak zimno... Gdyby tak mieć rękawice...Bo gdy gołymi rękami bierze się cegły, to po godzinie palce są pościerane i pieką. Ale rękawic nie ma. Od rzeki ciągnie wilgotny, przenikliwy chłód. No cóż, to dopiero luty.

- Arbeit! Schnell! Arbeit! – pokrzykuje raz po raz majster, dozorujący pracę kobiet. O, właśnie zbliża się do osypiska gruzów, które wczoraj jeszcze były domem. Chwyciła młotek i poczęła gorliwie czyścić cegłę z wapna. Nie wolno podpaść majstrowi. On eskortuje je z obozu na miejsce pracy, on też, gdy wracają do obozu, codziennie rozdaje tekturowe kwadraciki z pieczęcią. Może takiej kartki nie dać. I wtedy w kuchni nie wydadzą zupy ani chleba. A to prawdziwe nieszczęście.

Osypisko gruzów zdawało się nie mieć końca. Rozpoczynało się od drugiego piętra i wylewało się przez chodnik aż na jezdnię. Rano, gdy tylko przyszły do pracy, musiały najpierw odrzucić gruz z jezdni. I tak ulicą prawie nikt nie chodzi, ale majster kazał jezdnię oczyścić. Zeszło im przy tym dobre dwie godziny.

Przesunęła się o kilka kroków po osypisku, gdzie było dużo prawie czystych cegieł. Stąd widać było nadrzeczny bulwar. Właśnie nadciągała nim kawalkada kobiet z czterokołowymi

wózkami. Na wózkach piętrzyły się toboły i walizki. Siedziały tam też małe dzieci. Większe dreptały obok matek. Wszyscy idący niespokojnie spoglądali w górę, jakby na coś czekając.

- Lecą już – powiedziała któraś z kobiet.

Wiedziały już, że gdy radio ogłasza zbliżanie się samolotów nad miasto, ludność rusza do schronów. Pracujące mogą tylko patrzeć. Nie wolno im przerwać pracy. Niedaleko, w wielkim parku, jest ogromny schron. Masywna bryła betonowej budowli wznosi się ponad drzewa parku. Szerokie pancerne drzwi osłaniają wejście. Tam jest bezpiecznie, tam dążą mieszkańcy miasta.

Syreny! Ich jęklive wycie roztacza się nad dachami leniwie, prawie obojętnie.

Na gruzowisku stukot młotków milknie. Robotnice czyszczące cegły patrzą z wysoka na matki spieszące z dziećmi do schronu. I zaraz spoglądają na swoje dzieci. Bo one też pracują, też czyszczą cegły, układają je na wagonetkach, wożą na bulwar nad rzeką. Całe dni.

Znowu jęk syren! Ale teraz wyją inaczej, jakoś tak bardziej nerwowo. Ostrzegają spóźnialskich, przynaglają do szybszego marszu. Na ulicy turkoczą ostatnie wózki. Majster przestał pokrzykiwać. Czyżby też pognał do schronu?

Wstała z deseczki, na której siedziała czyszcząc cegły i zeszła z osypiska na jezdnię. Ulica była już pusta. Jeszcze tylko zawarczał silnik szybko przejeżdżającego samochodu.

- Może nas ominą – powiedziała pani Janka, sąsiadka ze sztuby w obozie.

Bo zdarzało się, że potok ludzi wędrujących do schronu nagle zwalniał, zawracał, znikał w bramach ocalałych jeszcze domów. Znaczyło to, że radio podało, aż samoloty lecą nad inne miasto.

Kobiety i dziewczyny jedna po drugiej schodziły z gruzowiska. Stały w końcu całą gromadą na jezdni i rozglądały się, niezdecydowane co teraz robić. Patrzyły na opustoszałe ulice, spoglądały tam, gdzie odeszli uciekinierzy, podnosiły głowy patrząc na niebo.

- Idziemy! – zdecydowała pani Janka.

- Ale gdzie? – szeptały między sobą, rozglądając się trwożliwie. – Może jest tu gdzieś jakaś piwnica...

- Tylko nie piwnica! Znów nas zasypie, jak przed tygodniem.

- Idziemy do schronu!

I całą gromadą ruszyły tam, gdzie poszli mieszkańcy miasta.

- Nie wpuszczaj nas – zważyła pani Janka, ale też ruszyła za innymi. Chwilę szły nad rzeką, przeszły przez most, gdy znów zawyły syreny. Przyspieszyły kroku, zerknęły w niebo, ciągle jeszcze puste, ale widziały, że te syreny to ostatnie ostrzeżenie, że samoloty są już bardzo blisko.

Spojrzała w górę, na niebo lśniące ponad gałęziami drzew. Już ich słyhać! Powietrze drży od potężnego, równego huku motorów nadlatujących samolotów.

Schron już blisko. We wrotach przepychają się ostatni uciekający, ponaglani przez żandarmów. Pani Irena już dobiega do wrót.

- Nie! – Żandarm władczo wyciąga rękę i zagraża drogę do schronu. – Precz!

- Same kobiety! I dzieci... – pani Irena popycha synka przed sobą. – Przepuście!

- Tylko dla Niemców! – woła żandarm i cofa się w szczelinę zamykanych już wrót.

- Nie! – któraś z kobiet z rozpaczą tłucze pięścią w pancerne wrota, już zamknięte.

- Mówiłam, że nie wpuszczaj. I co teraz? – Pani Janka rozgląda się gorączkowo. Schron otaczają stare, wysokie drzew. Tu i tak cały park pocięty jest zygzakowatymi rowami. – Co teraz?!

- Uciekajmy! – krzyczy kilka kobiet.

Grzmot nadlatującej eskadry wzmagają się. Raz po raz strzelają armaty, na niebie wykwiła mrowie czarnych kłębków. Gromada kobiet rzuca się pędem w stronę rzeki. Może jednak zdążą do jakiejś piwnicy w na pół zburzonym domu.

I nagle rozlega się świst. Straszny, rozsadzający czaszkę. Ogląda się w biegu i nagle widzi, że jest sama w tym lesie, że wszyscy zniknęli w rowach. Skacze do najbliższego, przyciska się do kogoś, kto już tam siedzi, zakrywa uszy dłońmi. A ziemia zaskowytała, zadrżała, zwała się na głowy i plecy grudami, znów zadrżała, znów sypnęła grudami opadającymi bez końca.

Przycichło nieco. Tuż nad ziemią snuje się dym. Ktoś kaszle gdzieś blisko długo, bardzo długo. Nie ma nowych wybuchów. Czy już odlecieli?

Poruszyła się ostrożnie. Kobieta obok której leżała, otrzepywała się już z ziemi.

- Żyjemy – powiedziała cicho. – Żyjemy...

Wstała i wyjrzała z rowu. Tu i tam wyglądały z rowów inne kobiety.

Syreny odezwały się teraz długo, miękko, uspokajająco. Wyszła z rowu, otrzepała się z ziemi, potrząsała głową chcąc pozbyć się głuchego szumu w uszach. Wolno, noga za nogą, omijając potrzaskane drzewa i leje od bomb, poszła nad rzekę, gdzie czekały nowe grupy.

KAMIENIE

W tunelu, drążonym w głębi góry, huczały młoty. Nie milkły ani na chwilę, przez cały dzień, przez całą noc. Słychać je było z daleka, nawet z baraków stojących u podnóża góry. Kiedy Hela, jak co dnia, wychodziła w gromadzie kobiet do pracy, nowa kapo popatrzyła na nią uważnie.

- Mała! Co ty tu robisz? – spytała.

- Chciałam być razem z mamą.

- I gdzie matka?

Pokręciła głową. – Nie ma jej już. – odpowiedziała cicho.

- Ile masz lat?

- Trzydzieści – dodała sobie rok.

- Trzydzieści – powiedziała kapo krytycznie patrząc na wychudzoną dziewczynę. – Niech ci będzie. No, idź!

Teraz trzeba dużo chodzić. Najpierw z baraku do kamieniołomu. Kamienistą, pełną sterczących głazów drogą, dojść do czarnej dziury wylotu sztolni. Wziąć kamień i wąską ścieżką nieść go w górę, potem w dół, aż do ogromnej przymy głazów, które gdzieś wywożą. I tak przez cały dzień. Wieczorem, gdy przydźwiga ostatni kamień i rusza do obozu, z trudem przestawia nogi w za wielkich dla niej drewniakach.

Weszła na skalną półkę, gdzie więźniowie drążący chodnik w głąb góry wywozili wagonetkami pokruszone skały. Z daleka już wypatrzyła dobry kamień – taki, który będzie się dobrze niosło, nie za duży, bo zgiąłby ją w pół, ale i nie za mały, bo wtedy oberwie się laską od kapo.

Dźwignęła głaz, przycisnęła do brzucha. Początkowo nie czuła jego ciężaru. Dopiero po kilkudziesięciu krokach, gdy zaczął się bardziej stromy odcinek ścieżki, zrozumiała, że jednak ten kamień jest za ciężki. Szła wolno, jak wszystkie w kolumnie, wąską na jakiś metr ścieżką, z jednej strony pionowa skała, z drugiej urwisko a w dole, daleko, wierzchołki świerków. Pod nogami wyslizgane głazy, na których leżały drobne kamyki. Jak łatwo uciekały one spod podeszwy drewniaka...

Musiała zwolnić, aby nie potraćić więźniarki idącej przed nią. Niedobrze... przed kobietą, posuwającą się z wielkim trudem, chwiejącą się na nogach, powstała kilkumetrowa przerwa. Kapo jest już blisko i nie puści tego płazem.

- Prędziej – syknęła.

Kobieta obróciła nieco głowę – Wyprzedź mnie – wydyszała. – Teraz... – odsunęła się pod samą ścianę.

Dwa szybsze i trochę dłuższe kroki i już ją wyprzedziła. Patrzyła uważnie pod stopy, starając się nie zerkać w bok, w strome urwisko i rozkołysane wierzchołki drzew. Jak one daleko, Boże, jak daleko...

Och! Poślizgnęła się na kamyku, który uciekł spod drewniaka, silny ból w wykręconej kostce. Zachwiała się i upadła w tył. Nie puścić kamienia! Ostry, piekący ból w otartym łokciu. Nie wypuścić kamienia... bo stoczy się po ścieżce, prosto pod nogi kobiet za nią idących. Ukłękła tuż nad urwiskiem, wstała a już dobiegł ostry okrzyk kapo.

- Dołącz, smarkulo! Szybko!

Kuśtykała, jak mogła najprędzej, ale idące przed nią wciąż były o kilkanaście kroków.

- Szybciej, mała – powiedziała kapo, gdy Hela przechodziła obok niej. Ale nie podniosła laski, nie walnęła po plecach.

Zakręt. Kilkumetrowa ściana skalna, wąziutka teraz ścieżka a przy niej przepaść. Wielki śliski głaz pod nogami, potem rowek, szeroki na stopę, potem drugi głaz, już o kilkanaście centymetrów niższy. To najtrudniejszy odcinek drogi. Tu trzeba przeskoczyć przez rowek, niby wąski, ale jak się ma na nogach drewniaki ciężące jak kajdany, i do tego dźwiga się kamień...

Przestąpiła, aby przeskok wypadł na zdrową nogę. Zachybotła się na śliskim kamieniu, otarła lekko o skalną ścianę i odetchnęła z ulgą. Ścieżka rozszerzała się, prowadziła łagodnym łukiem w dół.

Stukanie kamienia! Za nią, na ścieżce! Ale nikt nie krzyczał...Przywarła do ściany i kamień, podskakując na nierównościach, przemknął obok niej zanim nie runął w przepaść.

Obejrzała się. Zza zakrętu wyskoczyła kobieta przyciskając kamień do piersi. Ale to nie była ta kobieta, którą parę minut temu wyprzedziła. Może tamta została w tyle?

Zstępowała w dół, ale po kilkunastu krokach obejrzała się jeszcze raz. Zobaczyła następną kobietę z kamieniem, jeszcze jedną, jeszcze jedną. A ta, która upuściła kamień? Co z nią? Tak bez słowa poleciała w dół?

Przy pryzmie kamieni stała druga kapo – ta, która pytała ją o matkę, gdy wychodziły do pracy - przeklinająca we wszystkich chyba językach i raz po raz tłukąca laską niemrawo ruszające się zmordowane kobiety.

- Aaa, mała – powiedziała, gdy Hela kładła swój kamień na stosie. – Myślałam, że to ty uczysz się latać.

Zawróciła bez słowa. Teraz rozpoczyna się katorga podchodzenia pod górę, ku ledwo widocznej stąd czarnej dziurze wykutej w zboczu.

JUŻ NIEDŁUGO

Wczoraj wieczorem, gdy w bloku umilkły wrzaski kapo i przygasły światła, leżeli, wstrzymując oddech i nasłuchując. Nareszcie... nareszcie słyhać front. Jest daleko, ale wreszcie jest! Prawda, że od paru dni kilka razy dziennie wyją syreny i nad obozem śmigają samoloty. I to nie niemieckie! Amerykańskie. Wyraźnie widać białe gwiazdy na skrzydłach. Co z tego, kiedy już prawie nic jeść nie dają. I wściekli, jak diabli. Żeby podejść blisko do drutów, ani mowy. Strzelają.

A dziś rano, jak zwykle, wypędzenie na plac i sprawdzanie stanu więźniów. Z rana? Tego nigdy nie było. I zaraz potem, no, nie zaraz, bo dobrą godzinę tkwili na placu w zbitej masie, obstarpi ich esesmani i kolumna ruszyła w stronę bramy obozu.

- Myślałem, doczekamy tu do wolności – Heniek spojrzął na idącego obok Wojtka. - A znów gdzieś nas pędzą.

- Achtung! – jakby w odpowiedzi rozległy się histeryczne wrzaski esesmanów. – Kryć się! Powietrze!

W parę sekund droga opustoszała. I zaraz przemknęły jak duchy dwa małe samoloty z krótkimi, tępo uciętymi skrzydłami. Na skrzydłach jaśniały białe gwiazdy. I dopiero gdy przelecieli, zahuczało. Wcisnęli się w ziemię, wtulili głowy w ramiona, skłębili się jeden na drugim w rowach. Po chwili tamci stali się już tylko czarnymi punkcikami rozmywającymi się w przestrzeni.

- Nogę wykręciłem – stęknął Wojtek. – Nie mieli kiedy przylecieć, cholery.

- Wychodzić! Wychodzić! Po pięciu! Marsz! – pokrzykiwali esesmani otrzepując mundury, ale ledwie pierwsi więźniowie dźwignęli się z rowów, znów krzyknęli: - Z powrotem! Powietrze!

Byli to chyba ci sami, którzy przelecieli nad nimi przed kilkoma minutami. Już są blisko... lecą nisko, tuż nad drzewami. Migoczą skrzydła. Heniek wtulił głowę w ziemię, bo domyślił się, że to migotanie, to po prostu błyski wystrzałów. Na drodze zakurzyło, silniki zawyły nad stłamszonymi w rowach ludźmi i ucichły. Samoloty oddalały się, tylko ktoś z rowu niedaleko wrzeszczał: - Ratunku! Pomocy!

- Nie widzieli, dranie, że my to nie wojsko? – irytował się starszy mężczyzna wyłaząc z rowu na drogę. – Do więźniów strzelają!

- Wychodzić! Szybko! – znów pokrzykiwali esesmani.

Wolno ruszyli naprzód, pilnie spoglądając w niebo – a nuż znów przylecą, znów siekną kulami...

Za nimi głucho stuknęły dwa strzały.

- Co to?!

- Nie wiesz... – domyślił się Heniek. – Rozwalili tych dwóch rannych, co to ich Amerykańcy trafili.

Szli dalej. Drogą wśród zielonych już pól. W potokach kwietniowego słonecznego blasku. W bieli sadów otaczających obejścia gospodarskie. Szli godzinę, może dwie, niespiesznie, aż stanęli na przystani nad rzeką szeroką, błękitną, iskrzącą się w słońcu. Za rzeką kwitły sady, a daleko za sadami wznosiły się wysokie góry. Na rzece, tuż przy brzegu, kołysała się wielka żelazna barka.

- Co też oni wymyślili? – powiedział ponurym głosem więzień w okularach. – Wycieczkę statkiem nam fundują...

- Wiozą nas do innego obozu – odparł szybko drugi, nazywany przez innych Grubym, choć dawno wysechł na szczapę.

- Oby tylko dowieźli – kręcił głową ten w okularach. – Jak na rzece nas Amerykanie dopadną, to kłapa.

- Kraczesz i kraczesz – zirytował się Gruby.

- Kraczesz... albo to nie wiesz, że oni walą do wszystkiego, co się rusza?

- Powietrze! – wrzasnęli prawie równocześnie kapo i esesmani.

Rozprysnęli się po rowach, przycupnęli pod drzewami, wskakiwali do dołów, chowali się za stosami drewna ułożonymi obok przystani.

Heniek i Gruby padli pod drzewem.

- Niedobrze tu – stęknął Gruby. – Leżymy jak na patelni. Lecą! Widzisz ich? Nad wodą...

Cztery punkciki już po sekundzie rozrosły się w sylwetki samolotów. Odprowadzali je wzrokiem. Lecieli nisko, niespiesznie. Nie dostrzegli albo nie zainteresowali się gromadą ludzi leżących wokół przystani, nie skęcili ku barce kołyszącej się przy brzegu.

- Polecieli – mruknął Gruby. – I mają wszystko gdzieś. A my... znów esesmani, kapo, kije...

- Ale to już niedługo – Heniek spojrzał pytająco na Grubego. Lecz Gruby milczał, nie ruszając się spod drzewa.

- Wstawać, panowie, płyniemy – oznajmił kapo przebiegając koło nich. – Jakies czterdzieści kilometrów. Dobrze będzie...

- Naprawdę, panie kapo? – spytał Gruby i mrugnął znacząco do Heńka.

- Jak mówię, że dobrze, to dobrze. Wstawać...

Kapo pobiegł dalej a Gruby uśmiechnął się do Heńka: - Słyszałeś co powiedział?

- Że niedaleko i że dobrze będzie.

- On powiedział do nas „panowie”! Do nas tak powiedział! Człowiek się robi z tego bydlaka. Widać naprawdę blisko do wolności. No, wstawaj! Co tobie? – spojrzał z niepokojem na wciąż leżącego pod drzewem chłopaka..

- Nie mam siły.

- Wstawaj – Gruby wyciągnął dłoń. – Myślisz, że ja mam siły? Też ledwie idę. No, wstawaj!

- Naprawdę nie mogę...

- Musisz, chłopcze. Żywego cię tu przecież nie zostawią. A dostać kulkę teraz? Tu? To bez sensu – dźwignął Heńka z ziemi, ujął pod ramię i wolno, noga za nogą, powlekli się w stronę barki.

OSTATNIE GODZINY

Od kilku dni słychać było daleki pomruk nadchodzącego frontu. Tej nocy było nieco ciszej. Dziewczyny posnęły, gdy nagle blokiem wstrząsnął bardzo bliski wybuch. Wszystkie natychmiast wyskoczyły z łóżek, chwyciły przygotowane wcześniej węzłki i rzuciły się do drzwi. A już rozległ się drugi wybuch, trzeci...

- Do schronu! – ktoś wrzeszczał histerycznie na korytarzu. – Do schronu!

- To nalot? – spytała Krystyna, przepychając się do wyjścia.

- Jaki nalot?! To armaty – odkrzyknął ktoś w biegu.

Jeszcze szaro na dworze. Powietrzem znów wstrząsnął wybuch pocisku. W krótki rozbłysku Krystyna zobaczyła gromadę pędzących do schronu.

Przepychały się i potykały na schodach wiodących w dół, do zygzakowatego betonowego schronu. Zagarnęła ich kompletna ciemność. Znali jednak ten schron świetnie, spędzili w nim wiele nocnych godzin, gdy nad Berlin przylatywały alianckie bombowce. Po omacku posuwały się w głąb schronu, odnalazły ułożone jedna na drugiej cegły, na których można było przysiąść. Po kilku minutach dreptanie ucichło, każdy znalazł miejsce do przycupnięcia. Na dworze raz po raz wybuchały pociski.

- Teraz to już nas chyba nigdzie nie popędzą – szepnęła w mroku jakaś kobieta.

- Już za późno na ewakuację – odpowiedziała inna. – Nawet Niemcy od południa już nie szli ulicą.

Krystyna przymknęła oczy. Usnąć... strzelają, no to co? Ale nie trzeba iść do czyszczenia cegieł w rozwalonych domów. A że Niemcy przestali uciekać... tak, trzy dni szli obok obozu niekończącą się kolumną. Jechali na wozach konnych, na rowerach, ciągnęli wózki

wyładowane tobołami i walizkami. Uciekali przed Ruskimi. A kobiety w obozie szeptały między sobą ze strachem – czy one też będą musiały iść, tak jak Niemcy. One nie muszą się bać. Bo i czego? Mają za sobą zburzone własne domy w Polsce, mają za sobą głód i pracę w Auschwitz, to co teraz może być gorszego? Będzie wolność! Oby jak najprędzej. Będzie można wracać do domu. Że rozwalony? Ale będą u siebie, między swymi.

Poczuła, że siedząca obok Jadźka przysuwa się do niej.

- Co ci jest? – szepnęła.

- Nic – również szeptem odpowiedziała Jadźka. – Ciepłej będzie.

Tak. Bo w schronie jest wilgotny ziąb. Na dworze niby już wiosna, drzewa kwitną, ale kiedy się taki podziemny schron nagrzej?

Znów wybuch! Bliski, bo ze spoin stropu na głowy posypał się drobny gruz. Jakiś malec zapłakał w ciemności, ale zaraz umilkł uspokojony głosem matki. Wybuch! Mocno przytuliła się do Jadźki. Ciekawe, czy to już dzień? Powietrze przynosi odgłosy dalekiej walki. Jak kiedyś, w domu – przychodzi wspomnienie. – Zupełnie jak w domu...

Wybuch! Silny podmuch powietrza przeleciał przez schron. I mrok jeszcze bardziej zgęstniał od pyłu.

- Zasypało nam drugie wyjście! – rozległ się męski głos. – I strop przebiło na wylot!

- Pójdę, zobaczę – Jadźka poruszyła się.

- Lepiej siedź.

- Nie, zobaczę.

Szurała drewniakami po betonie posadzki. Odeszła do zakrętu schronu bo szuranie przycichło, ale zaraz rozległo się wołanie: - Kryśka! Gdzie jesteś?

- Tu... – odpowiedziała.

- Łazi taka i po nogach depcze – zrzędził ktoś. – Siedziałybyś, jak wszyscy!

Gdy Jadźka przycupnęła obok Krystyny, nachyliła się do niej blisko.

- Za zakrętem jest dziura w stropie. Duża jak talerz. I leży tam ktoś i nie rusza się. Już widno na dworze.

- Cicho! Słyszysz?

Wśród wybuchów pocisków słychać było terkot strzałów.

- Kaemy – powiedział mężczyzna. - Biją się i to blisko nas.

- Jest tam kto? – rozległo się wołanie od tej dziury w stropie.

- Nie odpowiadajmy! – szepnęła jakaś kobieta w mroku.

- Po polsku wołał. Jak nie odpowiemy, to jeszcze granat rzuci – odparł mężczyzna i zawołał głośno: - Tak! Jesteśmy!

- Polacy? – pytał tamten z góry.

- Sami Polacy!

- Już nie ma Niemców!

- Jak to nie ma?! – krzyknął mężczyzna, ale tamten już nie odpowiedział. – To co robić? Wychodzimy!

- Może lepiej poczekać. Tak strasznie strzelają...

- Ludzie! – rozległo się wołanie od wyjścia ze schronu. – Nasi! Polacy!

Jaki straszny tłok. Wszyscy pchają się do wyjścia a daleko do niego, jeden zakręt schronu, drugi, trzeci i wreszcie coś widać, wreszcie wpada trochę światła. I nareszcie schody, gruzu na nich pełno, drzewo się zważyło i trzeba się chyłkiem przeciskać, jeszcze dwa kroki. Pochmurne niebo, deszcz siąpi. A tuż przy schodach stoi żołnierz w rogatywce! A dalej drugi, trzeci. W rękach automaty, karabiny. Obstępują żołnierzy dokoła.

- Z Warszawy jesteśmy – mówi któraś z kobiet. – Wszystkie z Warszawy.

- Ja też – odpowiada jeden z żołnierzy. – Ale już nie ma Warszawy.

- Jak to, nie ma?! – oburzyły się.

- Ano nie ma. Same gruzy.

- Drugi pluton! – rozległo się wołanie i żołnierz dźwignął z ziemi erkaem.
- Idziemy dalej. A wy wracajcie do domu. Tu jeszcze idzie wojna.

Pobiegli długim szeregiem w stronę stacji kolejowej a na obóz znów runęła seria pocisków. Skoczyły do schronu, przysiadły na cegiełkach.

- Widziałas? – szepnęła Jadzka. – Nasi przyszli. Polacy! Tu, do Berlina.
- To co, idziemy?
- Gdzie?
- Jak to gdzie? Do domu! Przecież już można.
- Niech tylko zaczną walić trochę dalej – odparła Jadzka. – To pójdziemy. Jeszcze dziś.

MARSZ ŚMIERCI

Gdy wyszły zza zakrętu drogi zobaczyły przed sobą miasteczko. Wciśnięte między zalesione stoki gór, czerwieniące się ciasno skupionymi dachami domów. Przed domami, tuż przy drodze, rozciągała się ogromna łąka. I gdy czoło kolumny dowlokło się do tej łąki, eskortujący je esesmani wrzaskami skierowali kobiety na tę łąkę. Odpoczynek.

Marysia osunęła się na ziemię. Tuż obok niej przysiadła Danka i od razu zsunęła z nóg drewniaki, oglądała poobcierane nogi. Spojrzała na Marysię, która leżała oddychając szybko i z wysiłkiem.

- Jak się czujesz? – spytała, choć wiedziała, że Marysia jest zupełnie wyczerpana marszem, który trwa już drugi dzień.

- Pić... – szepnęła Marysia.

- Skąd ci wezmę... – Danka obejrzała się dokoła. Nikogo nie widać. I żadnego strumyka czy choćby rowu z wodą. – Nie ma, nic nie ma.

- Już nie mogę... – szepnęła Marysia.

- Może już niedaleko. Patrz, słońce jest nisko, gdzieś nas zatrzymają na noc.

- Już nie mogę... – powtórzyła Marysia.

- Wstawać! Dalej! Wstawać! – rozkrzyczeli się esesmani. Kobiety dźwigały się z ziemi, wychodziły na drogę, ustawiały w kolumnę.

- Idziemy! – Danka chwyciła Marysię za rękę. – No, wstawaj!

- Nie... nie mam siły.

- Musisz! No, wstawaj! – szarpnęła ją mocniej widząc, że na łące nie ma już prawie nikogo i jeden z esesmanów zbliża się do nich.

Marysia, pociągana przez Dankę, wstała, zachwiała się, znów próbowała usiąść.

- No! Szybko! – krzyknął żołnierz. – Szybko! – ścigał karabin z ramienia.

- Marysiu... musisz – błagała koleżankę Dankę. – Chodźmy, no, chodźmy!

Dowlokły się do kolumny, która już zbliżała się do pierwszych domów osiedla. Dankę, wspierając chwiejącą się Marysię, spojrzała na mijane domy. Wszystkie drzwi i okna zamknięte, nikogo nie widać, o, w jednym oknie poruszyła się firanka, ktoś pewnie patrzył na idące ukradkiem. Szły wolno, bo Marysia z trudem przestawiała nogi i co rusz wyprzedzały je kobiety z kolumny.

- Prędej! – warknął esesman, który znalazł się tuż za nimi.

Udało się przejść kilkadziesiąt kroków prędzej i już nie były ostatnie w kolumnie. Skończyły się domy osiedla i teraz droga wiodła lekko w dół, łatwiej więc było iść.

- Jak tu ładnie – szepnęła Marysia.

- Gdzie? Co?

- Ten las, ta rzeka. I drzewa. I woda, patrz...w dole, jak się srebrzy... – szeptała Marysia i przystanęła, zapatrzona nagle na otwierająca się przed nimi dolinę.

- Chodźmy! Prędziej – Danką obejrzała się. Za nimi, w klekocie drewniaków na kostce jezdni, wlokło się jeszcze kilka kobiet. Za nimi szli esesmani z karabinami w rękach. – Uważaj... – pociągnęła Marysię w bok, bo idąca przed nimi kobieta uklękła na środku drogi a potem wolno położyła się. Wyminęły ją ale po chwili dobiegł do nich krzyk esesmana i po chwili strzał. Idącym za nimi więźniarkom na chwilę sił przybyło i nagle Danką z Marysią znów znalazły na końcu kolumny. A kobiety wlokące się przed nimi były już o dziesięć kroków, o dwadzieścia...

- Prędziej! – szczeptała idący teraz tuż za nimi esesman.

- Marysiu... prędziej... – szeptała Danką, ale brakowało jej sił, aby szybciej wlec ślaniającą się na nogach koleżankę. – Marysiu...

A Marysia osunęła się na bruk. Danką szarpnęła ją w górę. Nie, nie poradzi. Boże. Nie poradzi.

- Precz! – esesman szarpnął ją za ramię mocno, że zatoczyła się, upadła na kolana ale zaraz zerwała się. – Precz! – wrzasnął jeszcze raz esesman. – Tam! Dołącz! – wskazał lufą na odchodzącą kolumnę.

Wracać do Marysi... jest już przy niej drugi żołnierz. Skierował lufę w głowę Marysi.

- Nie! – krzyknęła Danką i postąpiła ku Marysi leżącej na jezdni, ale wrzask tego pierwszego esesmana powstrzymał ją na środku drogi. Widziała czarny otwór lufy karabinu skierowany prosto w oczy.

- Precz! – wrzasnął jeszcze raz i w tym samym momencie tamten drugi strzelił do Marysi.

Zataczając się Danką szła wolno za wlokącą się gromadą.

- Nie być ostatnią w kolumnie – powtarzała sobie szeptem. – Nie być ostatnią...

SALWY NA WIWAT

Józek otworzył oczy i długą chwilę wpatrywał się deski nad głową. Coś jest nie tak, jak zwykle. Przecież przed oczami nie ma desek z najwyższej pryczy tylko strop baraku. Przenieśli go? – snuła się słaba myśl. Po co by go mieli przenieść? Przypomniał sobie, jak upadł w czasie apelu. Chciał wstać, ale brakło sił. Kapo zdzielił go laską i już nie próbował się podnieść, choć chłopaki stojący obok ciągnęli go w górę. Jak Kazik wtedy powiedział... chyba coś tak, że Józek ma dość, że jeszcze jeden do Bozi się spieszy... tak, coś takiego powiedział i Józek wiedział, że to o nim mowa ale nie miał siły otworzyć ust, powiedzieć, że nie, że przecież jest silny. Tylko że nie mógł wstać ani mówić nawet i czuł, że zasypia.

Przymknął oczy, bo zmęczyło go patrzenie na te deski. Po chwili jednak znów je otworzył i wolno, z ogromnym wysiłkiem odwrócił głowę. Tak, to jego blok. Widzi prycze stojące obok. Na niektórych leżą chłopaki. Tak białe jakoś, tak widno, jak nigdy. Co to jest? Prześcieradła? A gdy poruszył palcami ręki poczuł mięciutkie przykrycie. To chyba jakiś sen... bo czy kiedy widział na pryczy prześcieradła? Albo takie miękkie przykrycie? Bzdury... O, i jeszcze jakaś muzyka. W obozie muzyka! Fijoła dostał, czy jak?

I nagle pochylał się nad nim człowiek w białym fartuchu. Murzyn... A obok niego drugi, ale nie murzyn. Coś gadają ale jakoś tak, że nic nie rozumie. Gadają a nie krzyczą, jak esesmani czy kapo. Gdzie on jest...

Jeszcze ktoś wsunął się między tych w fartuchach. To... zna go chyba... To... to Wojtek.

- Wojtek... – poruszył wargami.

- Widzicie?! – krzyknął Wojtek z triumfem. – Patrzy! I mówi! Poznał mnie! Wiedziałem, że nie wykorkuje! Wiedziałem!

Murzyn w fartuchu pokręcił głową z niedowierzaniem. Ten drugi coś powiedział i delikatnie położył Józkowi rękę na czole. Co on mówi... To nie Niemiec. I nie Francuz, bo z Francuzami mieszkali w bloku trzy miesiące i poznał by, jakby tamten mówił po francusku. Spać... spać...

Znów otworzył oczy. W bloku paliły się światła. I wciąż dźwięczała muzyka. Czuł się trochę lepiej. Dźwignął rękę, przesunął dłonią po twarzy. Jeść... poczuł nagle skurcz głodu. Ciekawe, czy uda mu się wstać i pójść do drzwi, przy których postawili przed apelem beczkę z zupą.

- Nie śpisz! – usłyszał głos Wojtka.
 - Chcę wstać. Pomóż.
 - Gdzie chcesz iść?
 - Po zupę. Zostało może trochę.
 - Przyniosę ci. Mamy teraz tyle, ile zechcemy.
 - Zorganizowaliście... – domyślił się, że pewnie chłopakom udało się ściągnąć beczkę zupy. – Esesmańska?

- Jaka tam esesmańska! Prawda, ty nic nie wiesz! Już nie ma szwabów.
 - Nie ma... a...a co, wolność?
 - Od czterech dni już ich nie ma. Ci dwaj, których widziałeś, pamiętasz?
 - Tak. Jeden był murzyn...
 - To Amerykanie. Przyszli na obchód. Ten murzyn to nawet już parę słów po polsku mówi. Fajny jest.

- Ty nie żartujesz? – Józek patrzył z napięciem na kolegę.
 - Dobry sobie! Przynosiłem ci zupę, ale ty leżałeś jak betka. Coś ci tam dawali na wzmocnienie. A w ogóle to mówili, że pewnie z tobą koniec będzie. Zaraz wrócę.

Zniknął na chwilę, ale zaraz znów pochylił się nad Józkiem. Oburącz trzymał dużą miskę. Postawił ją ostrożnie na brzegu pryczy. Dźwignął Józka w górę, podłożył mu zwinięty koc pod plecy i usiadł przy nim.

-Dasz radę sam wiosłować? – spojrzał krytycznie na Józka. –Pewnie nie. To ja cię nakarmię.

- Już po apelu?
 - Durny! – Wojtek wzruszył ramionami. – Już nie ma apelu. No, otwórz dziób –wsunął Józkowi w usta łyżkę mlecznej zupy.

Józek przełknął, przymknął oczy.
 - Jaka dobra...Esesmańska chyba. Bujasz z tą wolnością. Jakby była wolność, to kielbasy byś przyniósł.

Wojtek popatrzył na niego z pobłażaniem, pokiwał głową.

- Ech ty... jak Amerykanie przyszli, to niektórzy z naszych rzucili się na żarcie. A było tego moc. Konserwy, wędliny. Chłopie! W parę godzin było po nich. Kowboje potracili głowy, bo jak to jest, dają nam jeść, dobrze dają, dużo, a tu wiją się w bólach, umierają! I zaraz zabrali całe żarcie, zamknęli magazyny, warty postawili. I dają tylko lekarstwa, mleczną zupę, suchary, co rusz zastrzyki nam robią. Niemcy za bardzo nas wygłodzili. Choćby i ty... za nogi cię z tamtego świata trzeba było wyciągać. A broniłeś się, nie chciałeś. No, jedz, bo stygnie.

- To Niemcy już nie wrócą?
 - Niemcy?! Dostają takie lanie, że hej! Prawda, ty nic nie wiesz. Hitler nie żyje, Berlin Ruscy zdobyli.

- Chłopaki!!! – wrzasnął ktoś przy wejściu do baraku. – Koniec wojny! Hurraaa!!!

Barak zatrząsł się od radosnego wrzasku. Za ścianami gruchnęły strzały. Pykały rewolwery, trzaskały automaty.

- Nic się nie bój. To salwy na wiwat. Ale walą... A ty gdzie? – Wojtek przycisnął Józka za ramię widząc, że ten już chce opuścić nogi z pryczy.

- Koniec wojny...

- Kładź się. Chory jesteś i słaby.

- Do domu. Idziemy do domu.

- Pójdziemy! – Wojtek uderzył się w piersi. – Ale najpierw musimy jeść ten kit – wskazał na miskę z zupą. – Musimy się wzmocnić. A teraz... chłopie, ile ty byś przeszedł? Sto metrów? Pewnie i tego nie. No, kładź się.

Józek posłusznie opadł na poduszkę. Przymknął oczy. Ktoś niedaleko coś mówił, ale głos jego tonął w chórze okrzyków i terkocie wystrzałów. Koniec wojny. Więc jednak to prawda. Wracać! Może, może odnajdzie się ojciec? I mama, i Helenka. Wracać! Do domu...

SPIS TREŚCI

Przyjazd
W łaźni
Dywan
Obok szóstego bloku
Przeklęte dolary
Kochana mamó
Równość umierania
Oświęcimska bajka
Spotkanie z matką
Żołnierz
Sen o butach
Cygańskie dzieci
Apel
Królik
Żyd
Ojciec i synowie
Życie na nowo
Nie sam
Stefan
Nalot
Komando Rollwagen
Głupia Nel
Obozowa szopka
Ewakuacja
Zamarznąć
Oczekiwanie
Wolność
Bomby
Kamienie
Już niedługo
Ostatnie godziny
Marsz śmierci
Salwy na wiwat